

**Człowiek marzeń i czynów**

*Opowieść o Jadwidze Harasimowicz*



**Człowiek marzeń i czynów**  
*Opowieść o Jadwidze Harasimowicz*

pod redakcją  
Andrzeja Koteckiego



Wrocław

*Autorzy:*

Aldona Czerwińska, Urszula Drożdżyńska, Ewa Gałązka, Jan Gościej,  
Jadwiga Harasimowicz, Zofia Kaczor-Jędrzycka, Zofia Karczmarska, Adam Kielbiński,  
Łucja Kołacka-Plucha, Teresa Kołakowska, Andrzej Kotecki, Krzysztof Kułacz,  
Wanda Łomnica, Stanisław Łopuszański, Krystyna Matuszkiewicz, Jadwiga Mostowik,  
Krystyna Paplińska, Jan Pieńkowski, Tadeusz Pilch, Ewa i Andrzej Sienkiewiczowie,  
Halina Sułek-Gumienna, Barbara Wikło, Elżbieta Wojtas-Ciborska

*Opracowanie redakcyjne*  
mgr Elżbieta Winiarska-Grabosz

*Korekta*  
mgr Anna Piskor

*Łamanie*  
Halina Sebzda

*Projekt okładki*  
Kornel Owczarek

© Copyright by Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu, Wrocław 2010

ISBN 978-83-7717-019-9

WYDAWNICTWO UNIwersytetu PRZYRODniczego WE WROcławiu

Redaktor Naczelny – prof. dr hab. Andrzej Kotecki  
ul. Sopotka 23, 50-344 Wrocław, tel. 71 328-12-77  
e-mail: wyd@up.wroc.pl

---

Nakład 150 + 16 egz. Ark. wyd. 10. Ark. druk. 8,5  
Druk F.P.H. „ELMA”

## SPIS TREŚCI

I. SŁOWO WSTĘPNE <i>Andrzej Kotecki</i> .....	7
II. W HOŁDZIE JADWIDZE HARASIMOWICZ <i>Zofia Kaczor-Jędrzycka</i> .....	9
III. WŁASNE PRZEMYŚLENIA <i>Jadwiga Harasimowicz</i> .....	17
1. Dziękuję wszystkim za przyjaźń i współpracę .....	17
2. Wywiad z Jadwigą Harasimowicz <i>Teresa Kołakowska</i> .....	22
3. „Zyskuję radość serca” .....	24
IV. WSPOMNIENIA O JADWIDZE HARASIMOWICZ .....	31
1. Życie Jadzi było piękne, bogate i ofiarne <i>Zofia Kaczor-Jędrzycka</i> .....	31
2. Wspomnienia siostry <i>Zofia Karczmarska</i> .....	34
3. Młodość swą doniosła do końca <i>Jan Pieńkowski</i> .....	47
4. Córka Legionisty <i>Jan Pieńkowski</i> .....	49
5. W pierwszą rocznicę śmierci <i>Jan Gościej</i> .....	50
5.1. Jadzia a Marcinkowice .....	51
5.2. Korespondencje z Jadzią .....	52
6. Wspomnienie o koleżance <i>Adam Kielbiński</i> .....	53
7. Wspomnienie <i>Stanisław Łopuszański</i> .....	55
8. Wspomnienie <i>Halina Sulek-Gumienna</i> .....	56
9. Dwie refleksje <i>Ewa Gałzka</i> .....	58
10. Wspomnienie <i>Krzysztof Kulacz</i> .....	60
11. Moja Pani Profesor <i>Barbara Wikło</i> .....	64
12. „Najwdzięczniejszą i najtrwalszą pamięcią jest pamięć serca” <i>Jadwiga Mostowik</i> .....	66
13. Umiała bawić się i cierpieć <i>Krystyna Matuszkiewicz</i> .....	69
14. Z Jadzią Harasimowicz we „Wszechnicy Rodziny Wiejskiej” <i>Elżbieta Wojtas-Ciborska</i> .....	70
15. Niezastąpiona <i>Krystyna Paplińska</i> .....	75
16. Wspomnienie <i>Urszula Drożdżyńska</i> .....	77
17. Rzecz o trwaniu <i>Aldona Czerwińska</i> .....	79
18. Niewysłany list <i>Tadeusz Pilch</i> .....	81
19. Była wzorem Tulowca <i>Ewa i Andrzej Sienkiewiczowie</i> .....	84

20. Wspomnienia o mojej wychowawczyni <i>Łucja Kołacka-Plucha</i> .....	86
21. Tren wiosenny – Pamięci Jadwigi H. <i>Wanda Łomnica</i> .....	87
V. MOJE SPOTKANIA Z LUDŹMI <i>Jadwiga Harasimowicz</i> .....	89
VI. DOROBEK HUMANISTY I PEDAGOGA <i>Jadwiga Harasimowicz</i> .....	99
1. „Jak uczyć historii”.– refleksje nauczyciela po zjeździe historyków we Wrocławiu.....	99
2. Lekcja patriotyzmu .....	101
3. „Jacy jesteśmy, dokąd idziemy?” Nadzieje i zagrożenia XXI wieku .....	104
4. Człowiek XXI wieku i wychowanie. Jesienne seminarium w Tarnowie Jeziornym .....	105
5. Wychowanie przez sztukę .....	106
6. Polskie wigilie.....	108
7. Wspaniałe spotkania .....	115
8. Budowa mostów przyjaźni. Z doświadczeń dolnośląskiego TUL-u .....	117
9. Wpisani w wielką i małą historię.....	120
VII. BIBLIOGRAFIA.....	129

# SŁOWO WSTĘPNE

Andrzej Kotecki

Pomysł napisania tej książki zrodził się w środowisku Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, z którym Jadwiga Harasimowicz była związana poprzez pełnienie, społecznie, różnych funkcji, w tym między innymi pracując od 1989 r. aż do śmierci jako Przewodnicząca Komisji Humanistycznych Inicjatyw Edukacyjnych w ZK TUL. W styczniu 2008 r., znane w środowisku TUL-u działaczki – prof. dr hab. Zuzanna Borcz i prof. dr hab. Ewa Sawicka-Sienkiewicz, z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, zwróciły się do mnie z propozycją wydania wspomnień o Jadwidze Harasimowicz. Obie Panie przysły z gotowym konspektem książki, a ja zapaliłem się do ich propozycji.

Profesor Jadwigę Harasimowicz poznałem w 1967 r. jako uczeń I klasy Technikum Melioracji Wodnych w Pracach Odrzańskich, gdzie uczyła między innymi historii. Była cudownym człowiekiem, wspaniałym pedagogiem, który mnie kształtował. Bez reszty oddana szkole i młodzieży. Jako uczeń pamiętam, że światło w jej gabinecie świeciło się do późnych godzin wieczornych, miała czas dla wszystkich, każdego wysłuchała, a w trudnych sprawach potrafiła wskazać właściwe rozwiązanie. W Pracach Odrzańskich panował wówczas szczególny klimat pracy, wzajemnej życzliwości i samorealizacji w różnego rodzaju kołach zainteresowań. Po skończeniu szkoły średniej moje kontakty z prof. Jadwigą Harasimowicz urwały się na 13 lat. Do dziś pamiętam, jak niespodziewanie pojawiła się na publicznej obronie mojej pracy doktorskiej. Od tego czasu utrzymywałem z Panią Profesor luźne kontakty, ograniczające się na ogół do wymiany serdeczności z okazji świąt. Na początku XXI wieku na prośbę Pani Profesor wygłosiłem, w ramach TUL, kilka wykładów o sytuacji polskiego rolnictwa. W 2002 r. przedstawiłem Profesor Jadwidze Harasimowicz prof. dr hab. Ewę Sawicką-Sienkiewicz, która poszukiwała kontaktu z organizacją szerzącą szeroko rozumianą oświatę na wsi. W ramach struktur TUL-u prof. dr hab. Ewa Sawicka-Sienkiewicz mogła realizować zaplanowane szkolenia.

Po długiej i ciężkiej chorobie serce Profesor Jadwigi Harasimowicz przestało bić 24 marca 2006 roku. Po Człowieku Marzeń i Czynów pozostały wspomnienia: siostry, najbliższych współpracowników, wychowanków i uczniów, które ta książka pozwoli, mam taką nadzieję, ocalić od zapomnienia.





## W HOŁDZIE JADWIDZE HARASIMOWICZ

Zofia Kaczor-Jędrzycka

Idea tej książki zrodziła się wśród przyjaciół Jadwigi Harasimowicz. Miała ich wielu: wychowankowie szkoły rolniczej Wrocław-Pracze, liczna gromada działaczy Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, nauczyciele, pracownicy naukowcy, profesorowie uczelni akademickich, pisarze, dziennikarze, twórcy kultury, rolnicy. Chcemy w tej publikacji odpowiedzieć na pytania, kim była Jadwiga Harasimowicz, nazywana powszechnie Jadzią, czego dokonała, z kim się przyjaźniła i jaką pozostanie w naszej pamięci.

Książka zawiera wspomnienie o Jadzi jako wspaniałym nauczycielu – wychowawcy, działaczce społecznej, publicystce, człowieku prawym.

Jadzia wśród moich przyjaciół i współpracowników zajmuje miejsce specjalne, dumna jestem z tego, że obdarowywała mnie swoim gorącym sercem. Dlatego ze wzruszeniem wpisuję się do tej księgi.

W swoim bogatym życiu Jadzia zapisała piękną kartę bezpośredniego wpływu na ludzi, na ich sposób myślenia i widzenia świata, rozwój uczuciowy, stosunek do pracy, do własnej rodziny.

„...Po ziemi chodząc zwyczajnie  
Przecież swój ślad poznaście...”

Te słowa Jana Kasprowicza oddają i osobowość, i dokonania Jadzi.

Pozostawiła po sobie trwałe ślady w sercach, umysłach i świadomości przyjaciół, setek ludzi.

Wyniosła już z Kresów, tej pierwszej ojczyzny, kraju lat młodości, gorącą wiarę w znaczenie i obowiązek upowszechniania wiedzy w społeczności polskiej. Nauczanie w szkole wiejskiej w Niekłaniu k. Końskich, już w wyzwolonej Polsce, skłoniło do głębokich przemyśleń istoty i treści metod pracy oświatowej, opartej przede wszystkim na samodzielnej pracy uczniów. Ideę tę rozwijała i doskonaliła w toku dalszej pracy nauczycielskiej. Z pobytu na wsi kieleckiej wyrosły w Jadzi sentyment i życzliwość do ludzi tego środowiska.

Kiedy wiatr dziejów przywiał Ją do Wrocławia, podjęła pracę w Zespole Szkół Rolniczych Wrocław Pracze. Nie ma przesady, że w tej szkole ujawnił się najpełniej Jej talent wychowawczy, zrodzony z własnego doświadczenia i twórczej myśli, jakże bliskiej pedagogii uniwersytetów ludowych.

Życie duchowe ucznia, nauczyciela pasjonowało Ją, zaczynała rozumieć, czym ono jest, że nie jest abstrakcją, ale czymś żywym, konkretnym, że tkwi w naszym postępowaniu – jest

tym, co w nas rośnie, dąży ku światłu, pięknu dobru i mądrości, „której nie trzeba poprawiać”, do niwelacji zła i brzydoty.

Potwierdzają to słowa wiersza „Córka legionisty”, napisanego dla Jadzi przez Jan-ka Pieńkowskiego – „... oddała własny trud młodzieży, by duch w niej nie mógł zgasnąć...” Powtarzała za Solarzem, „że złoża bogate w duszach noszą ludzie”.

Jej mistrzem w Praczech był Antoni Piotrowski, wybitny dyrektor szkoły, humanista zatroskany o wychowanie młodzieży. W tej placówce dydaktyka z wychowaniem była nierozdzielna. Zaszczepiano tu w młodzieży dążenie do wytrwałości i dzielności, poczucie własnej godności, pobudzano do twórczości, wzbudzano wolę i wiarę w siebie do stawania się lepszym. Rozwijano pęd do pracy zbiorowej, do współdziałania. Świadczą o tym dobitnie wypowiedzi uczniów zamieszczone w tej książce. Pani Profesor szła do młodzieży z otwartym sercem i wspomagała materialnie, jeśli zaszła taka potrzeba.

Jak poznałam Jadzię? Najpierw było moje zauroczenie Pracami podczas uczestniczenia w wizytacji tej szkoły przez nadzór pedagogiczny Ministerstwa Rolnictwa. Spotykałam tu niezwykle, twórczych nauczycieli, a szkoła rolnicza oparta była na podwalinach humanizmu. Silne wrażenie wywarł na mnie wspomniany już dyrektor A. Piotrowski, polonista, skromny, silny duchem, człowiek renesansu i zaprzyjaźnieni ze sobą nauczyciele, a wśród nich wyróżniająca się intelektualnie, myśląca śmiało Jadwiga Harasimowicz. W takim mateczniku jak Prace można było być tylko człowiekiem pięknym.

Jako młody wizytator ministerialny dużo się w tej szkole nauczyłam, także podczas licznych późniejszych pobytów, pogłębiłam w sobie przekonanie, że praca – praca uczciwa jest miarą człowieczeństwa. A także to, co wyczytałam u Władysława Spasowskiego, „że o wartości wychowania i kształcenia decydują nie urzędnicy szkolne, lecz stopień przygotowania i zespół nauczycielski”.

Praca pedagogiczna Jadzi w Praczech służyła emancypacji młodej wsi. Mówiąc słowami Seweryna Goszczyńskiego, było to sadzenie róż dla innych, dla przyszłych szczęśliwych czasów. Nadeszły pod koniec XX w. Widziała w młodych ze wsi wielkie siły twórcze, które należy odkrywać, odkopać, wydobyć. Dlatego też z pasją wprowadzała młodzież w świat kultury i nauki. Uczyła języka polskiego i historii, opiekowała się szkolnym teatrem i kołem ZMW, zachęcała do uczestnictwa w Dyskusyjnym Klubie Filmowym (które prowadził Jej mąż Rajmund) i pracach literackich nt. „Wieś Bliżej Teatru”, organizowała wyjazdy do Filharmonii, Opery i wycieczki krajoznawcze.

Uczyła też czegoś bardzo ważnego – stylu życia i stylu myślenia. Korespondowała z Marią Kasprowiczową, doprowadziła do spotkania uczniów swojej klasy z muzą „Księgi ubogich”, co odnotował w Zeszytach Harendziańskich kronikarz Harendy Aleksander Zaczynski. Mówiła, kiedy była już działaczką TUL-u, że Kasprowiczowa myślała i zabiegała, aby obok Harendy powstał Uniwersytet Wiejski.

Ciągnęło Ją w świat do ciekawych ludzi, do tych którzy w tych trudnych czasach odważyli się być mądrymi. Odbyła pielgrzymkę do Uniwersytetu Ludowego Waldemara Babinicza w Rożnicy na Kielecczyźnie. Fascynowała Ją osobowość tego wybitnego wychowawcy, który potrafił ofiarnie, odważnie iść za swoją ideą przeobrażania ówczesnej rzeczywistości.

Napisała Jadwiga Harasimowicz w książce „Solarzowym Gościńcem”: „Wyczytałam w prasie, że w Rożnicy istnieje Uniwersytet Ludowy, który prowadzi Waldemar Babinicz. Pojechałam więc z Ziutą – przewodniczącą ZMW, uczennicą IV klasy, by przyjrzeć się tej oświatowej placówce.

Urzekło mnie serdeczne powitanie i mądre, wnikliwe, przyjemne spojrzenie p. Waldemara. Byłam na zajęciach ze słuchaczami, na próbie teatru, wszędzie widziałam autentyczne zaangażowanie tej grupy wiejskiej młodzieży, zgrupowanej na kolejnym kursie animatorów kultury. Mam do dziś w oczach ten pokój, gdzie zaczęła się moja przyjaźń z tym mądrym, ciekawym człowiekiem. Bywał u mnie we Wrocławiu na spotkaniach z młodzieżą i zaoceńnikami. Przeżywałam jego tragedię zwolnienia i wyjazdu z Kielecczyny do Nałęczowa, do którego przeprowadzili go przyjacini mieszkańcy Rożnicy.

Pisał, zapraszał do siebie, niestety nie zdążyłam... Trzeba się śpieszyć – ludzie tak szybko odchodzą... Pod Jego wpływem w ramach ZMW założyłam Klub Młodej Inteligencji. Skupił około 40 starszych uczniów, spośród których dziś jest kilku profesorami wyższych uczelni, a większość po studiach zajmuje kierownicze stanowiska”.

Drugi raz spotkałam Jadzię na konferencji w redakcji „Gromada – Rolnik Polski”. Była znaną publicystką współpracującą z tą gazetą (pisała także do innych czasopism), która stała się nieformalnym ośrodkiem myśli społecznej chłopów i wsi. Jak pisała sama Jadzia o tej gazecie w eseju „Co czuje serce”, zamieszczonym w tej publikacji i opublikowany w Księdze wspomnień „Jan Szczepański”: „Była to gazeta wszechstronna, skupiająca ludzi zaangażowanych, twórczych, o różnych poglądach i profesjach – od profesora uczelni do chłopca z najdalszej wsi”. Redaktor naczelny Włodzimierz Checko zapraszał Jadzię na zjazdy korespondentów, na spotkania nauczycieli z władzami oświatowymi, pisarzami, wybitnymi uczonymi, dziennikarzami. Pamiętam Jej wypowiedź, nowatorską, o innym, jakże radykalnym spojrzeniu na szkołę i na rolę nauczyciela – jako przewodnika w poszukiwaniu prawdy i drogi do twórczej dojrzałości. Została włączona do delegacji na spotkanie w Radzie Państwa z prof. Janem Szczepańskim, który wówczas był przewodniczącym Komitetu Ekspertów Do Spraw Opracowania Raportu o Stanie Oświaty w Polsce. Była tym wyróżnieniem bardzo zaszczycona. Czytała książki i artykuły profesora, tego Mędrca z Ustronia, bardzo bliska stała się Jej problematyka indywidualności, przyjęła i wyznawała pogląd, że indywidualność należy rozwijać jako niepowtarzalną część osobowości i że trzeba tę indywidualność wyzwalać w celu podniesienia wartości narodu. Bo im lepsza indywidualność, tym lepsze społeczeństwo. Taki będzie las, jakie drzewa.

I jeszcze jedno ważne stwierdzenie. Kiedy była już doświadczoną działaczką TUL, na seminariach, sesjach wakacyjnych i innych spotkaniach, chcąc zachęcić do wysiłku, do zachowania pogody przez całe życie, cytowała słowa prof. Jana Szczepańskiego, naszego tulowskiego „Chrześcigo”, z pięknej książeczki „Korzeniami wrosłem w ziemię”:

„Jakiegokolwiek nieba chcesz dotknąć, musisz wejść na szczyt, to znaczy pokonać swoją słabość, zmęczenie, musisz chcieć i potrafić ..., ale niebo to, dla którego się męczyłeś, odsunie się znowu wysoko, aż wreszcie zrozumiesz kiedyś, że nieba nigdy nie dotkniesz”.

Profesor wiedział, że tyle nieba można mieć w sobie, ile się go zdoła samemu wypracować. Za profesorem Jadzia powtarzała też słowa, w które wierzyła – naród potrzebuje trzech cnót: siły (woli), cierpliwości i mądrości; „Mądrość jest czymś więcej niż zdolnościami, inteligencją, charakterem, pracowitością, wiedzą. Mądrość jest cechą umysłu i charakterem ... przejawia się w działaniach i dążeniach rozważnych, skutecznych, korzystnych”.

Jan Szczepański miał duży wpływ na postawę, poglądy Jadzi i Jej styl życia; pisała w jednym z esejów – Na pytanie „co kształtuje moją osobowość” – znajdowałam odpowiedź w pracach profesora Szczepańskiego.

Wielokrotnie podkreślała w swoich publicznych wystąpieniach i w artykułach, że potrzebna jest w Polsce edukacja kształcąca indywidualność (a nie indywidualizm) ze świadomością posiadania wartości aksjologicznych. Miała na myśli uniwersytety ludowe.

Moja wieloletnia współpraca i przyjaźń z Jadwigą Harasimowicz rozpoczęła się po reaktywowaniu Związku Młodzieży Wiejskiej (1981 r.). Połączyła nas sympatia do wsi, jej mieszkańców i do organizacji ZMW.

Na powitanie, przywróconego ponownie do życia ZMW, wystąpiłam z inicjatywą organizowania Wszechnicy Rodziny Wiejskiej, w formie zespołów samokształceniowych. Opracowałam założenia ideowo-programowe, które z wielką przychylnością zaakceptowało kierownictwo ZK ZMW. W Pracach powstała jedna z pierwszych i wyróżniających się szkolnych Wszechnic, którą organizowała i wspierała Jadwiga Harasimowicz. Przyjęła zaproszenie do Rady Programowej WRW przy Zarządzie Krajowym ZMW, uczestniczyła w ogólnopolskich konferencjach i seminariach.

Rozwinął się wokół ZMW silny ruch społeczny, bo organizacja ta i jej kierownictwo (przewodniczący Waldemar Świrgoń, wiceprzewodniczący Kazimierz Janik) stworzyło warunki do upowszechniania **wszystkiego, co służy rozwojowi i umacnianiu rodziny**, co budzi szacunek i miłość do wsi, przyrody, kraju ojczystego; co potęguje dumę z własnej kultury, uczy miłości człowieka do człowieka, zaszczepia i umacnia wiarę w wartości humanistyczne.

Jadzia stała się autorytetem, wniosła wiele pomysłów do programu i organizacji pracy WRW. Kochaliśmy Ją za to, kiedy mówiła – **musimy stać się obrońcami wartości rodziny, wsi i Polski, wieś stać na to, by stworzyć sumę własnych wartości**. Wanda Dulak, poetka z Piwnicznej i druga z kolei przewodnicząca Rady Programowej Wszechnicy, złożyła Jej pośmiertnie hołd w pięknym wierszu „Tren wiosny”. Przyłgnęły do serca słowa: „(...) bo Ona była, jest i pozostanie, po takim życiu nie może być pustka...”.

Skończył się etap wspólnej pasjonującej działalności w ZMW, nie było miejsca dla WRW w programie tej organizacji, ale przyjaźń pozostała. Rozwinęła się i przetrwała w Towarzystwie Uniwersytetów Ludowych do końca życia Jadzi. Dołączyła do grona idealistów, którzy wierzyli, że przez pedagogię uniwersytetów ludowych można czynić świat lepszym. Cele TUL były Jej bliskie i zrozumiałe, a ponadto potrzebowała ludzi i kontaktów z nimi.

W 1987 r. spotkałam się z Jadzią na Bałtyckim Uniwersytecie Ludowym ZMW w Opatoniu na IV sesji uniwersytetu ludowego dla nauczycieli. Sama tak pisze o tej sesji we wspomnianej już książce „Solarzowym Gościńcem”.

„Przyjechaliśmy z różnych stron kraju i wielu z nas, tak jak ja, zetknęło się z działalnością TUL pierwszy raz. Skrzyknęła nas Zosia Kaczor – pracownik w Ministerstwie Rolnictwa. Podobały się nam jej bezpośredniość i entuzjazm. Z dumą mówiła o swoim chłopskim pochodzeniu i o ojcu – działaczu ruchu ludowego. Naświetlała nam okoliczności reaktywowania uniwersytetów ludowych, zabiegi i kłopoty z tym związane. Podzieliła się wrażeniami z pobytu w Danii, utwierdziła w przekonaniu, że pochodzenie chłopskie nie jest socjologicznym obciążeniem, a powodem do dumy, że jest się spadkobiercą pięknych i wartościowych tradycji. Profesor Józef Chałasiński pisał z żalem: „Nie ma w Polsce systemu oświaty, który wychowywałby w ścisłym duchowym związku z całą warstwą chłopską. Nie ma szkoły – Akademii Chłopskiej, w której młodzież mogłaby odpowiedzieć na pytanie – Kim mają być chłopcy w Polsce?”

Obie Zofie wierzyły (była tam obecna Zofia Solarzowa), że droga do uświadomienia młodzieży chłopskiej jej roli w narodzie wiedzie przez rozwój uniwersytetów ludowych – szkolnych, środowiskowych, niedzielnych – dla różnych grup wiekowych. Mówił też o tym

w Opaleniu dyrektor placówki dr Narcyz Kozłowski. Opowiadał o walce Kaszubów z germanizacją, o działalności organizacji „Młody Las”. Wspominam go z wielkim szacunkiem.

Ciekawe wykłady, dyskusje, wycieczki, zajęcia teatralne i wieczorne śpiewanie „Dobrej nocki” – ciepło wspólnego uścisku rąk w kręgu pozwoliły mi utwierdzić się w przekonaniu, że w życiu liczy się tylko drugi serdeczny, szczerzy, bliski człowiek”. A tacy byliśmy w tym 1987 r.

Mam przed sobą śpiewnik „Do niebieskich powań” autorstwa Zofii Solarzowej, w którym napisała: „Koleżance Jadzi życzę z całego serca, aby jej życzliwość, mądrość i mądra dobroć służyły młodemu długo i budziły w nich wolę uczestniczenia w życiu”.

Bardzo mnie ta dedykacja podbudowała i pobudziła do konkretnego działania. Liczyłam na humanistów szkół rolniczych. I stało się! Zrodziła się myśl powołania ogólnopolskiego Zespołu Pedagogicznego nauczycieli pracujących w oświacie rolniczej. Dwudziestu przedstawicieli różnych województw wybrało Grupę Inicjacyjną, która złożyła oficjalne pismo prezesowej ZK TUL Zosi Kaczor z prośbą o akceptację tego pomysłu.

W 1989 r. ZK TUL powołało Komisję Humanistycznych Inicjatyw Edukacyjnych, a na jej przewodniczącą Jadwigę Harasimowicz. Funkcję tę pełniła honorowo przez 16 lat, aż do końca życia.

Pod kierunkiem Jadzi powstał silny ruch umysłowy nauczycieli, symboliczny „Świetlisty Dom”, przypominający Gacką Górę Solarzów.

Komisję wspomagali wybitni polscy uczeni, m.in. prof. prof. Jan Szczepański, Zbigniew Kwieciński, Bronisław Gołębiowski, Ryszard Borowicz, Czesław Opaliński, Tadeusz Pilch, Anna Brzezińska.

Jadzia miała wielki dar przyciągania i łączenia ludzi, inspirowała dyskusję, kształtowała magiczną atmosferę przepojoną ludzką życzliwością i wzajemnym zainteresowaniem. Jak wiele w tym nauczycielskim ruchu – ciekawych ludzi, twórczych, utalentowanych, prometejskich. Ukształtowała się na przestrzeni lat tulowska wspólnota, grupa ludzi ogarniętych wspólną ideą – budzić do wartościowego życia, kształtować w sobie zdolność odróżniania dobra od zła i umieć to wszystko wcielić w życie, wprowadzać w czyn. Jak pisał Janek Pieńkowski: „Na sesje Tulowskie przywozi ze sobą to, co w człowieku najlepsze, a wywozi w ilości zwielokrotnionej”.

Ostatnia sesja nauczycielska w Złocińcu była naznaczona chorobą Jadzi. Chociaż opuszczały ją siły, uczestniczyła prawie we wszystkich zajęciach. Wzruszające było zakończenie sesji, Jej wystąpienie pozostanie w nas niezapomnianym wspomnieniem, to był ostatni Jej WIECZORNIK.

Za działalność edukacyjną Ministerstwo Edukacji Narodowej nadało Towarzystwu Uniwersytetów Ludowych (2000 r.) odznakę honorową „Za zasługi dla oświaty”. W tych zasługach mieści się wielka, społeczna praca Jadwigi Harasimowicz.

Chciałabym jeszcze powrócić do Jej uczniów – wychowanków z Prac. Stała się dla nich mistrzem najwyższej miary. Jej bezinteresowność, ofiarność, ideowość budziły w nich podziw i wielki szacunek. Wartości te czyniły ją wspaniałym WYCHOWAWCĄ. Obserwowałam to uwielbienie dla Jadzi podczas zjazdu wychowanków z okazji 40-lecia szkoły w Pracach. Wysłana zostałam na ten Jubileusz przez ministra rolnictwa Andrzeja Śmietankę, z adresem gratulacyjnym dla nauczycieli, uczniów i absolwentów.

Jej stosunek do wychowanków ilustruje list (z dn. 9.06.2005 r.), w którym pisze: „W sobotę i niedzielę mam zjazd mojej najstarszej klasy (tej Basi Wikło). Przyjedzie ich z całej Polski 15 osób na 22 (3 nie żyją). Mają łączność przez 40 lat. Wzruszająca jest ich

przyjaźń, wzajemna i ze mną. Jeden z nich wyremontował mi łazienkę. Jest bardzo ładna. Myślę, że ją zobaczysz 24 czerwca. Nie zawieź, bo ludzie cię cenią i lubią”.

A to inny ton listu, także charakterystyczny dla Jej osobowości, który przysłała po sesji w Marianowie: „Gdy po 10 godzinach jazdy samochodem wróciłam z Łomży do domu, zastałam ... remont. Przez 3 dni sprzątałam razem z synem i Michałkiem. Trochę odetchnęłam i ... przyjechała koleżanka szkolna z Lublina i muszę znowu być miłą, gościnną, a nie zawsze mam siły. Jeszcze choroba siostry ... Myślę jednak, że wszystko minie i spotkamy się ... przy winie”.

Umiała też Jadzia pochwalić, dostrzec oraz docenić osiągnięcia i duże, i małe. Po wydaniu książki „Solarzowym Gościńcem” pisała: „Wczoraj dostałam książkę. Dziękuję i gratuluję Ci, bo to wielka praca. Myślę, że jest to też historyczny dokument „naszego” życia, pokolenia powojennego, które coś zrobiło, wbrew opiniom niektórych oszołomów”. Wzruszające.

Jadzia była intelektualistką o dużym poczuciu humoru, dowcipu, co manifestowała na sesjach i w rozmowach towarzyskich, które uwielbiała i wielokrotnie sama aranżowała. Do legendy przeszło powiedzenie: „Bywszy wami już bym poszła”, tak na Kresach mówili gospodarze domu, gdy wizyta gości nadmiernie się przedłużała. Albo inny przykład, odzywka osoby wznoszącej toast – „perswaduję w wasze ręce”, odpowiada osoba, do której kierowano toast – „bynajmniej nieobojętnie”.

Pisała do mnie i tulowców dowcipne życzenia imienninowe i okolicznościowe, pasujące do osoby, dołączała rysunki, zasuszone kwiaty, zapisane cytaty z interesującej książki, którą czytała (np. „Jest taki uśmiech co mieszka w rozpaczy”, ks. J. Twardowski), czy też wiersze, które mogły sprawić przyjemność, przynieść ulgę.

Jadzia lubiła podróże, składanie wizyt działaczom TUL-u, chociaż zdrowie nie zawsze Jej na to pozwalało. Były to wyjazdy niezależnie od uczestnictwa w sesjach tulowskich. Bywała wielokrotnie u Basi Wikło, uczennicy – przyjaciółki w Jabłoniu na Podlasiu, kiedy otwierała w swojej szkole rolniczej Izbę Muzealną Augusta Zamoyskiego z udziałem żony artysty (przyjechała z Francji) i na seminarium poświęconym podsumowaniu konkursu na prace młodzieży o ich rodzinnych drzewach genealogicznych. Przyjeżdżała do Jabłonia także towarzysko, odwiedziła rodziców Henia Milanowicza w Podedwórzcu, zainteresowała się docieklawiej ich gospodarstwem i prowadziła interesującą rozmowę. Bywała w Żmigródku u Antoniny Kuriatowej na wystawianych przez nią spektaklach teatralnych i słynnym „Weselu Wołyńskim”. Gościła w Zgorzelcu u Edwarda Mostowika (ucznia) i jego żony Jadwigi, która stała się niebawem wybitną działaczką TUL-u. Odwiedzała Józefa Gościeja w Marcinkowicach, zwiedzała Jego szkolne Muzeum i z okazji konferencji organizowanych przez Kolegę Józia; o tych wizytach pisze Gościej interesująco w swej książce. Wielokrotnie uczestniczyła w Sławie – Jeziornym Zameczku na tzw. seminariach „w krajobrazie” organizowanych przez Ulę Drożdżyńską. Bardzo ceniła sobie wizyty w Miliczu u K. i A. Paplińskich, Wesołowskich i Kwiecińskich. Wizyta w Koźuchowie u prezesa TUL-u, Józefa Rubachy wywołała u niej zdumienie rozmachem i wielokierunkowością działań. Zamierzała odwiedzić mój rodzinny Piórków. Wybierała się z prof. Czesławem Opalińskim. Oboje już nie zdążyli ...

Oto wybiórczo przykłady wyjazdów – podróży Jadzi „do Polski”, do ludzi którzy odważyli się – na przekór trudnościom – być mądrymi.

Warto wspomnieć, w tym bilansie dokonań Jadzi, ważne, indywidualne przedsięwzięcie. Prowadziła Jadzia w swoim domu przy okrągłym stole, swoisty otwarty uniwersytet ludowy. Zbierało się tu grono ludzi Jej bliskich, zarówno z Wrocławia, jak i z całej Polski: uczeni, społecznicy, nauczyciele, a nawet politycy. Ważnym uczestnikiem tych dyskusji stał się

prof. Czesław Opaliński. Były to dyskusje twórcze. Pobudzała Jadzia podczas tych spotkań do myślenia, mówiła o potrzebie pedagogii dialogu i otwarcia. Uświadamiała, że żaden ludzki wysiłek, żadna praca, nawet najmniejsza idea nie powinny być zmarnowane, bo ona może wypełniać pustkę w życiu indywidualnym i zbiorowym.

Ja też, przy tym już historycznym stole, prowadziłam z Jadzią długie rozmowy: o wolności, o samotności i o niepowtarzalnej drodze życia każdego człowieka, osamotnieniu i o naszym pogmatwanym życiu ... . Zapytywałam, czy dam radę w tej nieustającej walce o przetrwanie idei uniwersytetów ludowych. Czy TUL jest tylko przelotnym meteorytem w naszym życiu, który zniknie, ale pozostawi Świetny Znak. Czy może czeka mnie klęska. Podnosiła na duchu, krzepiła. Było też miejsce na czytanie poezji i omawianie ukazujących się ciekawych książek. Pamiętam, długo, długo rozmawialiśmy o książce „Spadające księżycy” M. Kasprzowiczowej. Znała Marusię i jej tragiczne życie, i to, że duszę miała wielką.

Teraz wszystko umilkło, zgasło ... .

\*  
\* \* \*

Aby ukazać Jadzię jako pełnego człowieka, pełną Jej osobowość, warto zwrócić uwagę jeszcze na Jej pisarstwo, które uprawiała przez całe życie. Miała dar pisania. Była wrażliwa na słowo, jego piękno. O Jej talencie pisze obszernie w tej publikacji Józef Gościej (sam także obdarowany taką umiejętnością). Stworzyła dziesiątki artykułów, esejów, wypowiedzi do publikacji książkowych. Zamieszczała artykuły w prasie centralnej i regionalnej, a przede wszystkim w kwartalniku „Polski Uniwersytet Ludowy”. Zwraca uwagę Jej piękny szkic o prof. J. Szczepańskim, zamieszczony w „Księdze wspomnień” w Wydawnictwie Sejmowym. Pisze językiem prostym i komunikatywnym, pobudzającym do myślenia. W Jej pisarstwie wyczuwa się szerokie horyzonty, wrażliwość społeczną. Porusza się z łatwością po wielu obszarach wiedzy z różnych dziedzin: pedagogicznych, socjologicznych, humanistycznych. Głęboko wbił się w pamięć moją i działaczy TUL artykuł opublikowany w „PUL” pt. „Dziękuję wszystkim za przyjaźń i współpracę” z okazji 20-lecia (2005 r.) działalności TUL-u; nie mogła już przyjechać do Warszawy na nasz Jubileusz, tak uroczyste obchodzony w Centralnej Bibliotece Rolniczej. Byliśmy wstrząśnięci: żegnała się Jadzia z nami i z ideą ruchu uniwersytetów ludowych, której oddała kawał swojego twórczego życia.

Pod redakcją Jadzi i z Jej wypowiedziami ukazało się kilka numerów KRONIK będących pokłosiem sesji tulowskich.

Otrzymałam od Jadzi dziesiątki listów. Co za radość z ich czytania. Były mądre, okraszane rysunkami, zasuszonymi kwiatami. Pisze listy do różnych adresatów, do swoich byłych uczniów, nauczycieli, przyjaciół, są one świadectwem zanikającej sztuki epistolarnej.

W imiennowych i świątecznych pocztówkach (a wysyłała ich dziesiątki) ze starannością dobiera słowa bliskie adresatowi, inteligentne i dowcipne. Może są to rzeczy małe i pozornie nieważne, które przytaczam, ale oddają Jej barwną osobowość, dopełniającą Jej oryginalność, jakże charakterystyczną.

Twórczość pisarska pozwoli zachować Jadzię w naszej serdecznej, zbiorowej pamięci.

Jadzia była nieprzygotowana do zakończenia życia. Tak dużo miała jeszcze napisać. Rozpoczęła pisanie, na moją usilną prośbę, szkicu o inteligencji, tej która Ją otaczała, o jej kondycji i powinnościach jako kontynuację ważnej problematyki uprawianej przed kilkunastu laty, przez prof. Józefa Chałasińskiego.

\*  
\* \* \*

Jak pięknie pisze Jan Pieńkowski w wypowiedzi drukowanej na tych stronach książki. Jadzia „młodość swoją niosła do końca (...) młodość i kobiecość Jadzi nie gasła i nie uwzględniała dat i kalendarzy (...)”.

Ta młodość wypływała z Jej intensywnego życia, pogody wewnętrznej, pogody ciała i ducha. Dzieliła się uśmiechem serdecznym z ludźmi, jak mało kto potrafiła rozmawiać z każdym – profesorem, politykiem, pisarzem, aktorem, rolnikiem, pracownikiem fizycznym. Zbierała trofea przyjaźni, znaki szacunku, podziwu, wierności. Myślę, że zawistników, ludzi niszczących i o odmiennych poglądach też miała, któż ich nie ma, bo takie jest życie.

Już pisałam, że umiała się cieszyć z osiągnięć przyjaciół, znajomych. Ból i smutek też potrafiła dzielić z tymi, których dotknęły. Sama tego doświadczyłam, po stracie najbliższych mi osób.

Jadzia prawie do końca życia była czynna, wprzęgnięta w obroty zdarzeń tulowskich, spleciona z losami przyjaciół. Każdemu dała najlepszą część siebie – Jadzia jest przykładem, jak piękne może być życie Człowieka.

Historia umieści Jadzię w szeregach tych pedagogów, wychowawców, których myśl torowała drogę do nowoczesnej szkoły XXI w., szkoły kształcącej „ludzi mądrych i dobrych”. (F. Znaniecki).

Niech ta książka zaświadczy, że pamięć o Jadzi Harasimowicz żyje, a dorobek Jej myśli niech wspomaga tych, którzy pracują dla wielkiej sprawy – Polski.



## WŁASNE PRZEMYŚLENIA

Jadwiga Harasimowicz

## 1. Dziękuję wszystkim za przyjaźń i współpracę

Siedzę na tarasie w jesiennym słońcu, intensywne kolory aksamitek, pelargonii i astrów cieszą oczy, nawet zabłąkany barwny motyl przysiadł na moich notatkach i odpoczywa po nektarowej uczcie. Nie słyhać już kosów ani szpaków, tylko trzy sroki skrzeczą, kłócąc się o słoneczniki, które już przekwitły. Bujają się też na ich łodygach sikorki, skubiąc dojrzałe ziarenka. Jaskółki wyprowadziły małe z gniazda nad oknem, a ich niskie loty przepowiadają rychły odlot. Z tej strony domu jest cicho, olbrzymi platan tworzy oazę spokoju, a jadalny kasztan intryguje przechodniów swoją egzotyczną odrębnością.

Mieszkam w tym domu 50 lat. Tworzyliśmy jego klimat razem z mężem w trudnych, powojennych latach. Potem byli synowie, ich dzieciństwo, dorastanie, nasze studia i praca w szkole, filmowe pasje męża, moje społeczne. Trzeba było łączyć obowiązki żony, matki, nauczycielki i działaczki. Trudne, ale bardzo barwne było życie. Przez 10 lat mieszkała z nami moja mama, po przejściu na emeryturę z kieleckiej wiejskiej szkoły.

A teraz jestem sama... Mama i Rajmund odeszli do lepszego świata, chłopcy mają swoje rodziny i sprawy zawodowe. Po śmierci męża zdawało mi się, że nigdy nie wrócę do czynnego życia. Dzięki, przed laty, propozycji Zosi Kaczor znalazłam nowe pole działania i grupę ludzi twórczych i przyjaznych.

A dziś też wiem, czym jest samotność, jak bardzo jest potrzebna i że można z nią żyć w zgodzie. Profesor Jan Szczepański uważał, że człowiek powinien ją wykorzystać jako potężną siłę twórczą. Pisał, „że osamotnienie jest czymś innym – stanem, kiedy człowiek jest wytracony z działalności, która kształtuje jakies obszary życia zbiorowego, kiedy odchodzi od ludzi...” Natomiast samotność jest wielkim darem, który Opatrzność dała człowiekowi po to, żeby miał gdzie wrócić, kiedy jest rozbity, zmęczony i chce pozbierać myśli w ciszy...” Czytając te słowa, zrozumiałam, że osamotniona nie jestem. Nie oddaliłam się od ludzi, Zosia nadała nowy sens życia i to zawsze będę pamiętać.

Dobrze, że istnieją wyobraźnia i pamięć, która notuje nie tylko obrazy i słowa, ale odczucia, które im towarzyszą. Gdy dopadają mnie smutek i zniechęcenie, to właśnie tu, na tarasie uruchamiam przestoje pamięci i odtwarzam fakty, ludzi i uczucia w barwnych filmach, które nazywam „turystyka czasu i przestrzeni”. Jest ich sporo z różnych okresów życia, ale dziś

zatrzymałam się na cyklu, którego głównymi reżyserami były cztery osoby: Zofia Kaczor-Jędrzycka, Zbigniew Kwieciński, Tadeusz Pilch i Czesław Opaliński. Każdy stanowi wybitną indywidualność, bardzo ciekawą i kontrowersyjną. Dzięki nim Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych stało się „wytwornią wielu filmów”, które zapamiętali uczestnicy sesji i seminariów. Zosia Kaczor i profesorowie wiedzieli, że podstawowymi elementami siły każdego narodu są jakość jego obywateli, ich zdolności do organizacji i współżycia.

Co zrobić, by sprostać wyzwaniom przyszłości, skoro polski kapitalizm wyraźnie rozwinął cywilizację techniczną i konsumpcyjną. Profesor Jan Szczepański już w latach 70. kierując komitetem ekspertów, ustalił tezę „kształcenia dla rozwoju”.

Kierujący Towarzystwem Uniwersytetów Ludowych (TUL) uznali, że najważniejsza inwestycja zabezpieczająca przyszłość narodu i państwa – to wykształcone, świadome swych obowiązków kadry. Każde społeczeństwo ma zasoby talentów. Trzeba je odkrywać, dbać i stwarzać warunki wykazania zdolności i energii poszczególnych ludzi. „Wspomaganie rozwoju” stało się dewizą TUL-u. Zosia Kaczor zawsze popierała lokalne, twórcze działania, szczególnie w szkołach i uczestnictwo młodzieży w życiu społecznym.

Jako główny reżyser ma wspaniały dar wyszukiwania ludzi twórczych i nakłaniania ich do bezpośrednich działań we własnym środowisku. Posiada też dar słowa i pióra, wiele jej wystąpień wzruszało, skłaniało do refleksji i krytycyzmu. Ponoszą ją czasem emocje, ale to już sprawa temperamentu i na pewno odwagi. Zawsze podkreśla swoje chłopskie pochodzenie, bez znanych inteligenckich kompleksów, oraz rodzinne społecznikowskie tradycje.

W budzeniu obywatelskiej tożsamości wsi widziała dużą rolę nauczycieli – dlatego z jej inicjatywy w Zarządzie Krajowym powstała „Komisja Humanistycznych Inicjatyw Edukacyjnych”, która w ciągu 17 lat skupiła ludzi aktywnych i twórczych różnych profesji „od przedszkola do rektora”. Nastąpił więc od czasów Zofii Solarzowej postęp, czego wymaga nasz wiek XXI. Zosia poszerzyła działalność tulowską na całą Polskę. Powstały regionalne oddziały, które zaczęły żyć własnymi problemami, współpracując z Komisją Humanistyczną. Nie było przez te lata wszystko idealnie, zdarzali się „aktorzy”, którzy zawadzili oczekiwania lub szukali w TUL-u własnej kariery, ale to są ludzkie przywary. Większość zapisała się chlubnie w kronikach i pamięci jako ciekawe indywidualności. W 1988 r. w książce „O indywidualności” prof. J. Szczepański powołuje się na tezę, że człowiek istnieje jako istota społeczna i indywidualność. Pierwszą przygotowuje się do życia w społeczeństwie, a jako indywidualność jest istotą autonomiczną, tworzącą własny wewnętrzny świat, który pozwala i pomaga przeciwstawiać się wszelkim naciskom, a i własnym popędem oraz emocjom.

Identyfikacja z tłumem zawiera cechy indywidualne, a zło powstaje w relacjach międzyludzkich. Jeśli powstaje w świecie coś nowego – to z wizji indywidualnych. Wszelkie ruchy społeczne powstawały dzięki ideom, które były wytworem myślenia poszczególnych ludzi.

Człowiek jest więc twórczy nie jako osoba społeczna, ale jako niepowtarzalna, ciągle rozwijająca się tożsamość. „Oryginalnego wkładu w dorobek społeczeństwa możemy unieść tylko tyle, ile możemy wypromieniować z własnej niepowtarzalnej indywidualności” – pisze prof. J. Szczepański.

Zosia Kaczor jako prezes umie docenić każdą społeczną krzątanicę i w odpowiednim czasie podziękować, co jest bardzo ważne dla tych, którzy często kosztem rodziny i własnych spraw robią coś dla innych, nawet w małym zakresie.

\*  
\* \* \*

A teraz myślę, jaką rolę w TUL-u i w moim życiu odegrali trzej profesorowie: Kwieciński, Pilch i Opaliński. Profesor Zbigniew Kwieciński zainteresował się Towarzystwem Uniwersytetów Ludowych dzięki Zosi Kaczor, która w 1987 r. zaprosiła Profesora do Opalenia na jesienną sesję nauczycielską, po której pozostał z nami na wiele lat. Zaaprobował inicjatywę powstania Komisji Humanistycznej w Zarządzie Krajowym i przysłał ciekawych wykładowców na kolejne sesje. Wprowadzał słuchaczy w problemy nowoczesnej pedagogiki zachodniej, polecał nową, fachową literaturę. Mam wiele listów od Profesora, w których radzi, jakie podjąć tematy, z kim się kontaktować, co czytać, by dobrze spełniać rolę przewodniczącej Komisji Inicjatyw Edukacyjnych. Potrafił też aktywnie włączać się w życie towarzyskie grup nauczycieli różnych szczebli. Cenię sobie bardzo stosunek Profesora do słuchaczy. Szanował ich, zawsze był przygotowany do wykładu, punktualny i cierpliwy, słuchając głosów w dyskusji, nie zawsze zbyt rewelacyjnych. Zachęcał do samokształcenia i do spotkań. Burzył stare schematy szkolnego systemu, zachęcając do metod partnerskich.

Miał prawo, z perspektywy zaszłych procesów, i naukowy obowiązek, jako prezes Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, wyrażania własnych poglądów na temat ważkich problemów i sporów obserwowanych od lat w edukacji.

W 1992 r. na sesji w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim poświęconej pedagogice Ignacego Solarza prof. Kwieciński w wykładzie „Ku innej szkole” mówił, iż musi nastąpić „porzucenie modelu przekazu przez nauczyciela gotowej wiedzy na rzecz przechodzenia do poszukiwania prawdy i współtworzeniu wiedzy w komunikacji i otwartym dialogu z wychowankiem...”. Mnie osobiście kontakty z prof. Kwiecińskim zachęcały do głębszego poznawania socjologii i psychologii na własny użytek, ośmielały do wystąpień publicznych i do wypowiadania się na tematy pedagogiczne w publikacjach. Lubię jego odwagę, refleks i poczucie humoru, choć czasem złośliwe.

Profesora Tadeusza Pilcha zobaczyłam pierwszy raz na sesji w Krakowie w 1992 r. Byłam pod wrażeniem jego wykładu na temat roli nauczyciela. Mówił z takim zaangażowaniem i zapałem, że długo brzmiały na sali oklaski. Jako prezes TUL-u, przez 4 lata, był życzliwy i przyjazny, spokojnie rozstrzygał różne spory. Zajęty jednocześnie funkcją wiceministra oświaty „zawierzył 3 kobietom rządy”, jak żartobliwie mówił; Bożena Antoszczyk – wiceprezes, Majka Korulczyk – sekretarz i ja – przewodnicząca Komisji Humanistycznej.

Organizowałyśmy dalej sesje letnie, regionalne seminaria, ogólnopolskie wigilie, uzyskując aprobatę prezesa, który dobierał wykładowców, zdobywał finanse i starał się uczestniczyć we wszystkich spotkaniach. Jego wykłady były jasne, poparte przykładami z życia. Mówił z wielkim zaangażowaniem o swojej wizji nowoczesnej polskiej szkoły. Naświetlał proces starań o odrodzenie działalności uniwersytetów ludowych, dawnej roli „Wici” i powojennego ZMW.

Dzięki Profesorowi wielu kolegów podjęło dalsze studia, a sporo nauczycieli bierze udział w konferencjach, organizowanych przez niego w Warszawie na Uniwersytecie. Zawiązały się serdeczne kontakty przez 4 lata prezesowania. Kilka lat temu zaprosił całą grupę z sesji w Kłaninie do swego prywatnego letniego domu nad morzem. Ciekawe dyskusje, śpiewy przy ognisku pozostały w pamięci. Jego książka „Spory o szkołę” dostarcza ciekawych przemyśleń. Ostatnio Profesor pracuje nad „Encyklopedią Pedagogiczną”, która wymaga wielu zabiegów i sponsorów. Profesor nauczył mnie rozumieć lepiej innych ludzi, mieć do nich cierpliwość, panować nad swymi emocjami, cieszyć się życiem, choć nie zawsze jest radosne.

Profesora Czesława Opalińskiego do działania w Towarzystwie Uniwersytetów Ludowych też zachęciła Zosia Kaczor, gdy byli na konferencji w Pardubicach, w dawnej Czechosłowacji. Po powrocie zadzwonił do mnie podekscytowany – „wiesz, poznałem wspaniałą kobietę, entuzjastkę uniwersytetów ludowych, która ma piękną wizję przyszłej polskiej wsi. Pochodzi z Kielecczyzny, wyrosła w domu z tradycjami pracy społecznej...”. Zdziwił się, że znam już Zosię bardzo długo i też uległam jej namowom do pracy w TUL-u. No i tak się zaczęło. Po profesorze Stanisławie Dąbrowskim objął Opaliński funkcję prezesa Wrocławskiego Oddziału Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych. Zaangażował grupę naukowców z Akademii Rolniczej do prowadzenia bezinteresownie seminariów dla nauczycieli i spotkań z młodzieżą. Prof. Zuzanna Borcz, dziekan prof. Andrzej Drabiński, prorektor prof. Andrzej Kotecki, dr Zbigniew Kuriata wspierali działania wrocławskiego TUL-u. Profesor Opaliński nawiązał też kontakty z Wyższą Szkołą Oficerską. Płk. Adam Gurba, płk. Henryk Strączak i major Ryszard Kałużny bardzo aktywnie włączyli się w organizację „Wojewódzkich przeglądów osiągnięć kulturalnych szkół rolniczych”, kursów animatorów kultury czy przewodników po Wrocławiu, jak też ogólnopolskich seminariów oraz współpracę z Centrum Spotkań Międzynarodowych w Marienthalu k. Görlitz.

Profesor skupił wokół siebie ludzi różnych profesji, którzy cenili go za wiedzę, inteligencję, takt, osobistą kulturę i autentyczne zaangażowanie w integrację bardzo różnorodnej społeczności na Dolnym Śląsku.

Oprócz poważnych zamiarów i dyskusji prof. Opaliński cenił towarzyskie spotkania, wycieczki, ogniska, które zacieśniały więzy przyjaźni. Opanowany, elegancki i dowcipny był mi oparciem w trudnych chwilach załamań i zniechęcenia.

Po Jego śmierci ten sam sposób współpracy z ludźmi kontynuuje dr Andrzej Sienkiewicz, wspierany przez żonę – profesor Akademii Rolniczej Ewę Sienkiewicz. Zorganizowali Środowiskowy Uniwersytet w podwrocławskiej wsi Łozina, na którym odbywają się kursy typu rolniczego. Nawiązano też kontakt z maturzystami szkół średnich, zapraszając na wykłady na uczelni lub odwiedzając szkoły i prowadząc zajęcia bez honorariów, jak robili już prof. Ewa Sienkiewicz, dr Leokadia Kielb i dr Adam Guba. Natomiast prof. Zuzanna Borcz i prof. Zbigniew Kuriata angażują się w bardzo pozytywną akcję „Odnowa Wsi” na Opolszczyźnie. Ala Szlachcic działa w szkołach wrocławskich. Aktywny od lat jest Środowiskowy Uniwersytet w Miliczu – dzięki Krysi i Antoniemu Paplińskim, a ostatnio Krysi i Piotrowi Wesołowskiemu oraz Basi Kwiecień. Ula Drożdżyńska organizuje seminaria w Sławie (w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych) – bardzo interesujące.

\*  
\* \*

Takich „aktorów” jest wielu, są to ludzie marzeń i działań. W Krakowie prof. Antoni Podraza, Zosia Misiewicz, Małgosia Mrugalska, Józek Gościej, Janek Mastyk, Kazik Cetnarowicz prowadzili przez kilka lat Studium Pedagogiki Twórczej. Zajęcia te cieszyły się dużym powodzeniem nauczycieli regionu. Organizowali też ciekawe seminaria i wycieczki ogólnopolskie. Ich udział w pracy Komisji Humanistycznej był bardzo cenny. Na letnich zajęciach włączali się Jola i Zygmunt Kłosowscy, prowadząc zajęcia plastyczne, odkrywali nowe talenty, ukazywali piękno natury, budzili zainteresowania sztuką. Ela Grzegórska z Przemyski zorganizowała sesję w Aleksandrowie Kujawskim i napisała książkę o pracy w Towarzystwie Uniwersytetów Ludowych (TUL-u).

Na Podlasiu Basia Wikło, Lodzia Kamola, Stanisław Massalski ożywili, dzięki TUL-owi, społeczność Jabłonia, dawnej rezydencji światowej sławy rzeźbiarza Augusta Zamoyskiego. Powstało Regionalne Towarzystwo, które realizuje ciekawe spektakle historyczne wg scenariuszy Barbary Wikło, plenery rzeźbiarskie, spotkania z ludźmi nauki i sztuki.

W Łodzi wybitną postacią jest Zygmunt Skonieczny — reżyser filmowy, który towarzyszył nam na sesjach nauczycielskich i młodzieżowych, tworząc prawdziwe filmy o ludziach TUL-u, np. „Lubię marzyć” – o działalności Bożenki Antoszczyk z Wojsławic, która ma szczególne zasługi w propagowaniu kultury ludowej oraz regionalnych tradycji.

W Kłaninie k. Gdańska Ela Gniazdowska, Aldona Czerwińska i Iwona Domachowska stworzyły wzorową nowoczesną szkołę średnią z tulowską aktywną placówką, działającą już 10 lat, która łączy rodzinę, kaszubską społeczność z napływową ludnością po 1945 r.

W Łomży największe zasługi w działalności tulowskiej ma na pewno Gabrysia Olszańska, wspaniała organizatorka kilku sesji i seminariów ogólnopolskich, obecnie Wszechnicy Łomżyńskiej. Bardzo chętnie słuchacze przyjeżdżają do Grzybna k. Poznania. Ukwieczone Technikum Ogrodnicze, czyste stawy i bardzo dobra organizacja mogą być przykładem porządku i racjonalnego planowania gospodarzy tej placówki tulowskiej Janusza Taciaka i Romana Szydłowskiego. W Zgorzelcu Jadzia Mostowik, współpracując ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, zmobilizowała do pracy społecznej wielu nauczycieli. Organizowali kilka razy seminaria ogólnopolskie, poruszając lokalne problemy przygranicznej ziemi i współpracy z sąsiadami.

W codzienność życia górali żywieckich wprowadzała nas przez wiele lat niestrudzona Wanda Hajok z Gilowic. Dwa razy organizowała góralską wigilię ogólnopolską. Odwiedzała ze swoim znanym w Polsce zespołem i Gdańsk, i Wrocław, nie oczekując honorarium. Prowadziła zajęcia wokalne na sesji w Tarnowie.

Zwyczajnie i obrzędy kurpiowskie pięknie ożywił z grupą zapaleńców Sławek Konarzewski z Lubiejewa i przedstawił na scenie teatru w Warszawie. Często jest gospodarzem sesji nauczycielskich i młodzieżowych. Wielkie uznanie należy się Sławkowi za pomysły integrujące kurpiowską społeczność, sięgając do obrzędowych, starych tradycji, a szczególnie za zorganizowanie Ekologicznego Uniwersytetu Ludowego.

Wśród głównych aktorów tulowskich „filmów” jest również historyk Henryk Milanowicz. Miłośnik Kresów organizował kilka ciekawych seminariów i dwie ogólnopolskie wigilie z zachowaniem lokalnych tradycji – w Radoryżu i Podedwórzcu, wygłaszał ciekawe referaty o historii i ludziach Podlasia.

Ostatnio zaskoczył nas wszystkich Złoceniec na Pojezierzu Drawskim, gdzie regionalny Oddział Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych z grupą Hanki Hryniewicz dostarczył nam podczas sesji nauczycielskiej sporo miłych wrażeń i wiedzy o ludziach, ich marzeniach i działaniu. Ten „film” w mojej pamięci pozostanie na długo.

\*

\* \*

Dzisiejszy piękny, słoneczny dzień budzi wiele wspomnień, zdarzeń, a przede wszystkim ludzi. Na pewno nie wymieniłam wszystkich „aktorów” naszych tulowskich lat. Zenek Silwanowicz z Wrocławia, Stanisław Kaczmarek i Stasia Czyrek – to byli pierwsi organizatorzy TUL-u we Wrocławiu 16 lat temu. Oni organizowali I sesję ogólnopolską pt. „Poznajmy Dolny Śląsk”. Oni mnie wspomagali w pracach Komisji Humanistycznej. Była jeszcze wiejska działaczka ze Żmigródka Antosia Kuriatowa, której „Wesele wołyńskie” zapamiętali

tulowcy z całej Polski. Pisała scenariusze, piosenki, uczyła dykcji, ruchu, tańca, mając tylko 7 klas, gdy zachorowała, nikt nie podjął tej działalności. Samorząd nie docenił tej pracy.

Jesień kojarzy mi się z postacią dojrzałej kobiety. Ustabilizowana i wolna od progenitury, zmienna, więc interesująca, kolorowa – zbiera owoce swego życia i te materialne, i metafizyczne z nadzieją na nowy siew. TUL bardzo wzbogacił moją wiedzę – przez kontakty osobiste, książki, artykuły, rozmowy. Wiem teraz, że gdy będziemy uczyć ludzi, jak powinni myśleć, a nie, co mają myśleć, spełnimy swoje zadanie wychowawcze. Zrozumiałam też, że w każdym działaniu nie tyle potrzebujemy pomocy przyjaciół, co wiary, że taką pomoc możemy uzyskać w ciężkiej dla nas chwili.

Dziękuję wszystkim, na których zawsze mogłam i mogę liczyć, a przede wszystkim głównym reżyserem TUL-u.

Oprócz dawnych przyjaciół, do których trzeba zaliczyć koniecznie Janka Pieńkowskiego z Szubina – tulowskiego poetę i autora wielu mądrych artykułów, człowieka wrażliwego i bardzo oddanego idei Solarzów, zafascynowała mnie osobowość profesora filozofii z Gdańska, Andrzeja Leszczyńskiego. Jego wykłady zmuszają do głębszych refleksji, a szybki refleks, poczucie humoru, nawet ironia, dodają smaku rozmowie. Bardzo cenię sobie jego przyjaźń.

A nowe dziewczyny, które mają stałe miejsce w moim sercu, to – Aldona Czerwińska, Ula Przystaw, Ola Kaczmarek, Ula Drożdżyńska, Ewa Sienkiewicz, Jadzia Kur i Ala Szlachcic. Wierzę, że gdy mnie zabraknie, one będą tworzyły nowe tulowskie filmy.

## 2. Wywiad z Jadwigą Harasimowicz

### Teresa Kołakowska

Jadwiga, córka uciekinierki z ogarniętej rewolucją Rosji i legionisty, dzieciństwo spędziła na Wołyniu, gdzie ukończyła szkołę siostr Niepokalanek. W czasie okupacji poznała i pokochała działacza AK, Rajmunda. W kilka lat po wojnie spotkali się ponownie w kieleckiej wsi. Ona była wtedy młodą, uczącą się dopiero swego zawodu, nauczycielką, on studentem Politechniki Wrocławskiej. Dziewczęca fascynacja konspiracyjnym bohaterem przeistoczyła się w dojrzałe uczucie. Pobrali się i zamieszkali we Wrocławiu...

Tak mogłaby zaczynać się historia bohaterki fascynującego romansu, osadzonego w realiach trudnej powojennej rzeczywistości. A to po prostu mała część bogatych wspomnień znanej wszystkim, którzy zetknęli się z działalnością TUL-u, Jadzi – pani Jadwigi Harasimowicz. Osoby, która już od 12 lat pełni funkcję Przewodniczącej Komisji Humanistycznych Inicjatyw Edukacyjnych Zarządu Krajowego TUL i zawsze obecna jest tam, gdzie dzieje się coś ważnego. Posiada taką liczbę medali, odznaczeń i honorowych nagród, że mogłaby nimi obdzielić sporą grupkę działaczy. Nie będę jednak wymieniać wszystkich zaszczytów, których dostąpiła, nie tylko dlatego, że lista byłaby nużąco długa, ale przede wszystkim z tego powodu, że nie są one dla Pani Jadwigi najważniejsze, chociaż – jak chyba każdego z nas – cieszą ją dowody uznania. Wspomnę tylko o najnowszym: odznaczenie honorowej „Zasłużony dla rolnictwa”, którą, za działalność w TUL-u, otrzymała przed kilkoma miesiącami.

Nie próbuję nawet oceniać dorobku Pani Jadwigi Harasimowicz, bo byłaby to praca wykraczająca poza moje umiejętności. Chciałabym tylko napisać, że czuję się wyróżniona Jej przyjaźnią. A oto zapis kilku fragmentów naszych rozmów:

– Twoi znajomi mówią, że jesteś błyskotliwa, zasadnicza i niezmiennie ciekawa ludzi i świata. Co sądzisz o tej charakterystyce?

Przede wszystkim jestem ciekawa ludzi. Dla mnie każdy człowiek to nowa przygoda. Dodałabym do tej charakterystyki jeszcze jedną, ważną moim zdaniem, cechę: jestem wyrozumiała. Może czasem nadmiernie.

– Co najbardziej pociąga Cię w ludziach, a co irytuje?

W ludziach pociąga mnie ich inteligencja i serdeczność. Człowiekowi inteligentnemu jestem w stanie wiele wybaczyć. Bardzo wiele. Denerwuje mnie natomiast zawsze chamstwo i prostactwo.

– A co lubisz w sobie samej?

Lubię w sobie wiele rzeczy. Cieszy mnie, że nie jestem chciwa, że nie imponują mi dobra materialne... Nie jestem drobnomieszczańska. Jak się niejednokrotnie przekonałam, potrafię się dogadać z człowiekiem na każdym poziomie. Ale mam również sporo cech, których u siebie nie lubię. Przede wszystkim zbytnej ciekawości, która wynika zresztą ze wspomnianego już wcześniej zainteresowania człowiekiem. Obawiam się, że niejednokrotnie bezwiednie sprawiłam indagowanemu rozmówcy przykrość swoją docieklivością. No i nie znoszę mej łatwowierności. Na szczęście, dzięki licznym doświadczeniom, w coraz większym stopniu nad nią panuję.

– Co uważasz za swoje największe osiągnięcie życiowe?

Wychowałam dwóch synów na porządnym ludzi. To chyba nie wymaga komentarza. No i jeszcze to, że zawsze otoczona jestem ludzką życzliwością. Czy wiesz, że rokrocznie dostaję ponad sto kartek i listów z okazji imienin czy świąt? Odpisuję na nie oczywiście ze wzruszeniem. Te dowody pamięci pozwalają mi sądzić, że pozostawiłam jakiś ślad w duszach ludzi, z którymi się stykałam. A serdecznych znajomych mam bardzo dużo. I grono przyjaciół od serca, na których mogę liczyć w każdej sytuacji. Taka pewność to wspaniałe uczucie.

– Co było Twoją największą porażką?

Rozdrobniłam się. Poświęcałam swój czas zbyt wielu rzeczom naraz. Nie zdobyłam, chociaż miałam możliwość, statusu naukowego. Mogłam pisać – mam zacięcie publicystyczne – ale tę dziedzinę niestety również zaniedbałam. Mój mąż, pasjonat kina, prosił mnie, żebym wspólnie z nim napisała książkę... także nie znalazłam na to czasu. Bo jak mógł znaleźć czas człowiek będący jednocześnie nauczycielem, metodykiem, opiekunem szkolnego koła ZMW, członkiem Komisji Oświaty Zarządu Krajowego ZMW, współpracownikiem pisma „Gromada Rolnik Polski” i kilku pism młodzieżowych traktujący poważnie te obowiązki? A dom, rodzina?

– Jak Ty to robisz, że będąc w dojrzałym, bądź co bądź, wieku, jesteś wciąż taka młoda?

Żeby zachować młodość, trzeba umieć cieszyć się drobiazgami i nie tylko biernie czekać na wielkie szczęście. Powinno się lubić ludzi i umieć ich słuchać. A w żadnej sytuacji nie opowiadać o chorobach. Nie zamęczać ludzi długimi przemówieniami i pouczeniami. Nigdy nie tracić wiary we własną atrakcyjność. No i przede wszystkim umieć rozmawiać z mężczyznami, czyli doceniać ich zainteresowania i starać się je zrozumieć.

– Czy nazwałabyś to dyplomacją?

Niezupełnie. Przede wszystkim to jest chęć docenienia każdego człowieka z różnym cenzusem i na różnym stanowisku. Oczywiście rozmowa jest na pewno miłsza, gdy mężczyzna jest ciekawy intelektualnie i atrakcyjny.

– Popatrz, nie wiadomo skąd pojawił się zupełnie nowy temat: mężczyźni. A może powiesz coś o mężczyznach Twojego życia?

Nie jestem pewna, czy powinnam się do tego przyznawać, ale bardzo szybko ogarnia mnie fascynacja, gdy spotykam interesującego mężczyznę. Często, niestety, równie szybko mija, gdy poznaję go bliżej. Na szczęście miałam mądrego i tolerancyjnego męża, który posiadał zdrowy dystans do tych moich fascynacji. Fakt, że mi ufał, sprawiał, że zawsze byłam mu wierna. I mogę z całą pewnością stwierdzić, że byłam bardzo szczęśliwa w małżeństwie, ale sympatia mężczyzn była mi potrzebna i jest do dziś.

– Spróbuj sobie wyobrazić, że posiadasz absolutną władzę. Co wówczas zmieniłabyś w otaczającej nas rzeczywistości?

Dałabym większą władzę kobietom. Mądrym kobietom, a takich jest naprawdę wiele. Dlaczego im? Bo widzą szerzej, chociaż mężczyźni są docieklwsi. A ponieważ fascynuje mnie teoria konwergencji, stworzyłabym ustrój pośredni między socjalizmem a kapitalizmem. Zlikwidowałabym nietolerancję. Rasową, narodową, każdą. Przeznaczyłabym więcej środków na kulturę, oświatę i zdrowie, w ogóle poprzestawiałabym wiele, by czynić życie lepszym i bardziej sensownym.

– Jakie miejsce zajmuje w Twoim życiu Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych?

Bardzo ważne. Gdy zostałam sama, nie potrafiłam odnaleźć się w tej sytuacji i byłam bliska załamania. Wtedy Zosia Kaczor-Jędrzycka zaproponowała mi pracę w TUL-u i to mi bardzo pomogło. Przestałam się czuć odizolowana od świata. Tulowcy pomogli mi wrócić do życia, radości, uśmiechu. I nadal mi pomagają. Każde spotkanie daje mi chęć do dalszego działania, czyli po prostu do życia. No i jest jeszcze satysfakcja moralna, gdy i mnie uda się komuś pomóc. Nie wiem, czy wszystkim odpowiada mój sposób bycia, bardzo bezpośredni, ale nie lubię fałszu i bufonady. Cenię natomiast autentyczne twórcze działanie i bezinteresowną serdeczność w stosunkach międzyludzkich, a to widzę u wielu działaczy TUL-u.

– Czy jest coś, co chciałabyś przekazać tym, którzy przeczytają ten wywiad?

Poznajcie i zaaprobujcie siebie. I fizycznie, i psychicznie, i intelektualnie. Ale nie popadajcie w nadmierne samozadowolenie. Pracujcie nieustannie nad sobą. Starajcie się zawsze być z ludźmi. Oni zweryfikują Wasze zdanie o sobie. Przepraszam za ten mentorski ton, ale prawo do wypowiedzania tych zdań dało mi bogate życiowe doświadczenie, którym teraz próbuję się z Wami podzielić. Cieszcie się życiem. Nigdy nie uważajcie, że już wszystko za Wami; niezależnie od wieku. Zdobywajcie przyjaciół i szanujcie ich.

### 3. „Zyskuję radość serca”

Praca nagrodzona w konkursie „Ideały uniwersytetów ludowych w moim życiu”.

Simone de Beauvoir w „Sile rzeczy” pisze: „Starość czyha na mnie z głębi zwierciadła. Dopóki bez przykrości mogłam przyglądać się mojej twarzy, nie pamiętam o niej – teraz nienawidzę mojego wyglądu. Nie mogę też znieść myśli, że przestanę istnieć i całej mojej, przez lata gromadzonej wiedzy nie będzie i nigdy nie będzie wskrzeszona...”

Ja, patrząc w lustro, nie mam lęku. Nie jest to twarz tej młodej dziewczyny, która z Kresów przyjechała do Wrocławia i nigdy już taką nie będzie, ale nie mam do tego odbicia niechęci – przecież sama rzeźbiłam tę twarz przez lata. Są na niej niepokoje dojrzewania, nieświadomość dziewczęcych uczuć, strach wojennych przeżyć, zawodowe ambicje i polityczne rozczarowania, a również dojrzała miłość i przyjaźń, troski macierzyństwa, ból po stracie Najbliższych, chwile załamania i radości z roli babci i ta ciągła ciekawość świata, ludzi, życia. Jest na mojej twarzy wypisana trudna życiowa droga mego pokolenia.



Pochodzę z rodziny inteligenckiej, związanej z pedagogiką i wsią. Dziadek był kierownikiem szkoły w Złotym Potoku, skąd mój ojciec, Lucjan, uciekł do I Brygady Legionów, w której dosłużył się stopnia oficerskiego, a za zasługi wojenne otrzymał działkę wojskową na Wołyniu i stanowisko kierownika szkoły na ukraińskiej wsi Litawież nad Bugiem. Mama – córka rzeźbiarza z Hrubieszowa, ewakuowana z rodziną w 1914 r. do Rosji, skończyła gimnazjum w Achtyrcy i wracając do Polski, poznała korespondencyjnie młodego legionistę. Romantycznej dziewczynie jawił się jak rycerz z „Trylogii” Sienkiewicza, nic więc dziwnego, że tę fascynację uwieńczył ślub. Urodziłam się w Hrubieszowie, ale dalsze moje życie było związane z Wołyniem, gdzie oboje rodzice zaczęli pracować w szkolnictwie.

Kwitnące wiśniowe sady, melodia cerkiewnych dzwonów, pędzące sanki i rwące konie wśród śniegowych puchów przez leśne drogi, tęskne i skoczne pieśni śpiewane przez ukraińskich sąsiadów, pierogi z chlebowego pieca, szeroki trakt do Włodzimierza, budowany za rządów carycy Katarzyny, którym jechałam do gimnazjum – to wszystko pozostało w pamięci...

W moim domu szanowany był każdy człowiek, niezależnie od narodowości, religii czy pozycji społecznej. Rodzice rozumieli tęsknoty Ukraińców do własnego państwa i łagodzili konflikty. Bliska Im była idea J. Piłsudskiego integracyjnej II Rzeczypospolitej z zachowaniem własnej tożsamości innych narodów. W takim klimacie tolerancji, życzliwości, a przede wszystkim patriotyzmu kształtował się mój pogląd na życie i świat. Interesowało mnie jednak za wiele spraw i po trzech dwójkach w gimnazjum koedukacyjnym ojciec przeniósł mnie do gimnazjum Sióstr Niepokalanych w Maciejowie k. Kowla. Najpierw rozpacz, a potem radość, przyjaźnie do dziś i wielka mądrość Sióstr w prowadzeniu do dorosłości. Wspominam je z czułością i szacunkiem.

Obraz mojej przyszłości w miłości i pięknie zaciemnił rok 1939. Przeżyłam okupację sowiecką w ciągłym strachu przed zsyłką na Sybir jako córka oficera i pamieszczyka. Ratowali naszą rodzinę zaprzyjaźnieni Ukraińcy. Uczyłam w szkole, jak mama i uczyłam się w Instytucie Pedagogicznym, Ojciec był za granicą. Gdy weszli Niemcy, pracowałam w kuchni niemieckiej restauracji, gdy przyjechało gestapo likwidować żydowskie getto, przeżyłam trudne dni. Rozpoznał mnie oficer, z którym chodziłam do gimnazjum we Włodzimierzu, był to syn pastora. Już wtedy służył niemieckiemu wywiadowi. Miał radiostację w piwnicy i przekazywał wiadomości o wojsku, o kolegach z podchorążówki. Umawiał się ze mną, a ja umierałam ze strachu przed naszymi chłopcami i niesłusznymi posądzeniami. Udało mi się tylko wyprosić z więzienia kilka osób – jemu też znanych – i gestapo odjechało do Równego. A z Równego przyjechał Rajmund, który prowadził firmę dezynfekcyjną obiektów wojskowych, zaangażowany w wywiad AK. Tak jak kiedyś Mama zakochała się w legionście, ja zakochałam się teraz w tym odważnym chłopcu, który narażał się dla sprawy. Pomógł nam w 1944 r. przejechać do rodzinnej ziemi mego ojca – Kielecczyny, a sam wrócił do swojej służby. Spotkaliśmy się dopiero w 1947 r. w Niekłaniu. Pracowałam w szkole, a moi uczniowie byli starsi ode mnie o kilka lat. Wracali z lasu, z robót w Niemczech, z więzień i łagrów. Biedni, ze spalonych wsi szli do szkoły z odległych o 5–7 km wsi, żeby nadrobić stracony przez wojnę czas. Staralam się im przekazać to, co sama umiałam, bez podręczników i zeszytów. Zaocznie uczyłam się w Liceum Pedagogicznym w Łodzi, które skończyłam z wyróżnieniem. W tej partyzanckiej wsi rozpoczęła się moja wielka pedagogiczna przygoda, która trwa do dziś.

W 1948 r. opuściłam Niekłan, żegnana przez wieś i serdecznie obdarowana na nową drogę życia wiankami grzybów, garnuszkami kwasu na zalewajkę, czajnikami, płaszczem i sukienką z Unry, no i... kotem – „bo na zachodzie są myszy”. Był słoneczny czerwcowy ranek, gdy z mężem szliśmy z Dworca Głównego do naszego nowego Domu we Wrocławiu. Ulica

Powstańców Śląskich była zavalona gruzem zburzonych domów, spod których wybiegały szczury. Straszły wypalone oczodoły okien. Czuć było spaleniznę i odór śmierci. Jak można żyć w takim mieście? – myślałam przerażona. Nagle na tle rozwalonego muru zobaczyłam cudownie delikatne biało-różowe kwiaty magnolii, które rozchyłały swe płatki ku słońcu...

Pragnienie przetrwania i siła piękna zmieniały mój nastrój, życie było silniejsze od śmierci... Już bez stresu oglądałam swój dom z dziurą w dachu i suficie, gdzie w nocy „gwiazdy były nade mną, a prawo moralne we mnie”. Duży taras okolony bzami zachwycił mnie mimo braku ściany w łazience, bo bok domu wyrwał pocisk. Pięknie śpiewały ptaki. Zaczęło się nowe życie w miesiącach Wielkiej Wystawy Ziem Odzyskanych i Kongresu Intelktualistów we Wrocławiu. Dostaliśmy z mężem pracę w technikum mechanicznym w Oleśnicy.

Po roku zaczęłam studia na Uniwersytecie Wrocławskim, na historii, pracując w technikum Służby Polsce. W tym czasie urodziłam dwóch synów i zajęłam się ich wychowaniem. Mąż pracował i kończył Politechnikę. Nakaz pracy skierował mnie do zespołu Szkół Rolniczych we Wrocławiu.

Był to szczęśliwy nakaz, bowiem trafiłam do ludzi zaangażowanych i serdecznych. Moi dyrektorzy – S. Suziński, L. Cetera i A. Piotrowski pochodzili ze wsi. Jasno określali cele dydaktyczne i wychowawcze szkoły, pozostawiając inwencję nauczycielom. Oprócz wiedzy technicznej ukazywali im kulturalne środowiska Wrocławia, uczyliśmy obycia towarzyskiego i kształtowali ich zainteresowania. Razem tworzyliśmy szkołę partnerską na wzór Solarza, którego idei jeszcze wtedy nie znałam.

Zorganizowałam Koło Gospodyń Wiejskich, którym opiekowałam się 10 lat – przechodząc stopniowo do władz wojewódzkich i centralnych w Komisji Oświaty. Wyczytałam w prasie, że w Różnicy k. Kielc istnieje Uniwersytet Ludowy, który prowadzi Waldemar Babinicz. Pojechałam więc z Ziutą – przewodniczącą ZMW, uczennicą IV klasy, by przyjrzeć się tej oświatowej placówce.

Urzekło mnie serdeczne powitanie i mądre, wnikliwe, przyjemne spojrzenie p. Waldemara. Byłam na zajęciach ze słuchaczami, na próbie teatru, wszędzie widziałam autentyczne zaangażowanie tej grupy wiejskiej młodzieży, zgrupowanej na kolejnym kursie animatorów kultury. W pokoju pełnym książek, obrazów, stosu korespondencji, złotych liści za oknem, czerwieni jabłek na stole, przykrytym ludowym wełniakiem rozmawialiśmy z Babiniczem bardzo długo. Mam do dziś w oczach ten pokój, gdzie zaczęła się moja przyjaźń z tym mądrym, ciekawym człowiekiem. Bywał u mnie we Wrocławiu na spotkaniach z młodzieżą i zaoznaniami. Przeżywałam jego tragedię zwolnienia i wyjazdu z Kielecczyny do Nałęczowa, do którego przeprowadzili go przyjacini mieszkańcy Różnicy.

Pisał, zapraszał do siebie, niestety nie zdążyłam... Trzeba się śpieszyć – ludzie tak szybko odchodzą... Pod Jego wpływem w ramach ZMW założyłam Klub Młodej Inteligencji. Skupił około 40 starszych uczniów, spośród których dziś jest kilku profesorami wyższych uczelni, a większość po studiach zajmuje kierownicze stanowiska.

Co prawda jeden z wizytatorów lat 70. pouczał mnie, że wszyscy kończący szkołę ponadpodstawową są inteligencją i „nie wolno tworzyć elit”. Życie tych młodych, ambitnych ludzi z biednych wiejskich rodzin potwierdziło moje racje. Spotkania z pisarzami, aktorami, muzykami, dyskusje po sztukach teatralnych czy w Dyskusyjnym Klubie Filmowym prowadzonym przez męża, wyjazdy do Filharmonii, Opery, na wycieczki krajoznawcze procentowały – kształtując ciekawe twórcze osobowości. Są to dobrzy fachowcy i wrażliwi humaniści. Intuicyjnie stosowałam w pracy z młodzieżą metody Solarzów.

Z końcem lat 80. poznałam osobiście Zofię Solarzową – dzięki Zosi Kaczor-Jędrzyckiej, z którą miałam kontakt w ZMW, a potem we Wszechnicy Rodziny Wiejskiej, do prowadzenia której mnie zachęciła. Była to na pewno swoista forma uniwersytetu ludowego i bardzo się młodzieży podobała.

O pani Solarzowej słyszałam wiele, ale osobiste spotkanie zrobiło na mnie duże wrażenie. Można o niej mówić i pisać nieskończenie. Pogodna, z miłym uśmiechem i wnikliwym spojrzeniem pięknych niebieskich oczu. O sobie mówiła niewiele, zawsze na pierwszy plan wysuwając zasługi swojego męża. Jej bogata osobowość, ciepły stosunek do ludzi, entuzjazm porывały ludzi do podobnych postaw.

W 1987 r. spotkaliśmy się w Bałtyckim Uniwersytecie Ludowym ZMW w Opaleniu k. Kwidzyna, na IV sesji uniwersytetu ludowego dla nauczycieli.

Przyjechaliśmy z różnych stron kraju i wielu z nas, tak jak ja, zetknęło się z działalnością TUL-u pierwszy raz. Skrzyknęła nas Zosia Kaczor – pracownik w Ministerstwie Rolnictwa. Podobała się nam jej bezpośredniość i entuzjazm. Z dumą mówiła o swoim chłopskim pochodzeniu i o ojcu – działaczu ruchu ludowego. Naświetlała nam okoliczności reaktywowania uniwersytetów ludowych, zabiegi i kłopoty z tym związane. Podzieliła się wrażeniami z pobytu w Danii, utwierdziła w przekonaniu, że pochodzenie chłopskie nie jest socjologicznym obciążeniem, a powodem do dumy, że jest się spadkobiercą pięknych i wartościowych tradycji. Profesor Józef Chałasiński pisał z żalem: „Nie ma w Polsce systemu oświaty, który wychowywałby w ścisłym duchowym związku z całą warstwą chłopską. Nie ma szkoły – Akademii Chłopskiej, w której młodzież mogłaby odpowiedzieć na pytanie – Kim mają być chłopcy w Polsce?”

Obie Zofie wierzyły, że droga do uświadomienia młodzieży chłopskiej jej roli w narodzie wiedzie przez rozwój uniwersytetów ludowych – szkolnych, środowiskowych, niedzielnych – dla różnych grup wiekowych. Mówił też o tym w Opaleniu dyrektor tej placówki dr Narcyz Kozłowski. Opowiadał o walce Kaszubów z germanizacją, o działalności organizacji „Młody Las”. Wspominam go z wielkim szacunkiem.

Ciekawe wykłady, dyskusje, wycieczki, zajęcia teatralne i wieczorne śpiewanie „Dobrej nocki” – ciepło wspólnego uścisku rąk w kręgu, pozwolił mi utwierdzić się w przekonaniu, że w życiu liczy się tylko drugi serdeczny, szczery, bliski człowiek.

A tacy byliśmy w tym 1987 r.

Mam przed sobą śpiewnik „Do niebieskich powań” autorstwa Zofii Solarzowej, w którym mi napisała: „Koleżance... życzę z całego serca, aby Jej żywotność, mądrość i mądra dobroć służyły młodym długo i budziły w nich wolę uczestniczenia w życiu”.

Bardzo mnie ta dedykacja podbudowała i pobudziła do konkretnego działania. Liczyłam na humanistów szkół rolniczych i stało się! Zrodziła się myśl powołania ogólnopolskiego Zespołu Pedagogicznego nauczycieli pracujących w oświacie rolniczej. Dwudziestu przedstawicieli różnych województw wybrało Grupę Inicjatywną, która złożyła oficjalne pismo prezesowi TUL-u, Zosi Kaczor, z prośbą o akceptację tego pomysłu. Głównym naszym celem było ustawiczne kształcenie, poznawanie metod współpracy z uczniem – jako partnerem, kultywowanie tradycji i kultury regionalnej, wzbogacenie w nowe przeżycia i refleksje oraz świadomość, że nauczycielowi nie wolno się starzeć, bowiem on musi być przewodnikiem młodzieży w dorosłe życie i nowe tysiąclecie.

W dniu 22 stycznia 1988 r. zmarła Zofia Solarzowa. Przestało bić serce Człowieka, które ludziom okazywało miłość i dobroć. Przez Jej życie przewija się przewodni motyw – nadania właściwej rangi w życiu narodu polskim chłopom.

Często w obecnym pokoleniu inteligencji z wiejskim rodowodem obserwuję małość, nijakość i bierność, co w kontekście nieustępliwości Zofii Solarzowej w walce o idee męża i swego życia, mogą nas tylko zawstydząć. W lutym 1988 r. odbyła się V nauczycielska sesja w Zespole Szkół Rolniczych we Wrocławiu Pracach pod hasłem „TUL dziś i jutro”. Wiele godzin poświęciliśmy pamięci Zofii Solarzowej, która jeszcze rok temu była z nami pełna pomysłów i planów. Odeszła, a życie wymagało dalszych perspektyw i działań.

Koleżanka Stasia Czyrek – polonistka i kolega Zenek Silwanowicz – historyk, zaprezentowali gościom z całej Polski dorobek kulturalny Wrocławia. Spośród wykładowców wyróżniono prof. Jana Miodka i prof. Zbigniewa Kwiecińskiego, którego poznaliśmy w Opaleniu. Z jego inspiracji powstała Komisja Humanistycznych Inicjatyw Edukacyjnych w Warszawie, a mnie powierzono funkcję przewodniczącej. Do Rady Komisji weszli: Bożena Antoszczyk z Wojławic, Basia Wikło z Jabłonia, Zosia Misiewicz z Krakowa, Kazik Cetnarowicz z Krakowa, Heniek Milanowicz z Radoryża, Henryk Kupidura z Wałcza, Janek Pieńkowski z Samostrzela, Józek Gościej z Marcinkowic, Gabrysia Olszańska z Łomży, Czesław Opaliński, Stanisław Kaczmarek i Zenek Silwanowicz z Wrocławia. Prawie w tym samym składzie dobrnęliśmy do 22. sesji, a więc Komisja istnieje 12 lat. Jako nauczyciele i działacze poczuliliśmy się kontynuatorami tych ludzi, którzy prawie 100 lat temu uznali za płaszczyznę wszelkich starań i wysiłków chlopską społeczność i wzajemne współtworzenie tradycyjnych, przekazywanych przez pokolenia wartości duchowych.

Degradacja systemu oświatowego, a szczególnie wychowawczego stawiała przed Komisją poważne zadania edukacji nauczycieli. Dzięki prof. Z. Kwiecińskiemu udało się nawiązać serdeczne kontakty z wieloma pracownikami naukowymi różnych kierunków: psychologii, socjologii, pedagogiki, historii, filologii i politologii. Prowadzili wykłady i dyskusje: prof. prof. Ania i Jerzy Brzeziński, Halina i Tadeusz Zgólkowie, Ryszard Borowicz, Danuta Markowska, Tomasz Szkudlarek, Andrzej Pawłucki, Aleksander Nalaskowski, Władysław Serczyk, Antoni Podraża, Stanisław Bort-nowski, Maria i Adam Halamscy, Ewa Rodziewicz, Edmund Rosner, Kazimierz Głowczewski, Andrzej Leszczyński, Zenon Radziwolski, Jan Miodek, no i nasi dwaj doradcy – Zbigniew Kwieciński i prof. Czesław Opaliński z Wrocławia, oraz były prezes TUL-u prof. Tadeusz Pilch.

Na kolejnych sesjach i seminariach starałam się angażować coraz to nowych ludzi, młodych i aktywnością świeżych, nie rozstając się z doświadczonymi, jak nazywaliśmy ich żartobliwie, dinozaurami.

Stopień naukowy, stanowisko, wiek czy określona opcja polityczna nie stanowiły przeszkody w integracji. TUL powinien łączyć ludzi twórczych, bowiem tolerancja jest mechanizmem życia społecznego i od niej zależy ład społeczny.

Uniwersytety ludowe nie mogą uciekać się do indoktrynizacji, natomiast oswajając z problemami inności i odrębności różnych ludzi. Ta inność oddziałuje twórczo, mnoży i wzbogaca ludzkie doznania, czego oczekuje się szczególnie od pedagogów.

Błędy systemu oświatowego stawiały przed Komisją Humanistyczną poważne zadania. Ignacy Solarz uważał, że „...nie może być szkolenie nużące, napychanie samego umysłu wiadomościami, nie może być troską tylko o rozum, ale o sprężyny rozwoju, o obudzenie uczuć i działanie nimi realnie na życie. Trzeba zaprzęgać rozum do czynu...”. Taki program mogą realizować tylko ludzie ogarnięci pasją działania wychowawczego, a do tego wolą stałego dokształcania.

Idealy Solarzów stały mi się bliskie i bardzo zależało mi na tym, by nauczyciele, z którymi organizowaliśmy spotkania, potrafili szczerze rozmawiać z młodzieżą, widząc w niej partnerów, a nie numer w dzienniku.

Chciałam, by w swojej pracy stawiali sobie pytania zasadnicze. Kim będziemy? Czy konsumpcyjnym społeczeństwem małej stabilizacji, mebli, pralek, samochodów, komórek i komputerów? Bez bezinteresownych uczuć i głębszych, szerszych, nie tylko materialnych, zainteresowań? Czy zamożnym społeczeństwem ludzi na miarę XXI w. – mądrych, serdecznych, dostrzegających piękno dźwięku, kształtu i barwy otaczającej nas przyrody i rozumiejących, że wiedza techniczna się dezaktualizuje i że o postępie nie decyduje maszyna, a człowiek. Jaki będzie ten człowiek Jutra?

Staraliśmy się na sesjach przekonać nauczycieli, że nim wprowadzimy młodzież w zagadnienia ekonomii i techniki, musimy wprowadzić ją w krąg kultury – najpierw lokalnej, regionalnej, a potem szerszej, narodowej i ogólnoludzkiej. Utwierdzaliśmy w tym, że jesteśmy odpowiedzialni za kształt każdego powierzzonego nam młodego człowieka.

Profesorowie Kwieciński i Opaliński prowadząc zajęcia, wyrażali zgodną opinię, że szkoła realizująca model poszukiwania, komunikacji i tolerancji, buduje osobowość i tworzy warunki do współdziałania w poszukiwaniu prawdy. Wytwarza zaangażowanie, przez fascynację zagadkami, do odkrycia z innymi ludźmi. Taka szkoła tworzy ramy do dialogu, w którym mogą zabrzmieć różne racje. Uczy racjonalnego myślenia i krytycyzmu oraz odwagi w wypowiedzeniu własnego zdania. Staraliśmy się zaplanować, razem z sekretarzem Zarządu Krajowego TUL Majką Korulczyk, ciekawe wykłady i komunikatywnych wykładawców. Oto kilka tematów: Nauczanie i wychowanie wielopoziomowe, Wspomaganie rozwoju, Alternatywy w edukacji, Uczmy się tolerancji, Stąd nasz ród, Humor w szkole, Wychowanie do Unii Europejskiej, Tożsamość narodowa, i wiele innych.

Nasze sesje odbywają się w różnych województwach celowo, żeby poznać historię, tradycję i współczesność regionu – jego ciekawych, twórczych ludzi i ich działalność. Krótkie seminaria organizują Oddziały Regionalne w porozumieniu z Zarządzeniem Krajowym TUL. Charakter obrzędowy mają Wojsławice, Lututów, Lubiejewo, Kłanino, Piła, Jabłoń i Milicz (szkoły rolnicze). Młodzież poznaje tradycje ojców i historię swej „małej ojczyzny”. Szczególnie wzruszające są ogólnopolskie i regionalne wigilie. Kraków prowadzi już kilka lat „pedagogikę twórczą” z ambitnymi nauczycielami, którzy przynoszą nowe wiadomości i doznania do swych szkół, wychowując ludzi myślących i aktywnych.

Spółeczność dolnośląska nie stanowi jednolitego monolitu, ponieważ prócz rdzennych Ślązaków przybyli na te ziemie Polacy z Wołynia, ze Lwowa, z Wilna, Rumunii, Jugosławii i centralnej Polski. Inne obyczaje i tradycje stwarzają trudności integracyjne do dziś.

Wspólne tulowskie imprezy zблиżają ludzi do siebie. Widzę tu olbrzymią rolę uniwersytetów ludowych. W ramach Komisji Humanistycznej Wrocław buduje „mosty porozumienia międzynarodowego”, współpracując z „Międzynarodowym Ośrodkiem Spotkań w Marienthalu” za Odrą, w klasztorze niemieckich cysterek. Organizujemy tam seminaria, nawiązując partnerskie stosunki z Czechami i Niemcami, Łużyczanami. Grupy słuchaczy starszych i młodszych poznają historię tych narodów, tradycje i obyczaje. Wielka polityka nie zdziała tyle, co oddolne porozumienie ludzi – uznanie ich inności oraz chęć poznania losów sąsiadów.

Działacze Komisji Humanistycznej rozwijają w szkołach rolniczych zainteresowania etnografią, historią, tworząc ciekawe muzea, jak w Wojsławicach Bożena Antoszczyk, w Marcinkowicach Józek Gościej, w Jabłoniu Basia Wikło, w Przedborzu Tadeusz Michalski i Jurek Dukowicz.

Rozwijały się też w ciągu tych lat Zespoły Pieśni i Tańca finansowane przez ZK TUL, jak np. w Miliczu, Jabłoni, Lututowie, Barlewiczkach, Grzybnie. Myślę, że sesje i seminaria wzbogacały nauczycieli w nową wiedzę i inspirowały do działań w swoich regionach.

\*  
\* \*

Moja działalność w TUL-u dała mi wiele satysfakcji. Ideały moich Rodziców – ich praca na Kresach kształtowała mnie żywym przykładem. Staralam się iść ich śladem. Kontynuację odnalazłam w programie uniwersytetów ludowych.

Zawsze miałam wytyczony cel w życiu i daleką perspektywę działań, ale ta postawa wiązała się Mężem – Jego miłością, opieką i mądrością. Czuliśmy, myśleliśmy podobnie... Nagle zostałam sama.

Ludzie okazali mi wiele sympatii, ale każdy ma swoje kłopoty. Nie można oczekiwać, że świat się zmieni, gdy nam zabraknie najbliższej Osoby. Ludzie nie mają smutnych twarzy, dlatego się pilnuję, by nie obarczać innych swoją samotnością. Tamto życie się skończyło i nie mogło być już wspólnej pracy, wspólnych planów... Synowie mają swoje Rodziny i swoje problemy – to rozumiałe.

Musiałam określić swoje miejsce w świecie na nowo. Wtedy przyszła propozycja współpracy od Zosi Kaczor. Jestem jej bardzo wdzięczna, bo praca w Towarzystwie Uniwersytetów Ludowych pomogła mi przywrócić radość serca, radość życia, zachować nadzieję i pogodę wewnętrzną. Poznałam wspaniałych ludzi, którzy obdarzyli mnie swoją przyjaźnią.

Słuchając na międzynarodowych konferencjach relacji na temat dotacji budżetowych wielu państw na rzecz uniwersytetów ludowych czy powszechnych, zastanawiam się, dlaczego nasi decydenci od lat nie doceniają ofiarnej i bezinteresownej pracy naszych tulowców i znaczenia uniwersytetów ludowych na prowincji w systemie wychowawczym.

Ostatnio jednak przestałam się dziwić, tylko ogarnął mnie strach. Prasa donosi, że 50% Polaków nie przeczytało w ciągu ostatniego roku ani jednej książki, a 63% nie czyta gazet. Co się stało? Polacy jako naród zawdzięczają przecież swoje istnienie sile kultury. Dzięki niej przetrwaliśmy okres zaborów, wojny, radziecką dyktaturę.

„To nie sztuka zbudować nowy Dom, ale trzeba, żeby on miał duszę...”. Niestety, w procesie reformowania państwa duchowa sfera życia narodu została zaniedbana. A przecież fundamentem więzi społecznej są tradycja i pamięć historyczna, które tworzą wspólnotę, najpierw lokalną, a szerzej narodową. Integracja z Unią Europejską stawia przed Polską nowe wyzwania. Ochronić narodową tożsamość, a jednocześnie promować za granicą nasze kulturowe dziedzictwo i dokonania. Obecne finanse wyznaczają na kulturę 0,44% budżetu, a np. na Węgrzech 1,85%. To grozi nam wtórnym analfabetyzmem, szczególnie na wsi.

Najwyższy czas powstrzymać degradację kultury – zamykanie bibliotek, klubów, teatrów i szkół, szczególnie na prowincji, a tworzyć różne szanse jej rozwoju – traktując oddolne społeczne działanie jako cenne wspólne dobro.

Takie oddolne inicjatywy przez wiele lat przejawia Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych i za kadencji Zosi Kaczor, i Tadeusza Pilcha. Obydwoje są bardzo zaangażowani w sprawy edukacji oraz perspektyw życiowych młodzieży wiejskiej. Są różni, a przez to ciekawi i oryginalni. Wiele się od tych naszych prezesów ZK TUL nauczyłam i bardzo sobie cenię ich przyjaźń. Zawdzięczam Im powrót do świata i ludzi oraz przekonanie, wbrew Simone de Beauvoira, że ta moja życiowa krzątanka nie całkiem zaginie.

# IV

## WSPOMNIENIA O JADWIDZE HARASIMOWICZ

### 1. Życie Jadzi było piękne, bogate i ofiarne

#### Zofia Kaczor-Jędrzycka

Z wielkim smutkiem, pełni bólu, zebraliśmy się dziś przy prochach Jadzi Harasimowicz, aby Ją pożegnać na zawsze. Nieubłagana śmierć zabrała ją spośród żywych. Przestało bić serce człowieka, które ludziom dawało radość, miłość i otuchę.

Odeszła na wieczne milczenie, skąd nie ma powrotu, odeszła do nowej Ojczyzny. Przeszła do nowego życia.

A jeśli komu droga otwarta do nieba – to tym, co wiernie służyli ludziom i Ojczyźnie. Tę służbę wypełniała wiernie. W prostocie, skromności objawiła się Jej wielkość.

Życie Jadzi było piękne, bogate, ofiarne. Było rzucaniem ziarna w ziemię, dobrym siewem dla Polski. Była obecna na drogach wielu ludzkich losów. Trudno uwierzyć, że jeden człowiek mógł tak dużo dokonać, pobudzać i uwrażliwiać setki ludzi – młodych i starszych. Dzięki takim ludziom jak Jadzia rodzą się i trwają dzieje, choć nie zawsze historia ich zauważa. Przypomnijmy tę bogatą i twórczą drogę życiową Jadzi.

W eseju nadesłanym na konkurs „Idea uniwersytetów ludowych w moim życiu” pisała: „Pochodzę z rodziny inteligenckiej, patriotycznej, związanej z pedagogiką i wsią. Urodziłam się w Hrubieszowie, ale dalsze moje życie związane było z Wołyniem, gdzie rodzice pracowali w szkolnictwie”.

Jej świat dzieciństwa, który zawsze nosiła pod powiekami, to ogromne lipy koło domu, potok, a dalej na horyzoncie góry. Zostały Jej w pamięci kwitnące wiśniowe sady, melodie cerkiewnych dzwonów, tęskne pieśni ukraińskie.

Ten świat na Kresach kształtował dziecięcą wrażliwość i młodzieńczy patriotyzm Jadzi, kształtował poglądy na życie i świat. Po szkole podstawowej uczyła się w gimnazjum we Włodzisławiu, a potem w Maciejowie k. Kowal.

Piękny okres życia wczesnej młodości zaciemniał rok 1939. Przeżyła okupację sowiecką w ciągłym strachu przed wywózką na Sybir. Uczyła w szkole i uczyła się w Instytucie Pedagogicznym. Ojciec był za granicą. Gdy weszli Niemcy, przeżywała chwile grozy. W tym czasie poznała przyszłego męża związanego z wywiadem AK.

W 1944 r. przyjechała w rodzinne strony Ojca na Kielecczyznę – do Krainy Świętokrzyskiej. To kolejny – drugi ważny etap w życiu Jadzi. Pracowała w szkole w Nieklaniu

k. Końskich. Uczniowie starsi od niej o kilka lat – to niedawni partyzanci, którzy jeszcze w lasach nosili w jednej kieszeni granat, a w drugiej książkę. Byli też tacy, którzy wracali z robót z Niemiec, z więzień i łagrów.

Tu, w Krainie Świętokrzyskiej, przeżywała Jadzia fascynację Żeromskim, bliska stała się Jej idea szklanych domów.

Legenda Żeromskiego, praca w szkole, zdobywanie kwalifikacji w Łodzi w Liceum Pedagogicznym, formowały społeczną osobowość Jadzi i wrażliwość na sprawy ludzkie.

Bliskie Jej były słowa tego wielkiego pisarza – „Oświecajcie naród, żeby wiedział, czym był, czym jest i czym być powinien, oświecajcie go, bo noc ducha jest jedną z najokropniejszych śmierci (...) uczcie lud polski myśleć (...) Patrioci podajcie dłoń mędrcom, bo mądrość potrzebna jest dziś bardziej niż kiedykolwiek Ojczyźnie”.

Wierna tym wskazaniom torowała drogę mającym nastąpić w przyszłości przemianom w Polsce.

Urzeczywistniała to wszystko na miarę warunków, w których żyła – jako wybitny nauczyciel i wychowawca, publicystka, działaczka Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych.

W 1948 r. opuściła Niekłanie, przeniosła się do Wrocławia. To pierwsze spotkanie z Wrocławiem pięknie opisała we wspomnianym już esej u nadesłanym na konkurs. Zamieszkała z mężem w zrujnowanym domu, ale w sąsiedztwie kwitnących magnolii i bżów. Rozpoczęła pracę w Technikum Mechanicznym w Oleśnicy, a po roku podjęła studia na Uniwersytecie Wrocławskim.

Nakaz pracy skierował Ją do Zespołu Szkół Rolniczych w Praczach. Pracze były wówczas wybitnym Ośrodkiem Pracy Twórczej, promieniującym na szkolnictwo rolnicze. Nazywane były Polskimi Atenami oświaty rolniczej. Pracowały tu wybitne indywidualności, wśród nich humanista – dyrektor Antoni Piotrowski, mający wielki wpływ na Jadzię. Szkoła kształtowała ludzi „mądrych i dobrych”. Jadzię fascynowała praca z młodzieżą, także tą dorosłą, uczącą się zaocznie.

Była nauczycielką, która nie tylko uczyła, ale wskazywała drogę do odkrywania w sobie dobra i prawdy.

Bardzo mocno wierzyła w człowieka i w istnienie w nim dobra. Ta kwalifikacja związana z wiarą w dobroć człowieka stanowi nieomylny znak rozpoznawczy mistrzów w pięknym zawodzie nauczyciela.

Jadzia była tym MISTRZEM.

Piękny epizod Jej życia to współpraca z redakcjami: „Młody Rolnik”, „Gromada Rolnik Polski”. Publikowała tu swoje artykuły, w których poświęcała dużo uwagi problemom wychowawczym, roli domu i szkoły. Uczestniczyła w spotkaniach organizowanych przez Gromadę – Rolnik Polski z władzami oświatowymi, przedstawicielami świata nauki i kultury. Redakcja odznaczyła Ją Staszicowskimi medalami i nagrodami.

W redakcji Gromada Rolnik Polski poznała Jadzia Mędrca z Ustronia – prof. Jana Szczyńskiego. Obdarzyła go wielkim szacunkiem. Poświęciła naszemu tulowskiemu „Chrzestnemu”, po jego śmierci, piękny esej w Księdze Wspomnień. Ten tekst to perełka pośród napisanych przez wielu wybitnych polskich uczonych.

W wielu środowiskach cieszyła się prestiżem i uznaniem społecznym.

W latach 80. związała się z Towarzystwem Uniwersytetów Ludowych. Poznała Zofię Solarzową współtwórczynię polskich uniwersytetów ludowych, zafascynowała się Jej osobowością. Wszystkie siły oddała TUL-owi przywróconemu do życia po 30 latach przerwy.



W Pracach organizowała seminaria nauczycielskie, skupiała wybitnych uczonych. Marzyła o zorganizowaniu Dolnośląskiego Uniwersytetu Ludowego. Ówczesny dyrektor Prac, Stanisław Kot, wydzielił na ten cel budynek. Z prof. Opalińskim opracowała program przyszłej placówki – ŚWIETLISTEGO DOMU. Chodziło o integrację młodego pokolenia Polaków, Ukraińców, Niemców – zamieszkujących po wojnie tereny Śląska. Zabiegi skończyły się niepowodzeniem, wkrótce doszło do likwidacji również szkoły rolniczej, która istniała pół wieku.

Wielką ideowość i żarliwość wykazała Jadzia, organizując przy Zarządzie Krajowym TUL Komisję Humanistycznych Inicjatyw Edukacyjnych. Pod Jej kierunkiem zespół nauczycieli dokonał rewolucyjnych zmian w szkolnictwie, w umysłach pedagogów i młodzieży. Chodziło nam o to, aby rozum zaprzęgnąć do czynu, budzić uczucia i chęć działania na całe życie. Jadzia uważała, że taki program mogą realizować nauczyciele ogarnięci pasją działania wychowawczego, a do tego wolą stałego doskonalenia.

Jadzia kierowała przez prawie 15 lat sesjami uniwersytetów ludowych dla nauczycieli. W tym twórczym ogniwie TUL-u skupiała się elita nauczycielska z całego kraju, wspierana przez wybitnych uczonych i twórców kultury. Jadzia miała niezwykle dar przyciągania i skupiania ich wokół naszej organizacji.

Jednoczyła nas, tulowców i ciągle podkreślała, że w jedności siła, w godności nasza moc.

Dziękujemy Ci Jadziu za to, że współtworzyłaś ruch uniwersytetów ludowych, który uczy, jak przez mądre wychowanie można kształtować demokratyczną jednostkę i demokratyczne państwo, wrażliwość społeczną, budować więzi społeczne i umacniać tożsamość kulturową.

Pozostawiłaś Jadziu dziesiątki artykułów, esejów, które będą pobudzać do myślenia i staną się drogowskazami do dalszego działania. Świetnie władałaś piórem, miałaś dar cudownego rozmawiania z ludźmi. Bardzo Ci tego zazdrościłam. Przemawiały do nas mocno Twoje słowa, jakże mądre i aktualne. Mówiłaś nam, że potrzeba nam więcej ciszy i spokoju, by zrozumieć najpierw „siebie”, a potem drugiego człowieka. Mówiłaś, że zgiełk rzeczy, które już mamy i które jeszcze możemy mieć, zagłusza odwieczną prawdę, że istnieje coś więcej niż to, co możemy kupić, dotknąć albo obejrzeć. Uzmysławiałaś nam, że w ogólnym pędzie i zgiełku umyka świadomość, że ludziom przystoi się mierzyć wartościami, a nie stanem konta. Potrzeba nam więcej ciszy, serca i sumienia oraz prawdziwej miłości do drugiego człowieka. Słowa te są dla nas ideowym testamentem.

Przeżyliśmy mocno Twój ostatni artykuł w czasopiśmie tulowskim – pt. „Dziękuję wszystkim za przyjaźń i współpracę” oraz treść listu, który przesłałaś z okazji 20-lecia TUL-u. Dziś my w tej żałobnej atmosferze dziękujemy Tobie za wierną przyjaźń, za to kim byłaś dla nas. Przybyliśmy z różnych stron Polski – Pomorza, Podlasia, Mazowsza, Piotrkowskiego i Łódzkiego, Małopolski, ze Śląska. Jest cały Oddział TUL wrocławski. Chcemy Ci dziś złożyć hołd pamięci i zapewnić, że będziemy wierni ideałom, wartościom, którym służyłaś i które wyznawałaś przez całe swoje życie.

Odeszłaś Jadziu, ale nie cała umarłaś. Jesteśmy pewni, że jesteś Jadziu z nami i będziesz żyła wśród nas. Nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych.

Śpij snem wiecznym, pamięć o Tobie zachowamy w naszych sercach.

Twoim synom, siostrze Zofii oraz Rodzinie składamy wyrazy serdecznego współczucia.

Wieczna cześć Twojej pamięci.

## 2. Wspomnienia siostry

### Zofia Karczmarska

Od najwcześniejszych lat życia byliśmy zawsze blisko siebie: dwie siostry silnie ze sobą związane, przeżywające te same dzieje na wsi na Wołyniu (Jakowicze pow. Włodzimierz Wołyński), potem w samym Włodzimierzu (do 1944 r.), następnie na Ziemi Kieleckiej, a od 1948 roku – we Wrocławiu. Zawsze blisko siebie: w jednym domu, potem na pobliskich ulicach.

Jak trudno jest pisać o kimś bardzo bliskim... Jak opisać, przedstawić 80 lat: wiosny, lata, jesienie, zimy... Jak oddać prawdę o historycznych czasach, wspominać spokojnie, bez głębokiego wzruszenia rodzinę, przyjaciół, szkoły? Jak nie skrzywdzić kogoś zapomnieniem. Książd Jan Twardowski tak wspomina swoje spotkanie z Januszem Korczakiem („Autobiografia – myśli nie tylko o sobie” 1915–1939, Wyd. Literackie, t. 1) i związane z tym refleksje:

„Ile w życiu przeorałeś

Ile włożyłeś pod budowę, zanim odejdiesz. Jaka była twoja służba

Kogo wsparłeś, kiedy się zachwiał

Kogo uczyłeś nie patrząc na zapłatę”.

Od dwóch pokoleń wychowywała nas szkoła. Nasz dziadek, Piotr Bazgier, był synem chłopca, ale nie chciał gospodarzyć na roli, tylko pragnął się uczyć, by potem pracować jako nauczyciel. Był kierownikiem szkoły w zaborze rosyjskim na Kielecczyźnie. Z wielkim trudem zdobył polskie elementarze i potajemnie uczył dzieci. Pewnego pochmurnego dnia pojawiła się w szkole nieoczekiwana wizytacja rosyjskiego inspektora. Nasz ojciec wspominał: „Na pogrzebie kochanej żony ojciec mój nie płakał, ale gdy inspektor darł z trudem zdobyte polskie elementarze i kazał woźnemu rzucać je do płonącego pieca, po twarzy ojca płynęły łzy”.

Nasz ojciec Julian Lucjan Bazgier, porucznik I Brygady Józefa Piłsudskiego przeszedł na wcześniejszą emeryturę, gdyż służbę w legionach liczono podwójnie. Lato spędzał na działce w osadzie wojskowej, która powstała po parcelacji części majątku Ledóchowskich, a działki otrzymywali uczestnicy walk o niepodległość (11 ha). Osada nazywała się Orleża.

Od dzieciństwa mieszkaliśmy w budynku szkoły pod słomianą strzechą. Od rana gwar dzieci, dzwonki szkolne. Szkoła stała przy drodze naprzeciwko pięknej neogotyckiej cerkwi (fenomen w powiecie!). Wszystkie cerkwie w okolicy były w stylu bizantyjskim z niskimi zielonymi kopułami. Ta była inna. Wokół rosły stare jesiony i brzozy. Przy budynku szkoły jarzębiny, bzy i wiśnie. Do szkoły wchodziło się po trzech kamiennych schodkach przez oszklony ganek. Długi korytarz dzielił budynek szkolny na dwie części: na lewo duża słoneczna klasa z sześcioma oknami na 3 strony świata, na prawo – mieszkanie nauczyciela: trzy pokoje, kuchnia, sień, spiżarnia i wyjście na podwórko. W klasie stały ławki szkolne, ciężkie, niskie z podnoszonym pulpitem, stare – czterosobowe i nowe – już dwuosobowe z otworem na wpuszczany weń szklany kałamarz. Była to nowość, którą wprowadziła nasza Mama Franciszka Bazgierowa – nauczycielka, kierowniczką czteroklasowej Powszechniej Szkoły w Jakowiczach – gmina Mikulicze, powiat Włodzimierz Wołyński. Wcześniej dzieci przynosiły atrament ze sobą w buteleczce na sznurku. Klasy uczyły się po dwie na dwie zmiany. Gdy nauczycielka prowadziła z jednym oddziałem zajęcia głośne, drugi miał zajęcia ciche, tzn. pisanie, czytanie lub „słupki” z matematyki.

Nauczycielski stół, krzesło, tablica na stojaku dopełniały umeblowania. Na ścianie godło państwowe oraz portrety marszałka Józefa Piłsudskiego i prezydenta Ignacego Mościckiego. Między oknami wisiła fizyczna mapa Polski w ówczesnych jej granicach, po drugiej stronie tablice ortograficzne pięknie wypisane przez byłego ucznia Mamy – malarza amatora. We wschodnim kącie sali umieszczona była ikona Matki Boskiej ozdobiona zwyczajem prawosławnym ręcznikiem kunsztownie wyszywanym haftem krzyżykowym w czarne i czerwone róże. W czasie wizytacji inspektor szkolny kazał ikonę powiesić nad drzwiami klasy i zdjąć ręcznik. W kącie stała malowana farbą bordo bardzo stara szafa. Na górnych półkach była biblioteka szkolna, a na dolnych – sklepik, w którym dzieci mogły kupić potrzebne przybory szkolne. Dochód był przeznaczony na kupno nowych książek do biblioteki. Budynek był ogrzewany drewnem, potem też węglem. Wodę ze studni sąsiada przynosiła woźna opłacana przez soltysa. W klasie stała na stojaku miednica do mycia rąk dla dzieci i dwa wiadra – na wodę czystą i na zlewki.

Często chodziło się do odległej o 3 km siedziby gminy Mikulicze, gdzie był urząd pocztowy i dudnił cały czas młyn parowy dziedzica. Robiliśmy tu zakupy w żydowskim sklepie „U Motia”, który potrafił załatwić różne zlecone zakupy i sprawy. Oprócz artykułów spożywczych sprzedawał wódkę, naftę i bardzo dobrą kiełbasę, a za 1 grosz można było otrzymać dwa cukierki „raczki”. Dzieci wiejskie słodczy nie jadały: cukier był drogi (1 kg kosztował 1 zł – tyle, co dniówka pracy w polu). My z siostrą częstowałyśmy dzieci, gdy przychodziły do nas bawić się lalkami. One lalek nie miały. Babcia częstowała wszystkie dzieci słodyczami, konfiturami, kisielom. Chętnie jadły i grzecznie dziękowały po jedzeniu. Do szkoły uczęszczało blisko 100 dzieci, wśród nich ok. 1/4 to były dzieci polskich osadników wojskowych, pozostałe to dzieci ukraińskie. Od I klasy wszystkie dzieci uczyły się po polsku z polskich elementarzy i książek. Języka ukraińskiego nie uczono wcale. Do szkoły na lekcje religii przyjeżdżał jednego dnia ksiądz katolicki, a innego – ksiądz prawosławny. Między dziećmi różnych wyznań nie było wrogości. Naturalnym było, że początkującą szkolny dzień modlitwą dzieci prawosławne rozpoczynają, zęgnając się trzema palcami 3 razy i z prawa na lewo. Prawosławni szanowali święta katolickie, np. nie pracowali w Boże Ciało, bo wierzyli, że jest to święto, które chroni od pioruna. Katolicy także nie podejmowali ciężkiej pracy, np. orki w święta prawosławne. Mieszkańcy wsi, mimo że posługiwali się różnymi językami i byli różnych wyznań, między sobą i z nami żyli w zgodzie. Jeśli były kłopoty w rodzinach, to kobiety przychodziły po poradę lub po prostu wyzalić się do „naszej pani”. Lubiłyśmy te wizyty, podsłuchiwałyśmy rozmowy i zapamiętywałyśmy charakterystyczne powiedzenia: „Niech nawet gorzej, aby inaczej”, „Żenisz się nie tylko z dziewczyną, ale i z jej rodziną”.

Babcia dużo czytała nam głośno: „Płomyki” i „Płomyczki”, które były pręnumerowane oraz książki kupowane przez rodziców. Ojciec z Warszawy przywiózł radio! Na podwórku ustawiono 2 wysokie maszty z anteną, w domu detektor – mały jak pudełeczko aparat, kryształek z pokrętkiem i słuchawki na uszy. Od 1937 r. mieliśmy już radio z głośnikiem. Akumulator do niego trzeba było co pewien czas ładować we młynie w Mikuliczach.

Lata 30. przyniosły pewne zmiany. Zaczęto głośić hasła „Polska dla Polaków”. Polska policja rozpędzała młodzież ukraińską, która od lat zbierała się na pagórku koło cerkwi, aby pośpiewać. Rodzice nasi solidaryzowali się z młodzieżą – byli oburzeni jej potraktowaniem. Zaczęły się też naciski na nauczycieli, np. w inspektoracie szkolnym polecono Mamie, aby nie wyrażała zgody na udostępnianie klasy szkolnej na amatorskie przedstawienia ukraińskiego zespołu teatralnego, co dotąd było w zwyczaju. W czasie wyborów do samorządu w gminie Mama wykryła fałszerstwo głosów wyborczych, które miało nie dopuścić do wyboru do sa-

morządu gminy żadnego Ukraińca. Po jej proteście wybory trzeba było powtórzyć. Uradowani Ukraińcy ponieśli „naszą panią” na ramionach. Inspektor szkolny znów wezwał Mamę i zapytał retorycznie: „Czy chce pani nadal pracować w szkole?” To były bardzo trudne chwile dla kobiety posiadającej na utrzymaniu dzieci i dwoje starych rodziców, ale także trudne dla całej społeczności wiejskiej. Wtedy Mama założyła Koło Gospodyń Wiejskich, do którego należały jej dawne uczennice: Polki i Ukrainki. Pracowały w Kole zgodnie, a zachęcane przez Mamę przychodziły na różne uroczystości w strojach regionalnych – bluzkach z długimi rękawami wyszywanymi w czarne i czerwone róże. Mama zachęcała w ten sposób do utrzymywania tradycji regionalnych haftów, mimo że pojawiały się nowe wzory. Postawa rodziców spowodowała, że potajemnie zostaliśmy ostrzeżeni i poradzono nam, abyśmy uciekali do miasta – Włodzimierza. W ten sposób w roku 1941 ocalałyśmy od mordów dokonywanych przez ukraińskie bandy.

Jadzia po ukończeniu IV klasy w Jakowiczach dalszą naukę kontynuowała w oddalonej o 11 km siedmioklasowej szkole w Litowierzu, której kierownikiem był nasz Ojciec. Po ukończeniu VI klasy zdała egzamin do gimnazjum we Włodzimierzu. Tam cieszyła się wielką sympatią profesorów i kolegów. Klasa była koedukacyjna. Jadzia samorzutnie założyła „piątkę klasową”, której celem było kształtowanie charakterów, samokształcenie oraz organizowanie różnych szkolnych imprez. Nawiązane wtedy więzi koleżeńskie i sprawdzenie się w samorządzie szkolnym w przyszłości okazały się przydatne podczas konspiracyjnej działalności w ramach AK.

Niestety, Jadzia pochłonięta wtedy tymi zajęciami trochę zaniedbała się w nauce: otrzymała słabe oceny z matematyki, fizyki i chemii. Z przedmiotów humanistycznych miała jednak oceny dobre i bardzo dobre. Rodzice zdecydowali więc o przeniesieniu jej do prywatnej szkoły z internatem w Maciejowie k. Kowla prowadzonej przez siostry Niepokalanki, co wiązało się z kosztami. Przez kolejne 2 lata miała okazję zetknąć się z wszechstronnie wykształconymi i uzdolnionymi pedagogicznie siostrami, które wywarły wpływ na kształtowanie charakteru młodej dziewczyny. Zawarte wtedy dziewczęce przyjaźnie przetrwały wiele lat. Rozmowy w grupie i indywidualne na poważne życiowe tematy kształtowały młode dziewczęta, przygotowując je do ról obywatelki, chrześcijanki, gospodyni i matki. Zajęcia praktyczne dotyczące gospodarstwa domowego sprawiły, że Jadzia miała zawsze wszystko pięknie poukładane w szafach, ale szyc się nigdy nie nauczyła.

W 1939 r. zdała małą maturę i rozstała się z koleżankami oraz siostrami w Maciejowie, który zdołała pokochać na wiele lat, i do którego zawsze wracała pamięcią. Metody wychowawcze siostr i rozbudzone przez nie ambicje naukowe były odtąd dla niej zawsze drogowskazem.

Lato 1939 r. było piękne i niezapomniane, bo to ostatnie takie lato... Wspaniale obrodziły owoce, młodzież jeździła na rowerach na wycieczki, organizowano potańcówki, przedstawienia, wspólne śpiewy i wyjazdy do miasta do kina. Jadzia była w swoim żywiole. U jej boku był Witek nasz sąsiad, dawny uczeń Mamy, który znał Jadzię od dziecka. Teraz powrócił z podchorążówki i przepracował jeden rok jako nauczyciel. Smukły, czarny, opalony przy żniwach, bo pomagał w gospodarstwie rodzicom – osadnikom wojskowym. Mama aprobowała tę sympatię. Witek traktowany był jako oficjalny starający się o rękę Jadzi. W końcu sierpnia ogłoszono powszechną mobilizację. Zbliżała się wojna. Chłopcy i młodzi mężczyźni opuścili rodzinne strony, żegnani ze łzami.

21 września 1939 r. Jadzia zapisała w swym dziewczęcym pamiętniku: „Nie ma Polski! Rosja zajmuje do Bugu, a Niemcy od Bugu. Armia nasza złożyła broń. Boże mój, co to za

hańba. Rząd nasz podobno dawno za granicą. Wracają wszyscy powoli, ale Nikanor zabity, a Władek bez ręki. O Witku nic nie wiadomo. Żyję jak we śnie. W głowie mi się nie może pomieścić to, co się dzieje w ostatnich dniach. Te straszne bombardowania, pożary, uchodźcy... Zbyszek poszedł dalej – podobno na obronę Warszawy. Bolszewicy od wczoraj wchodzą do Włodzimierza szosą, witani przez tłumy. Tu ich jeszcze nie ma, ale teraz marzę o nich, gdyż rozzuchwalone bandy chłopstwa grasują, a nawet zakatrupiają. Co z nami będzie, Boże, Boże!”

Był to jednak dopiero początek trwającej przez wiele lat okropnej wojny i dwóch okupacji. Wojna poważnie zachwiała naszym dotychczasowym trybem życia. Ojciec był wtedy w Warszawie, gdzie załatwiał sprawy wydawnicze III tomu swoich wspomnień legionowych („Czwórka sztandarowa” i „W pościgu” wyszły drukiem w latach 1938–1939). Mama nadal pracowała w szkole. Osadników wojskowych zgromadzono w sali szkolnej, gdzie na walnym zebraniu wsi odebrano im ziemię i dobytek. „My w szkole. – pisze Jadzia w pamiętniku. Chłopi dzielą działki osadnicze na walnym zebraniu wsi. Odbierają ziemię i dobytek. Komu przypadnie nasza działka, ogród, sad przepiękny – dzieło rąk rodziców i naszych? Co z Witkiem? Co z nim jest? Podobno był ranny w rękę. W szpitalu, a potem w niewoli niemieckiej. Nic nie wiem, a tak tęsknię!!! (...) Siostry wyrzucono z klasztoru. Tam są teraz koszary. W Gimnazjum Włodzimierskim było „gulanije” – zabawa ludowa z okazji rewolucji październikowej. Przyszło 300 Sowieców i nikt z miasta”.

Osadników wojskowych wywieziono na Sybir. Na działkę nie chodziliśmy. Wciąż drżałyśmy, że nas też wywożą. Obroniła nas wieś: „Nie damy Bazgierychy!”. Część młodzieży ukraińskiej pod opieką sowieckiego politruka utworzyła oddział organizacji komsomolskiej. Dawni uczniowie Mamy i koledzy Jadzi przyszli po nią i zaprosili na zebranie. Byli na nim także wojskowi z Armii Czerwonej, którzy – pisze Jadzia w pamiętniku – „chwałą mnie, że dobrze mówię po ukraińsku, ale śmieją się, że mówię im pan. Komsomolcy czytają na zebraniach statut, co 2 dni robią nowe wybory, a co tydzień zabawę i praca idzie”. Uczestnictwo w tych zebraniach było bardzo ważną okazją do pozyskiwania informacji o wydarzeniach oraz rozeznania w nastrojach społecznych.

Życzliwy inspektor szkolny nowych władz – rosyjski inteligent – poradził Mamie, aby wysłała córkę na kurs pedagogiczny dla nauczycieli. Tam Jadzia spotkała się z kolegami z gimnazjum i zaprzyjaźniła ze Sławkiem Dębskim (późniejszym ojcem kompozytora Krzesimira Dębskiego). Niektórzy spośród kolegów – synowie oficerów osadników wojskowych zostali aresztowani i wywiezieni na Sybir. Otrzymywałyśmy listy od dawnych sąsiadów z miejsc ich zesłania, w których w oględnych słowach opisywali tragiczne warunki bytowania. Mama zorganizowała wysyłkę paczek żywnościowych dla nich, które mogły ważyć do 2 kg i musiały być zaszyte w płótno. Dla utrudnienia przyjmowano je tylko w Kowlu, więc była to cała wyprawa połączona z wielodniowym wystawianiem w kolejkach, aby je móc nadać. Mogła zrobić to tylko osoba zameldowana w Kowlu, więc pomocna była zamieszkała tam ciotka.

Po ukończeniu kursu pedagogicznego z wynikiem bardzo dobrym Jadzia zaczęła pracować jako nauczycielka w polsko-ukraińskiej wsi Chmielówce. Młoda energiczna dziewczyna z koroną z warkocza na głowie, pełna życzliwości dla ludzi, wnet zdobyła serca uczniów i ich rodziców. Kierownikiem szkoły był sympatyczny pan – Ukraińiec, którego wkrótce aresztowano i osadzono w więzieniu za ukraiński nacjonalizm. Jadzia została sama na posadzie. „Wczoraj obeszłam Chmielówkę naokoło – notowała w pamiętniku – i poczułam się dziwnie mocna i nieugięta. Lubią mnie ludzie. Lubią, a to grunt. Każdy z uśmiechem mnie wita, zatrzymuje: stary, mały, komunista, nacjonalista, bezpartyjny, każdy ma dla mnie miłe słowo.

Ten terazniejszy urząd był u inspektora i prosił, żeby mnie zostawić na Chmielówce (...) Ogromnie byłam wzruszona tymi dowodami sympatii. Jednak moje starania nie poszły na marne, a hasło: „*Szturmem zdobywać serca ludzkie*” może mnie dalej prowadzić”.

W pamiętniku swym wzdycha wciąż do swej pierwszej sympatii – Witka, który do niej nie pisał, a od rodziny dowiedziałyśmy się, że był ciężko ranny w rękę i zapewne jako inwalida nie chciał wiązać ze sobą dziewczyny. Po wojnie odezwał się z Anglii, ale do kraju nie powrócił.

W czerwcu 1941 r. niespodziewanie armia niemiecka uderzyła na Związek Radziecki. Urzędnicy sowieccy i przybyłe z nimi nauczycielki uciekły wraz z Armią Czerwoną. Obawiając się hitlerowców, uciekła z nimi także duża grupa Żydów. Pozostali tu Żydzi z rozkazu władz niemieckich musieli nosić na ubraniu naszyte na plecach i na piersi okrągłe żółte łaty.

We wsi pojawiły się nadzieje na niepodległą Ukrainę. Latem 1941 r. w nocy, pod osłoną krzewu rosnącego pod oknem, zapukał w szybę ukraiński chłop. Miał dwóch synów, obaj byli uczniami Mamy. Starszy był wybitnie zdolny i Mama nakłoniła jego rodziców, aby kształcili go dalej. Chłop był bogaty, toteż posłuchał i umieścił syna w Ukraińskim Gimnazjum w Łucku. Była to przed wojną jedyna średnia szkoła z ukraińskim językiem wykładowym. Chłopak przychodził do nas często po książki i pomoc w nauce. Teraz jego ojciec narażał się, by ostrzec Mamę: „Pani Nauczycielko, we wsi zaczyna się dziać niedobrze. Utkajcie do mista!” Natychmiast, zabierając najpotrzebniejsze rzeczy, opuściliśmy szkołę i pojechaliśmy do Włodzimierza, do miasta powiatowego oddalonego o 18 km. Tu było bezpieczniej. Oparciem był dla nas ksiądz Stanisław Kobylecki (dawny kapelan sióstr Niepokalanek w Maciejowie), który cudem ocalony wrócił z więzienia sowieckiego. Gdy Sowietci rozstrzeliwali Polaków, upadł, a potem wyczołgał się spod trupów. Ukrywał się aż do czasu wejścia Niemców, objął parafię i roztoczył opiekę nad Polakami z Włodzimierza i okolic.

Ksiądz poradził Mamie, która miała na utrzymaniu 5 osób, aby znalazła pracę tam, gdzie będzie mogła zdobyć jedzenie dla rodziny. Mama zaczęła więc pracować w prywatnej restauracji jako pomywaczka. Wkrótce Niemcy przejęli lokal jako „tylko dla Niemców” („*Deutsche Gaestaeette*”).

Zamieszkałyśmy w wynajętym mieszkaniu w modrzewiowym dworku nad rzeką, który stał się miejscem spotkań młodzieży. Tu przechowywali swoje kajaki i piłkę, latem codziennie przychodzili kąpać się nad rzeką. Pewnego razu 4 dziewczęta wypłynęły na rzekę Ługę dwuosobowym kajakiem. Były wśród nich Jadzia, Zosia i ich dwie koleżanki. Doszło do wywrotki kajaka, którego Zosia się uczepiła, koleżanki dopłynęły do brzegu, a Jadzia topiła się. Szczęśliwie przechodził tamtędy kolega gimnazjalny Ignatiew, który pospiesznie zrzucił z siebie ubranie i skoczył tonącej na ratunek, wyciągając ją za włosy spod wody.

Następnego dnia Jadzia zapisała w pamiętniku: „Piszę z tamtego świata. Uratował mi życie Ignatiew. Tak go nie lubiłam w gimnazjum. Patrząc na niego nie mogłam, a tu, żeby nie on... Boże mój, jak dobrze żyć.

Wiedziałam, że to koniec, że nie zdołam dopłynąć do brzegu, i ta woda, wszędzie woda... Boże mój, Boże, więc sądzono mi jeszcze żyć? Co za straszne chwile i ta niepewność o Zochę. Podobno byłam blada, szara jak ziemia, pierwsze moje słowa były: „Siostra?”...”

Wyrazem siostrzanej miłości Jadzi i jej oddania dla młodszej od siebie o 4 lata Zosi było ofiarne zgłoszenie się za nią na wywózkę na roboty do Niemiec wiosną 1943 r. Chodziłam wtedy na kurs prac ręcznych, kroju i szycia zorganizowany przy męskiej Szkole Mechanicznej, której Niemcy nie zlikwidowali, gdyż potrzebni im byli wykwalifikowani robotnicy. Pewnego dnia niespodziewanie Niemcy wtargnęli do szkoły, aby zabrać uczennice na roboty do

Niemiec. Uciekłam, skacząc przez okno położonej na parterze klasy. Zamiast mnie zabrano z domu Jadzię.

Gdy prowadzono całą grupę na stację kolejową, konwojujący ją dawny uczeń naszego Ojca – policjant ukraiński namawiał ją do ucieczki, zapewniając, że „nie zauważy” tego. Ona jednak wolała zostać, aby zapewnić bezpieczeństwo siostrze. Tymczasem dawni uczniowie Mamy przynieśli jej słoninę i złotą monetę, aby miała na łapówkę za wykupienie córki.

W obozie przejściowym w Lublinie wszystkich wywożonych na roboty poddawano oględzinom lekarskim. W komisji pracował pewien Polak, dr Skarbek, który z narażeniem życia ratował, kogo mógł od wywiezienia do Majdanka lub na roboty do Niemiec. Poradził Jadzi, żeby podała, iż cierpi na epilepsję, pokrótce wyjaśniając, jakie są jej objawy. U innych polskich więźniów, dołączonych do grupy Sowietów, doktor „rozpoznawał” gruźlicę lub inne choroby. Udało się. Jadzia świetnie odegrała rolę epileptyczki i przez pewien czas pozostawała na miejscu wśród uwięzionych, okazując im troskę i pomoc oraz wskazując doktorowi Skarbkowi tych, których należało ratować. Odbywało się to we współpracy z AK-owskim podziemiem. Jadzia dwukrotnie potajemnie opuściła obóz, udając się pod wskazany jej jeszcze przed wyjazdem z Włodzimierza przez działaczkę AK – Wandę Skorupską, przedwojenną hufcową Chorągwi Wołyńskiej ZHP, konspiracyjny adres w Lublinie. Odebrała tam przygotowaną wcześniej dokumentację medyczną chorych i „chorych”, którą po powrocie do obozu dostarczyła lekarzowi. Gdy grupa „chorych” została zwolniona i opuszczała obóz, niemiecki strażnik chwycił Jadzię za ramię: „Ta też jest chora?” – zapytał zdumiony, widząc wyróżniającą się wdziękiem i urodą dziewczynę z koroną warkoczy i niebieskim szalikiem na szyi. Lekarz spokojnie odrzekł: „To epileptyczka...” Jadzia szczęśliwie powróciła do domu i odtąd nie pracowała. Na odwrocie swego Ausweisu – dokumentu tożsamości (zachowanego do dziś) zapisane miała nazwiska osób, które udało się jej uratować od wywózki.

Tymczasem ja znalazłam pracę tam, gdzie Mama, w niemieckiej restauracji. Natomiast Jadzia swój czas poświęciła na tajne nauczanie.

Jej postawa podczas uwięzienia sprawiła, że uznano ją za osobę godną zaufania i – jak w oględny sposób zapisała w pamiętniku – w dniu 6 czerwca 1943 r. została zaprzysiężona. W ten sposób Jadzia stała się żołnierzem 27. Wołyńskiej Dywizji AK. Ścisła konspiracja wymagała zachowania szczególnej ostrożności. O zaprzysiężeniu nowego członka wiedziały zawsze tylko dwie osoby: składający przysięgę i przyjmujący ją. W przypadku Jadzi przyjmującym przysięgę był Zygmunt Sawicki. O tym fakcie dowiedziałam się dopiero wiele, wiele lat później.

W pobliżu naszego domu było getto. Bezsilnie patrzyłyśmy na tragedię Żydów, którym nie można było pomóc, bo ochraniająca getto policja ukraińska na służbie Niemców strzelała do każdego próbującego rzucić głodującym choćby kawałek chleba. W nocy teren wokół ogrodzenia z drutu kolczastego był rześcicie oświetlony.

Pewnego dnia we wrześniu 1942 r. płacząc, patrzyłyśmy na wywózkę Żydów. Pozostała w naszej pamięci córka miejscowego bardzo cenionego lekarza, koleżanka Jadzi, która ubrana w gimnazjalny mundur, stała na otwartej platformie samochodu, opiekując się gromadką dzieci. Jechały na śmierć do Piatydni, gdzie dokonywano zbiorowych egzekucji...

Odwiedził nas wtedy nieoczekiwanie ukraiński policjant – uczeń naszego Ojca i kolega szkolny Jadzi. Przechwalał się, opowiadał o szczegółach egzekucji. Żydzi musieli wykopać długie rowy, nad którymi kazano im stanąć, po czym zabijano ich seriami z karabinu maszynowego. Następnie zasypywano warstwę trupów i przywożono następnych skazańców, póki rów nie został wypełniony... Kiedy z przerażeniem słuchałyśmy jego przechwałek, bezczelnie

twierdził, że „żyd ce ne ludyna” (Żyd to nie człowiek). Wtedy Jadzia oświadczyła stanowczo, że nie życzymy sobie, aby nas więcej odwiedzał...

W tym czasie Jadzia poznała swego przyszłego męża – Rajmunda Harasimowicza. Ojciec Rajmunda – Józef pracował onegdaj jako rządca majątku koło Żytomierza. W okresie rewolucji wywiózł z Rosji żonę Julię i pięcioro dzieci do Równego. Najstarszy syn – Witold zginął jako żołnierz Września 1939 r. i został pochowany w Kielcach. Irenę wywieziono na Sybir – była później w służbie sanitarnej w Armii Andersa i wyszła za mąż za żołnierza, który walczył pod Monte Cassino. Trzej bracia: Rajmund, Zdzisław i Tadeusz działali w konspiracji. Rajmund jako chemik był kierownikiem firmy dezynfekującej obiekty niemieckie (np. koszary), w której zatrudniał swoich braci oraz kolegę z klasy – Władysława Kaczora. Po wojnie żartował, że po dezynfekcji zawsze pozostawiali w kąciku pomieszczenia parkę pluskiew wyjmowanych z pudełeczka, aby wkrótce mieć znów zajęcie... Praca ta umożliwiła Rajmundowi swobodne poruszanie się po okolicy oraz stołowanie się w niemieckiej restauracji (dostawali do niej przydział), co pozwoliło mu działać w wywiadzie AK: zebrane informacje przekazywał, niepostrzeżenie, kierującej personelem restauracji Wandzie Skorupskiej, o czym dowiedziałam się po wielu latach.

W lecie 1943 r. nasiliły się morderstwa ukraińskich nacjonalistów na ludności polskiej. W nocy w czerwcu lub na początku lipca (pamiętam, że przy domu kwitły nasturcje i groszki pachnące) obudziły nas stukot i wołanie z płaczem naszej Mamy po nazwisku. Przybyli pierwsi uciekinierzy z okolicznych wsi, którzy ocalili z pogromu. Dzieci, rodzice, staruszki... Wozami, pieszo, bez dobytku lub jedynie z tobołkiem naprędce wziętych rzeczy. Opowiadali o swych niedawnych przerażających przeżyciach: nagle nastąpiły napady i morderstwa na ludności polskiej.

Wprawdzie niektórzy chłopci ukraińscy uprzedzali swych sąsiadów – Polaków o mającym nastąpić napadzie, ale ci nie uciekali, bo nie dawali im wiary, aby ludzie, których znali od lat, sąsiedzi mogli ich chcieć zamordować. W wielu wypadkach ukraińscy chłopci sami byli terroryzowani przez nacjonalistów: „Nie zabiłeś ty Polaka, to zginiesz zabity przez nas – i ty, i twoja rodzina”. Słabsze jednostki poddawały się terrorowi, mordując nawet swoich bliskich w rodzinach mieszanych. Tam, gdzie nie tworzyły się miejscowe grupy nacjonalistów ukraińskich, przychodziły bandy z okolicy i one dokonywały mordu, często przy cichej dezaprobacie sterroryzowanych mieszkańców wsi. Zabijano ze szczególnym okrucieństwem. Narzędziami mordu były narzędzia pracy (motyki, siekiery, kosy, noże), rzadziej broń palna. Za morderstwami szedł rabunek mienia. Przyłączali się do niego też i ci, którzy nie brali udziału w zabójstwach i po zabranii krwi czy konia uspokajali swoje sumienie, że „szkoda chudoby”.

Rano pobiegłyśmy do naszego opiekuna duchowego księdza Stanisława Kobyłeckiego. Pod kościołem farnym obozował tłum uciekinierów z okolicznych polskich wsi. Ksiądz stał wśród ludzi, pocieszał, organizował pomoc. Tłum stopniowo na naszych oczach rzednął. Mieszkańcy miasta zapraszali poszkodowanych do siebie, udzielali im pomocy, schronienia.

Pamiętam mężczyznę z płaczącym niemowlęciem na ręku, którego matkę zamordowano. Poszukiwał kobiety, która by mogła nakarmić piersią ocalałe z pogromu niemowlę. Matkę dzieciątka wraz ze starszymi dziećmi zamordowano w domu. Niemowlę spało w kołysce zawieszanej w sadzie pod wiśnią, a mężczyzna był wtedy w polu. Po odejściu morderców podkraść się pod swój dom, zobaczył straszny obraz pomordowanej rodziny, ale uratował dziecko i polami (było jeszcze przed żniwami, co wielu uratowało) przekradł się do miasta.

Zaczęto zwozić zwłoki pomordowanych. Leżały na cmentarzu włodzimierskim. Nie pamiętam, z jakich wsi ani też okoliczności przywiezienia. Najbardziej wstrząsający był widok



trupa ciężarnej kobiety w niebieskiej sukni. Do tej pory nie mogę znieść widoku tego odcienia błękitu. Zwłok z bliska nie oglądałam, ale pamiętam, że było ich kilkanaście.

Na naszym podwórku koczowało kilka rodzin i dwa czy trzy wozy z Łokacz (naszej parafii) oraz z Chmielówki, gdzie Jadzia pracowała jako nauczycielka. Była to m.in. rodzina rzeźnika Szymańskiego i organisty Ochmana z Łokacz. Kobiety z dziećmi spały pokodem na podłodze w naszym domu, mężczyźni przy koniach, na wozach. Trzeba było zapewnić wyżywienie dla tylu ludzi i ugotować dla nich posiłki.

Wśród ludzi z Chmielówki był Stach Kobylarz. W okrutny sposób wymordowano mu całą rodzinę. Pamiętam jego półprzytomne oczy i powtarzane wciąż, bez przerwy prawie te same słowa: „Jak tak można, jak tak można...” On jako jeden z pierwszych ochotniczo wstąpił do organizowanej polskiej policji.

Z naszej rodzinnej osady Orłęta gmina Mikulicze docierały do nas straszne wieści bezpośrednio od napływających stamtąd uciekinierów. Na podwórku jej własnego domu zamordowano panią Marcelinę z domu Buczek (po mężu Ryba) z malutkim dzieckiem. Mąż, który był wtedy w stodole – ocalał. Ścięto kosą głowę staruszki matki osadnika, pani Nowickiej. Gdy prosiła, aby ją zastrzelono, usłyszała: „*Dla tebe puli szkoda*”. Pod lasem, do którego uciekała z mężem, zamordowano panią Buczkową. Mężem jej był brat wspomnianej Marceliny – Stanisław. Zdołał on dobiec do lasu, skrył się w krzakach, a nocą dotarł do miasta Włodzimirz oddalonego o 20 km.

Zamordowano także rodzinę Gryglickich. Piotr, ojciec rodziny – dzierżawca majątku – wrócił pieszo z Syberii! Teraz zaś uciekał do Włodzimirza wozem z żoną i dwoma synami: Zbyszek był moim rówieśnikiem, a Krzysztof o dwa lata młodszy. Dwaj Ukraińcy zawrócili ich z drogi. Gdy byli już blisko szosy, przejeżdżały tamtędy niemieckie samochody wojskowe i Niemcy kazali polskiej rodzinie jechać za sobą przez las. Tam była większa grupa morderców. Pani Janina Gryglicka prosiła podobno, aby ją zabić pierwszą, by nie musiała patrzeć na śmierć bliskich... Zginęła ostatnia. Opis śmierci Polaków znany był dzięki przechwałkom Ukraińców.

Po wywózkach na Sybir w 1940 r. w naszej osadzie Orłęta została jedna jedyna rodzina osadników: pani Downarowa, wdowa z, chyba, sześciorgiem dzieci. Nie pamiętam, czy wtedy jeszcze żyła, czy dzieci gospodarzyły same. Jej najstarsza córka miała 16, 17 lat. Została wywieziona na roboty do Niemiec. Bożenka, lat 15, w czasie napadu nacjonalistów ukraińskich ukryła się w zbożu, ale widząc śmierć mordowanych młodszych braci i sióstr, wyszła, by zginąć z nimi.

Wymordowano też część rodziny Kłosów, kolonistów polskich, byłych fernali. Dostali oni ziemię z reformy rolnej. Ukraińcy zabili Kłosów i zakopali ich w naszej stodole na Orłętach. Jedna z Kłosówien uciekła, schowana na belkach więźby dachowej, niewidoczna z dołu widziała tragiczny los swoich bliskich.

Tragedię rodziny Downarów poznaliśmy z relacji bezpośredniego świadka wydarzeń: Ukrainki Hani Serezy z Zasmycza (części wsi Jakowicze). Mieszkała ona blisko nas, za łąką pełną kaczeńców, na pagórku. Słońce zachodziło za jej dom, gdy się patrzyło na świat przez okno naszej kuchni. Była ulubioną uczennicą Mamy. Zdolna, inteligentna, bardzo do Mamy przywiązana. W okresie 1939–1941 mieszkała sama, gdyż jej mąż Timisz, powołany na początku wojny do Wojska Polskiego, dostał się do niewoli niemieckiej i jako jeńiec pracował u sióstr zakonnych w Kluczborku na Opolszczyźnie. W okresie, gdy miały miejsca morderstwa, przyjechał właśnie do żony na urlop. Oboje byli świadkami tragedii dzieci Downarów,

gdyż ich pastwisko sąsiadowało niemal z podwórkiem ofiar. Wstrząśnięci tym, co widzieli, postanowili opuścić swój dom na zawsze i udać się razem do Kluczborka.

Pewnego dnia siedziałyśmy na ganku domu przy ul. Sadowej 3 we Włodzimierzu. Od furtki zbliżała się wolno, nieśmiało para ludzi z tobołkami w rękę. Szli coraz wolniej. Wreszcie kobieta odezwała się do Mamy po polsku: „Czy Pani zechce z nami rozmawiać po tym, co się stało? Czy pani zechce, pani nauczycielko?” Mama dopiero wtedy ją poznała, tak Hania była zmieniona. Pamiętam odpowiedź Mamy: „A cóż ty, Haniu, jesteś temu winna...” I płacz Hani przypadającej do rąk nauczycielki – Polki. Młodzi zostawili wszystko: konia i krowę wyprowadzili nocą na łąkę, gdzie była kryniczka (woda), kurom otworzyli drzwi kurnika na dwór, nalali wody do koryta. Wzięli tylko małe tobołki i tak jak stali, wyszli z rodzinnego domu Hani.

Nocowali u nas. Tego wieczora Hania wspominała dawne czasy: jak to było miło, gdy wszyscy żyli w zgodzie. Jakie piękne były występy chórów, jakie wspaniałe przedstawienia... Wszystko to Hania wspominała ze łzami, z żalem: „Dlaczego nie może być między nami, między naszymi narodami zgody? Czegoś takiego po moich *brat'ach* (rodakach) nie spodziewałam się. Ja nie chcę ich znać...” Pisała potem, że razem z mężem pracują u niemieckich sióstr zakonnych i że siostry są dla nich dobre. Niestety, podczas działań wojennych kontakt z nimi urwał się i nie wiem, jakie były dalsze losy Hani i Timisza.

Polacy we Włodzimierzu zorganizowali samoobronę – ochotniczą policję polską. Organizacją kierował Janek Ochman – syn organisty z Lokacz. Niemcy pomogli, dając im mundury podobne do kolejowych i broń. Dali też transport do przewożenia ocalałych Polaków, ukrywających się jeszcze po wsiach. Przy okazji zabierali pomordowanym i ewakuowanym było i żywność...

Jadzia już nie mogła prowadzić lekcji ze swymi uczniami. Żegnaliśmy Janka Ochmana i chłopców ochotników – naszych kolegów, którzy jechali na ratunek mordowanym. Wracali, przywożąc ocalałych, prawie nieprzytomnych ludzi i ciała w okrutny sposób pomordowanych kobiet, dzieci, młodzieży i starców...

Z księdzem Kobyłeckim organizowaliśmy pogrzeby. Zapadły w pamięć na zawsze.

Nigdy też nie zapomnę ucznia mego Ojca. Na jego oczach wymordowano całą rodzinę. Był jak obłąkany: „Gdzie tu są jacyś Ukraińcy? – pytał. – Ja pójdę i ich też zamorduję, jak oni mego brata, mego małego braciszka!...” Nie mógł płakać łzami, choć szloch się wydobywał z jego piersi. Pojechał pod osłoną Niemców, aby przywieźć ciała swoich bliskich. „Już ich pochowali – rozpaczął po powrocie – i nawet nie wiem gdzie!” Byłyśmy przerażone jego stanem. Chłopcy się nim zajęli i zawsze jednakowo odpowiadali na nasze pytania o niego: „Żyje!”. Nic więcej nie chcieli mówić.

Pamiętam opowieść Janka Ochmana: „Poszliśmy na pomoc zagrożonej wsi. Niektórzy chłopcy nie umieli strzelać. Jechaliśmy tam furmankami, przesiadałem się z fury na furę i uczyłem naprędce obchodzenia się z bronią, granatami”. Policja polska osłaniała ewakuację tych osób, które jeszcze zostały po wsiach. Potem została rozwiązana. Chyba jesienią 1943 r. Okoliczności nie znam. Chłopcy byli wtedy w partyzantce polskiej w Bielinie. Tam zginął Janek Ochman.

W tym czasie na prośbę Mamy chłopcy wykonali nam żelazne sztaby na okna, które przytrzymywały deski w otworach okiennych domu od strony rzeki. Te prowizoryczne okiennice miały nas chronić od napadu i zdarzających się wypadków wrzucenia pod osłoną nocy granatu przez okno do domu. Pomimo zagrożenia my spałyśmy spokojnie, ale nasza biedna Mama nasłuchując, chodziła całą noc w napięciu od okna do okna...

Niemcy, kierując się zasadą „dziel i rządź”, podsycali te straszne wydarzenia. Były im one na rękę, bo na dalekim zapleczu frontu zajmowały najbardziej bitnych Polaków samoobroną, wykluczając ich ewentualne działania zbrojne przeciwko nim.

Zbliżający się front zmienił sytuację. Coraz więcej wojska niemieckiego stacjonowało w mieście, co wpłynęło na bezpieczeństwo polskiej ludności cywilnej. Część Niemcy ewakuowali za Bug. Nas ewakuowano w lutym 1944 r. autem ciężarowym przewożącym majątek niemieckiej restauracji, w której byliśmy zatrudnione, wraz z jej personelem i jego rodzinami, w tym naszym niewidomym Dziadziusiem na noszach. Przyjechalśmy do Hrubieszowa do rodziny brata Mamy – Bernarda Olechwira, gdzie zamieszkaliśmy wspólnie w strasznej ciasnocie.

Wkrótce skontaktowała się z nami Wanda Skorupska, która wraz ze swym synkiem Andrzejkiem znalazła się na Kielecczyźnie i dokąd nas ściągnęła. Przejazd załatwił nam Rajmund – wówczas już narzeczony Jadzi, podając nas za członków swojej ekipy dezynfekcyjnej. Niewidomy Dziadek został u syna. W marcu 1944 r. znalazłyśmy się w Nieklaniu na Kielecczyźnie w rodzinnych stronach naszego Dziadka ze strony Ojca – Bazgiera.

Niemcy zatrudnili nas przymusowo jako salowe w oddalonej o ok. 7 km Czarnieckiej Górze w szpitalu wojskowym dla lekko rannych, który zorganizowali w pięknym budynku przedwojennego sanatorium farmaceutów. Pacjentami szpitala byli starzy lub bardzo młodzi mężczyźni, którzy niecierpliwie oczekując końca wojny, często celowo rozdrapywali rany, by nie musieć wracać na front...

Jesienią 1944 r. po upadku Powstania Warszawskiego Niemcy przywozili dzieci z Warszawy – z rodzinami lub bez – i zostawiali je na stacji kolejowej. Soltys poprzydzielał im kwatery u mieszkańców w okolicy. Byli to bardzo biedni, prości ludzie. Niespodziewanie przyszło im opiekować się osieroconymi miejskimi dziećmi, które miały za sobą straszne przeżycia. Wynędzniałe dzieci przychodziły pod bramę szpitala, gdzie niemiecki kucharz wynosił im zakupę i nalewał z wiadra do puszek po marmoladzie, które przynosiły ze sobą...

Żołnierze niemieccy – pacjenci szpitala – często oddawali im swoje porcje jedzenia. Wówczas wartownicy w bramie odwracali się tyłem, udając, że tego nie widzą. Przeżywałyśmy wtedy mieszane uczucia: upokorzenie, że to wróg ratuje od głodu polskie dzieci i wzruszenie, że nawet w trudnych czasach ludzie nie tracą odruchów dobrego serca...

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia, nagle, pomimo silnych mrozów i braku ciepłego ubrania, pacjenci szpitala zostali pilnie ewakuowani pieszo do szkoły oddalonej o ok. 3 km: musieli zrobić miejsce dla będącego w odwrocie z frontu wschodniego hitlerowskiego generała wraz z jego sztabem...

Tuż przed przyjazdem oficerów do niedawna szpitalne sale i jadalnia zostały przystrojone obrusami, kryształami, srebrnymi sztućcami, porcelaną, świeżymi kwiatami oraz pięknym obrazem olejnym powieszonym na ścianie. Przygotowywano uroczyste powitanie Nowego Roku 1945. Personel medyczny odszedł wraz z pacjentami, a nas zatrzymano do pomocy w kuchni. Do stołu podawali kelnerzy w mundurach. Szampan lał się strumieniami... Rozległy się śpiewy i okrzyki... Gdy przez uchylone drzwi zobaczyliśmy pijanego oficera stojącego na śnieżnobiałym obrusie na pięknie nakrytym stole, niemiecki kucharz powiedział nam, abyśmy natychmiast szły stąd do domu. Oddaliśmy się skwapliwie... Gdy przyszyliśmy naza jutrz do pracy, wszystko było posprzątane i umyte, a kucharz, który był Belgiem, uśmiechnął się do nas porozumiewawczo i powiedział miękko: „Ja mam takie jak wy córki...” W styczniu 1945 r. zaczęła się ofensywa Armii Czerwonej. Sztab niemiecki ewakuował się naprędce. Pacjenci szpitala, którzy przed przyjazdem generała i sztabowców zostali wyrzuceni do budynku

szkolnego, teraz zostali otoczeni przez czerwonoarmistów i po krótkim oporze wymordowani. Sanatorium zaś zostało rozgrabione przez miejscową ludność. Wkrótce dotarła do nas wiadomość, że 17 stycznia zdobyta została Warszawa, a właściwie jej ruiny, jakie pozostały po Powstaniu Warszawskim...

Szkoła była stara, pamiętała jeszcze carskie czasy. Obok niej, na górcie stał piękny gotycki kościół, poniżej było boisko. W szopie obok szkoły pan woźny Parada gotował w kotle zupę, którą w południe dokarmiano uczniów i nauczycieli.

Dla nas skończyła się wojna. Jadzia tak wspominała w 2003 r. te pierwsze lata wolności: „Wczesną wiosną 1945 roku rozpoczęła się moja wielka pedagogiczna przygoda, która trwa do dziś. Rozpoczęłam pracę nauczycielki w Niekłaniu pow. Końskie. Moi uczniowie byli w różnym wieku: i dzieci, i starsi ode mnie o kilka lat. Ci wracali z lasu, z robót w Niemczech, z więzień i łagrów. Szli do szkoły ze wsi odległych o 5–7 km, żeby nadrobić stracony wojną czas. Staralam się bez podręczników i zeszytów przekazać im to, co sama umiałam”.

Warunki pracy nauczycielskiej były niezwykle trudne: brak książek, pomocy naukowych i przyborów szkolnych. „Zeszyty” robiłyśmy z papieru pakunkowego, przycinając go w formie kartek, liniując i zszywając igłą z nitką. Ołówki kroiliśmy na dwie, trzy części, aby każde dziecko mogło mieć swój. Kredę dzieci przynosiły z lasu, gdzie ją kopano. Wiedzę przekazywano ustnie. Przygotowanie lekcji wymagało wiele trudu: przepisanie tekstów do czytania, ułożenie zadań z matematyki itd.

Okolice była biedna, niektóre wsie częściowo spalone przez Niemców za pomoc udzielaną partyzantom. Większość chłopców nosiła ubrania przerobione z niemieckich mundurów i buty, które ściągnięto z pobojowisk. Częste były przypadki kalectwa, a nawet śmierci spowodowanej zabawą porzuconą bronią i niewypałami.

Za pensję nauczycielską można było kupić 1 kg masła. Na zebraniu wiejskim mieszkańców postanowili opodatkować się na potrzeby szkoły: miesięcznie od każdego ucznia wychowawca klasy otrzymywał 1 l mleka i 2 jajka oraz 25 kg mąki lub kartofli rocznie. Uczniów w klasie bywało ok. 60. Żyliśmy więc ziemniakami, mlekiem i grzybami z pięknych kieleckich lasów. Starszym uczniom Jadzia dawała dodatkowe lekcje, aby mogli uzupełnić braki i rozpocząć naukę w szkole średniej. Rewanżowali się uzbieranym w lesie chrustem czy szyszkami na opał oraz jagodami i grzybami.

Mieszkałyśmy w dawnym dworze Platerów zdewastowanym przez mieszkańców sąsiednich wsi. Nie miałyśmy ubrań, butów. Obuwie na drewnianych podeszwach było bardzo nietrwałe. Zniszczone sukienki przerabiałymy na bluzki. Wielką pomocą były nadchodzące aż z Nowej Zelandii paczki z odzieżą od mojej matki chrzestnej – siostry ciotecznej Ojca Wandy Pietraśińskiej. Wywieziona z Wołynia na Sybir, jako nauczycielka z sierocińcem wydoszła się wraz z Armią Andersa z zesłania i po wojnie przetransportowano ją wraz z dziećmi z Bliższego Wschodu aż do Nowej Zelandii. Tam uczyła polskie dzieci i zmarła otoczona miłością dawnych wychowanków. Miałyśmy więc z paczek ładne rzeczy do ubrania – szczególnie sweterki. Potem zaczęły także napływać dary z UNRRA, które były przydzielane nauczycielom.

Kiedy nocą w miejscu noclegu pełne wrażeń dzieci nie mogły zasnąć i hałasowały, Jadzia wyszła je uspokoić w nocnej koszuli uszytej z prześcieradła i rozpuszczonym warkoczem. Na jej widok oniemiały ze zdumienia: „Pani jak janioł” – wyszeptaly, bo nie nawykłym do tego, by ubierać się w specjalne nocne stroje, wydała się postacią z jasełek.

„Oprócz zajęć porannych – pisze Jadzia we wspomnieniach – miałam lekcje na wieczorowym kursie, którego słuchaczami była przerośnięta młodzież. Jak oni chętnie się uczyli! (...) Ja też zaocznie robiłam Liceum Pedagogiczne w Łodzi, które po dwóch latach skończyłam z

wyróżnieniem. W tym czasie, tzn. w 1946 roku, miałam zajęcia w średniej szkole organizowanej w Końskich, ponieważ brak było nauczycieli, a ja miałam już maturę z tajnych kompletów i zaliczyłam w Łodzi przedmioty pedagogiczne. Rano więc uczyłam w szkole niekłańskiej, a dwa razy w tygodniu jechałam do Końskich pociągiem z Wólki Plebańskiej, do której dochodziłam dwa kilometry piechotą, by w mieście prowadzić lekcje z języka polskiego i historii. W Niekłaniu z grupą młodzieży założyliśmy amatorski teatr i z pomocą młodego księdza Wieczorka w „wikarówce”, sali należącej do parafii, wystawiliśmy dwie sztuki, które, podobnie jak organizowane przez nas zabawy taneczne, cieszyły się wielkim powodzeniem”.

W roku 1946 Jadzia zorganizowała wycieczkę szkolną do Gdańska. Wiele wysiłku włożyła w zdobycie darmowego przejazdu PKP, nawiązanie kontaktów z osiedlonymi tam dawnymi mieszkańcami Włodzimierza, którzy zobowiązali się przemocować wycieczkowiczów. Ksiądz wikary wsparł sumką „na tramwaje”. Gdy starsze, rozsądne nauczycielki odradzały jej tę karkołomną wyprawę, Jadzia miała tylko jeden argument: „Przecież dzieci nigdy nie widziały morza...”

Pojechali wychudzeni, źle ubrani – w „spencerkach” przerobionych z niemieckich mundurów, w za dużych butach wojskowych, różni wiekiem i wzrostem... Jeden z nich, najwyższy, zdjął buty i idąc z grupą przez miasto, niósł je na ramieniu związane sznurowadłami. Mieszkaniec Sopotu zawołał drwiąco: „Ojciec, a wy skąd!?” na co padła spokojna, rzeczowa, pełna godności odpowiedź: „Z Ziemi Kieleckiej. Z Niekłania koło Końskich”. Prześmiewca zamilkł i uciekł ul. Powstańców Śląskich pieszo. Połamane szyny tramwajowe, wypalone, zrujnowane ulice.

W 1947 r. Jadzia przygotowywała się do ślubu z Rajmundem, który znalazł mieszkanie we Wrocławiu, pracował i studiował na Politechnice Wrocławskiej. Pojechałyśmy obie po zakup stroju ślubnego do Radomia. Wracałyśmy zadowolone z białym toczkiem ozdobionym woalką zapakowanym w papierową torbę. Nagle na peronie zawiął gwałtowny wiatr. Wyrwał z rąk Jadzi torbę, zawierającą stroik na głowę panny młodej i potoczył ją po peronie. Pobiegnęła za nią na oslep, krzycząc: „Ojej, mój ślubny kapeluszu!” Nieznajomy kolejarz zatrzymał dziewczynę i sam wskoczył na tory, ratując drogocenny zakup niemal spod nadjeżdżającej lokomotywy.

Ślub odbył się 4 stycznia 1948 r. w niekłańskim kościółku. Przed ślubem pan młody przyjechał z trzema gałązkami białego bzu, które wniesione z zimnego powietrza do ciepłego mieszkania, zwiędły. W desperacji połamłam wrzątkiem końce gałązek – dwie odżyły. Odtąd Jadzia zawsze miała sentyment do białego bzu.

W czerwcu pożegnała swoich uczniów, których uczyła przez 3 powojenne lata. Nie obezło się bez łez. Dzieci interesowały się, jaki będzie mąż pani nauczycielki: „Czy on będzie dobry dla pani? Czy się nada?”

Po ślubie cywilnym, który odbył się w czerwcu w Odrowążu, Jadzia pojechała z mężem do Wrocławia. Zaczynał się nowy etap w jej życiu...

Tak po latach wspominała swoje pierwsze zetknięcie się z Wrocławiem, w którym zamieszkała już na zawsze: „Do Wrocławia przyjechałam rankiem. Z Dworca Głównego zsiadliśmy z Rajmundem. Szkielety domów, gruz i czarne oczodoły okien budziły we mnie przerażenie, a wstręt przebiegające wokoło piwnic szczury i ten dziwny zapach... śmierci. „Jak tu można budować życie?” – myślałam. Nagle zobaczyłam na jakimś placu wśród ruin drzewko całe w blad różowych kwiatach. Kontrast był tak wielki, że stanęłam jak wryta. Królewska magnolia, bo to była ona, radośnie rozwijała swoje duże pąki w tym ponurym krajobrazie

i głosiła pochwałę życia”. Wspomniana przez Jadzię magnolia rośnie na pl. Powstańców Śląskich i kwitnie do dziś, ale jej otoczenie uległo wielu radykalnym zmianom...

„Mój przyszyły dom był okazały i stylowy, ale z dziurą w dachu, wyrwaną przez pocisk boczną ścianą, oknami bez szyb i barykadą na ulicy. Za to miał przepiękny taras i bujną zielen platanów i bżów, głośny, wesoły szczebiot ptaków. Zaczęło się nowe życie w obcym mi wtedy mieście”.

„Wystawa Ziem Odzyskanych w 1948 roku – pisze dalej Jadwiga – zgromadziła we Wrocławiu wybitne osobistości z całego świata. Ale dla mnie ważniejsze były generalne porządki w moim nowym mieszkaniu i przyjmowanie pierwszych, licznych gości z głębi Polski. Nie było prądu ani gazu, tylko kuchnia na drzewo i ... pomidory od sąsiada – pana Adama Grzelaka, pracownika poczty. W jesieni dostałam pracę w Oleśnicy w Technikum Mechanicznym. Niektórzy uczniowie znów był starsi ode mnie, a ja tylko trochę mądrzejsza... Miło ich wspominam. Potem praca w Leśnicy w zmilitaryzowanym Technikum „Służby Polsce”. To moi uczniowie budowali wtedy linię tramwajową z Leśnicy do Wrocławia!

Wreszcie studia na Uniwersytecie Wrocławskim, do którego dosłownie za rękę zaprowadził mnie mąż. Miałam chyba kompleks prowincji i bałam się.

Nasz dom piękniał, przybywało w nim sąsiadów. W 1949 roku zamieszkała w nim za ścianą moja siostra Zosia, która rozpoczęła studia na Uniwersytecie Wrocławskim, łącząc je z pracą w tej samej szkole, co my. Mąż pracował na dwóch etatach i dalej studiował chemię. A ja zrezygnowałam z pracy i nie przerywając studiów, urodziłam dwóch synów: Jana i Andrzeja”.

Po przejściu na emeryturę we wspólnym mieszkaniu z Jadzią i Rajmundem zamieszkała nasza Mama, która udzielała korepetycji licznym uczniom i pomagała w wychowywaniu wnuków. Natomiast ja, po wyjściu za mąż za kolegę ze studiów, Bogusława Karczmarskiego zamieszkałam dosłownie parę ulic dalej w nowym mieszkaniu, otrzymanym w 1959 r.

Mieszkanie Jadwigi i Rajmunda zawsze pełne było gości. Lubiała towarzystwo, cieszyła się sympatią ludzi, chętnie ich przyjmowała. Interesowała się nimi, ich życiem we wszystkich jego przejawach. Umiała słuchać zwierzeń ludzkich z zainteresowaniem i głębokim współczuciem, udzielać rad różnym ludziom, niezależnie od ich wieku i stanu. Znała problemy wsi od dzieciństwa, wyniosła z domu szacunek dla prostych ludzi, ich widzenia świata, roztropności, życzliwości, pracowitości i poczucia humoru. Cieszyła ją pamięć absolwentów, znajomych. Prowadziła rozległą korespondencję. Otrzymywała liczne listy i kartki okolicznościowe, których z okazji świąt, imienin potrafiło przyjść nawet ponad 100...

Szczególnie miłe były długie rozmowy, latem, przy kawie na tarasie jej mieszkania wśród skrzynek i donic z kwiatami: groszkami pachnącymi, żółtymi liliami i wijącymi się powojami, które tak kochała i pielęgnowała. Do karmnika przylatywały gołębie i wróble, przy tarasie kwitły bzy i akacje, na pobliskiej ulicy Kasztanowej – kasztanowce... A wśród nich królowała pełna pogody Jadzia, która owdowiała, synowie założyli swoje rodziny, ale jej dom i serce zawsze były otwarte dla każdego gościa.

### 3. Młodość swą doniosła do końca

Jan Pieńkowski

Młodość, jeśli nie starzeje się z upływem lat, powinna żyć wiecznie. I byłoby zapewne tak, gdyby prawom fizyki i biologii nie podlegało ludzkie ciało, które kiedyś nagle przestaje użytkować własny czas i wykorzystywać przestrzeń. Młodości! Nad poziomy wymiernego świata wylatuj, chciałoby się powiedzieć w chwili żałoby, gdy z naturalnej konieczności odchodzi od nas osobowość nietuzinkowa, nieprzeciętna.

Jadzia Harasimowicz odeszła. Odeszła od siebie i od całej naszej TUL-owskiej wspólnoty. Odeszła, by pozostać już tylko w naszej serdecznej, zbiorowej pamięci. Była jedną z tych osób, które w sposób szczególny umieją twórczo współkształtować ludzi. Miała wyjątkową umiejętność zarówno pozyskiwania poszczególnych ludzi, jak i łączenia ich w trwałą przyjacielską zbiorowość.

Poznałem Jadzię znacznie wcześniej, niż przyszło nam się ponownie spotkać na płaszczyźnie naszej TUL-owskiej działalności. Dlatego ośmielam się dodać coś od siebie do tego, co wiemy o Niej wszyscy, do tego, jaką zapamiętamy Ją z działalności organizatorki i przewodniczącej Komisji Humanistycznych Inicjatyw Edukacyjnych.

Pierwszy raz spotkałem się z Nią już w 1968 r. na płaszczyźnie wzajemnych kontaktów byłych Humanistycznych Ognisk Metodycznych w ramach szkolnictwa rolniczego. Należałem do Ogniska Bydgoskiego z siedzibą w Toruniu, które utrzymywało stałe więzi z innymi ogniskami w kraju, a szczególnie z wrocławskim we Wrocławiu Praczech. Odwiedzaliśmy się wzajemnie, uczestnicząc w hospitowanych lekcjach pokazowych.

Jadzia hospitaowała m.in. moją lekcję z wychowania obywatelskiego. Ja byłem na Jej lekcji w roku 1970 w Technikum Wodnych Melioracji w Praczech. Uczyla się tam wówczas grupka tzw. „greckich dzieci”, synów i córek imigrantów z czasu wojny domowej w ich kraju. Jadzia „zademonstrowała” nam, a po lekcji przedstawiła mi osobiście jedną z owych Greczynek.

Zostałem zupełnie zdumiony i zaskoczony, gdy po upływie 33 lat (w 2003 r.) otrzymałem z Salonik list, którego fragmentów – ze względu na Jadzię – nie mogę nie przytoczyć. Oto one potraktowane bardzo wybiórczo:

„Jestem Greczynką z racji pochodzenia, a Polką z racji urodzenia i wykształcenia. Jestem absolwentką Technikum Wodnych Melioracji w Praczech Odrzańskich. Byłam (i do dziś jestem) uczennicą Mojej Jedynej Profesor, Jadwigi Harasimowicz, która była, jest i będzie dla mnie ‘pokrzepieniem serca’ [...]”

„Aby się przedstawić Panu, chcę powiedzieć, że literatura polska płynie w mojej krwi. Nie wiem, czy znam tę literaturę dobrze, ale wiele lat wchłaniałam ją całym swoim istnieniem. Wiem, że należę do szczęśliwych ludzi tego świata dlatego, że urodziłam się w Polsce, że tam się kształciłam. Przyszedł jednak dzień powrotu (przede wszystkim dla rodziców) do ‘Itaki’. Zrozumiałam [...] że mój powrót do ojczyzny to nowa emigracja. [...]”

„Dziś jestem już dojrzałą 50-letnią kobietą; żyję w swojej (?) ojczyźnie, ale moje serce i sposób myślenia został w Polsce, w tej mojej drugiej (?) ojczyźnie...”

Jeśli dziś załączam w tym miejscu owe wzruszające słowa, które napisała pani Helena Andria, to odnajduję w nich podwójną motywację, choć z założenia pragnę, w sposób przyczynkarski, upamiętnić osobowość naszej nieodżałowanej koleżanki, Jadwigi Harasimowicz.

Pamiętajmy przy tym, że Jadzia była z wykształcenia historykiem, mimo iż zakresowo oddziaływała bardzo wszechstronnie.

Moja ówczesna znajomość z Jadzią była owocna również dla mnie. Dzięki Niej wielokrotnie zapraszano mnie do różnych szkół województwa wrocławskiego w charakterze jurora podczas przeglądów szkolnych zespołów artystycznych. Poznałem przy okazji wielu doskonałych nauczycieli i kierowników zespołów, a także pracowników ówczesnego Oddziału Regionalnego we Wrocławiu.

Wrocław wybitnie humanizował się w tym czasie w zakresie oświaty rolniczej, a dzięki Jadzi i wybitnemu Jej mistrzowi, Antoniemu Piotrowi Piotrowskiemu, promieniował na całą Polskę. Podczas gdy Piotrowski był głównym metodologiem i programistą humanistycznego nauczania, Jadzia była praktycznym realizatorem oraz propagatorem jego koncepcji. Przenosiła je do innych ognisk.

Nie będąc z natury typem działacza-aktywisty, podziwiałem Jej inicjatywy i zdolności organizatorskie. Szybko zorientowałem się, że Jadzia „zagięła parol” (zapożyczam określenie) bardziej na ludzi niż na sprawy. Twierdziła zresztą, że „sprawy zawsze się jakieś znajdują: takie, siakie i owakie...” A ludzi nie zawsze spotkać można, a spotkani nie zawsze okazują się wartościowymi ludźmi.

Jadzia wyraźnie uganiała się za „ciekawymi ludźmi”. Znalazła odwagę, przynajmniej „po znajomości”, zaliczyć do nich także mnie. Ale równocześnie, dla równowagi ducha – oczywiście mojego – dodała, że niepotrzebnie zamykam się w swej szkolnej dziupli, że należy wychodzić na zewnątrz, a poza tym i tak już ze mnie naukowca nie będzie...

Nie odkryła nic, czego bym o sobie nie wiedział. Ale skąd Ona to wie? Ano stąd, że Piotrowski powiedział Jej to samo. „Wielkich dzieł naukowych w szkole Pani nie stworzy, ale może Pani napisać wiele wartościowych opracowań dydaktyczno-użytkowych oraz artykułów opartych o własne bogate doświadczenia. A pod tym względem istnieje wielka eksperymentalna luka.”

Trzeba przyznać, że Jadzia wytrwale wypełniała tę lukę. Miała nawet legitymację redaktorską. Zachęcała też innych polonistów do pisania. Również i mnie, choć wiedziała, że mam zwichnięte literacko pióro. Przynajmniej „chciała dobrze”.

Była świetnym rozmówcą, a w moim wypadku trafiła na utalentowanego słuchacza. Bywała mi przydatna jak klucz do oznaczania gatunków w przyrodzie. Ludzi dzieliła na: „bardzo mądrych”, „wspaniałych”, „ciekawych”, tzw. „solidne firmy” i jakąś nieokreśloną przemilczaną resztę...

Rzecz znamienna, że nawet wobec tych najwyżej przez siebie lokowanych miała zawsze jakieś pobłażliwe zastrzeżenia. Posiadała z pewnością bogatą wiedzę o ludziach. Osobiście poznała wiele znakomitych osób i ułatwiała innym ich poznanie. Często mówiła: „zwróć uwagę”, „posłuchaj”, „poznaj go”, „napisz, on ci na pewno odpisze”.

Jadzia, jaką wszyscy pamiętamy, nie była feministką. Mężczyzn uważała za zdecydowanie potrzebną połowę ludzkiego świata. Przypuszczam, że przez całe dojrzałe życie, a nawet wcześniej, testowała ich charaktery i osobliwości, wyważała wady i zalety. Na tej części rodzaju ludzkiego znała się chyba lepiej niż na tej, do której sama należała. Nie tracąc nic ze swej wysoce zhumanizowanej osobowości, była równocześnie w pełni i do końca kobietą. Taką, która nigdy się nie starzeje i nigdy nie traci swych walorów. Taką, która, doskonale kontrolując swą kobiecość, nie znosiła wokół siebie męskiej próżni. Zapewne intuicja upewniała Ją, że zwłaszcza w konfrontacji z „brzydszą płcią”, lub na jej tle, szczególnie błyszczą Jej talenty towarzyskie i mobilizuje się intelekt.



Podkreślam i uwypuklam tę Jej cechę jako wrodzony, naturalny dar i twórczy walor. Takie kobiety potrafiły poprzez mężczyzn, często instrumentalnie, zmieniać świat. Młodość i kobiecość Jadzi nie gasła i nie uwzględniała dat i kalendarzy. Zapamiętajmy Ją choćby z ostatniego naszego spotkania na sesji w Złocińcu, gdy dokonywała towarzyskiego „chrztu” TUL-owskich „kotów”. Z własnego życia usunęła nam na długo jedną z dat, datę własnego urodzenia. Po co wam to? – pytała – skoro i tak jestem wiecznie młoda...

Wierzyliśmy, gdyż mówiła tak przekonywująco. Ale życie każdego biologicznego organizmu wyznaczają nieodwołalnie dwie ramowe daty. Dziś już bezwzględnie przyjąć trzeba, że Jadwiga, starsza córka legionisty, Juliana Lucjana Bazgiera i Franciszki z d. Olechwir urodziła się 14.07.1923 roku; zmarła 24.03.2006.

Na pewien czas przed śmiercią, gdy była już wyraźnie zmęczona, zwierzyła mi się: „Jak wiesz, zdążyłam pomóc wejść w dorosłe życie tysiącom absolwentów, w tym setkom własnych wychowanków, w większości serdecznych, odwiedzających mnie przyjaciół. Przychodzą, mówią o sukcesach, o kłopotach, pytając radę, mówią co ich boli, co im dolega... A dziwne, że nikt nie wpadnie na pomysł, by zapytać również mnie, co mnie boli, co dolega... Sami się skarżą”. Cóż, wołałabyś, by było odwrotnie? „No, nie”.

Odeszła – stwierdzamy z zalem – na godnie zasłużony odpoczynek.

## 4. Córka Legionisty

### Jan Pieńkowski

Córka Legionisty

Był dzień, co wreszcie wolność  
ogłosił dzwonów spżem  
i odtąd już do Polski  
było nam wszystkim bliżej.

Na sercach nam dreszcz wzruszeń  
jak kwietny pył osiadał.  
Dźwięk fanfar pieścił uszy,  
brzmiał śpiew: „Pierwsza Brygada”...

Lecz czas znów biegł na skrót  
ku zatraceniu swemu. Rozstrzelał  
pieśniom nuty seriami z  
cekaemów.

Wiatr dziejów bicze z piasku  
kręcił i wydmy skrwawił,  
aż wreszcie z losów łaski  
przywiał Cię do Wrocławia

Oddałaś w nim świat własny  
i własny trud młodzieży,  
by duch w niej nie mógł zasnąć, a los  
narodu przeżyć.

Wierzyłaś patrząc w górę w  
Przyjaźń, co mosty stawia i w  
taką mądrość, której nie trzeba  
już poprawiać.

Z czoła Ci jasność biła,  
a z serca żar ognisty.  
Dlaczego nam taifaś, żeś  
córka legionisty?

Dziś, gdy nas łączą dłonie i  
serce z sercem równa, wiemy,  
żeś z siebie płomień! A z domu  
– Bazgierówna.

## 5. W pierwszą rocznicę śmierci

### Józef Gościej

Jadwiga Harasimowicz zmarła 24 III 2006 r. o godz. 7:00 rano we Wrocławiu. Pogrzeb odbył się 29 III 2006 r. na Cmentarzu przy ulicy Grabiszyńskiej. W ostatniej drodze życia towarzyszyła Jej nie tylko Rodzina, nieprzeliczona rzesza znajomych i absolwentów, ale także spora grupa TUL-owców z całej Polski z Prezeską ZK TUL na czele. W 69 numerze kwartalnika TUL ukazały się pośmiertne wspomnienia Zofii Kaczor-Jędrzyckiej, Barbary Wikły i Jana Pieńkowskiego. Ze względów zdrowotnych nie mogłem uczestniczyć w tej smutnej uroczystości we Wrocławiu, dlatego w dniach 28 i 29 III 2006 r. napisałem kilkustronicowe wspomnienie o Jadzi, które w dalszej części pokrótce streszczę.

Tak, już rok bez Jadzi! Trudno w to uwierzyć, pojąc, że Jej już nie ma z nami. Opuściła nas niespodziewanie, mimo że każdy wiedział o chorobie i mógł spodziewać się nieszcęśliwego zakończenia, ale przecież Jadzia była od zawsze – a to w ruchu metodycznym szkolnictwa rolniczego, a to od początku w działalności odrodzonego Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych – i wszyscy byliśmy przekonani, że tak zawsze będzie; tak jakby czas nieubłagany mógł być zatrzymany. My (TUL-owcy) chcemy jeszcze zatrzymać w pamięci Jej osobę i czyn, „ale przecież wszystko powoli staje się byt, staje się przeszłością”. „Przeszłość nie wróci! Rzeka czasu płynie tylko w jedną stronę, czas zniszczył wszystko” („Tygodnik Powszechny” nr 52 z 2006 r.). Jeszcze mówimy i piszemy o Niej, układamy plan książki wspomnieniowej, na nowo czytamy Jej listy i artykuły, zwłaszcza pożegnalny „Dziękuję wszystkim za przyjaźń i współpracę”. Oglądamy fotografie, wspominamy zdarzenia, anegdoty, bo jeszcze pamiętamy Ją żywą, uśmiechniętą, serdeczną. Ale jak to długo będzie trwało? Pamięć o Jadzi pozostanie żywa wśród osób Jej bliskich, wśród starszych TUL-owców. Jest nam więc smutno, bardzo smutno. Pewnie Jadzia patrzy na nas i dziwi się naszemu smutkowi, pewnie chciałaby, abyśmy swoją robotę społeczną wykonywali nadal rzetelnie, tak jak to było za Jej życia.

„Odchodzę bo tak trzeba, lecz pełna radości.  
Niech więc i w Waszych sercach  
Nie smutek, lecz radość zagości.”  
(Napis na nagrobku w Nowym Sączu)

## 5.1. Jadzia a Marcinkowice

Jadwiga Harasimowicz jako przewodnicząca Komisji Humanistycznych Inicjatyw Edukacyjnych i jako doświadczona nauczycielka interesowała się tym, co robią Jej koleżanki i koledzy z TUL-u, dlatego też zainteresowała się tym, co robię w szkole rolniczej w Marcinkowicach k. Nowego Sącza, jak realizuję idee regionalizmu i wychowania patriotycznego. Szczególnie interesowała Ją historia Legionów Piłsudskiego na terenie Limanowszczyzny i Sądeckiżny, bo Jej ojciec Lucjan Bazgier brał udział w Kampanii Podhalańskiej I Pułku L.P. w 1914 r., za co otrzymał później działkę koło Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie urodziła się Jadzia. Interesowała Ją również Szkolne Muzeum związane z regionem i z I Pułkiem L.P. Pierwszy raz była w Marcinkowicach w lipcu 1991 r. w czasie wycieczki uczestników XI Sesji TUL w Tarnowie. Była w tym dniu słoneczna pogoda, więc park podworski, szkoła i muzeum spodobały się Jej.

Jadzia w „Kronice” napisała: „Kolega Józef wraz z żoną Stefanią przygotowali dla całej grupy 50-osobowej poczęstunek” – a w liście z 22 VII 1991 r. „Cieszę się bardzo, że nareszcie byłam w Marcinkowicach, przede wszystkim poznałam Stefę, a potem, że widziałam muzeum. Żałuję, że to było tak krótko”.

Jadzię poznałem dość dawno, jeszcze za czasów dyrektorowania w Praczach Piotra Antoniego Piotrowskiego, twórcy ruchu metodycznego szkolnictwa rolniczego. Szczególnie serdeczna przyjaźń z Jadzią datuje się od czasów Sesji w Opaleniu w 1987 r., na której była jeszcze raz Zofia Solarzowa, Irena Kolenkiewicz. Korespondencje i spotkania na sesjach TUL-u, a także wspólne uczestnictwo w redagowaniu różnych książek umocniły naszą przyjaźń. Wysłałem Jej wszystkie moje książki o szkole rolniczej w Marcinkowicach, o Legionach Piłsudskiego (o sławnej bitwie I Pułku L.P. z Rosjanami 6 XII 1914 r.). Wysłałem Jej zaproszenia na uroczystość 70-lecia Niepodległości (11 XI 1988 r.) w Marcinkowicach, na 100-lecie ruchu ludowego na Sądeckiżynie w 1993 r. Ale zdrowie nie pozwalało Jej przybyć. W listach pisała: „Choruję, ale sercem jestem z Wami – dziękuję za pamięć o legionistach – Jadwiga Bazgier-Harasimowicz – córka legionisty”.

Do Marcinkowic przybyła wraz z Paplińskimi dopiero w 1994 r. na 80-lecie bitwy legionistów z Rosjanami. W tej uroczystości brała także udział Prezeska TUL Zofia Kaczor-Jędrzycka. Dzień 6 XII 1994 r. był dniem słonecznym i ciepłym mimo zimy, dlatego na Cmentarzu Legionowym zebrały się tłumy mieszkańców Marcinkowic, okolicznych mieszkańców, młodzieży naszej szkoły, przyjaznych gości, a wśród nich była także Jadwiga Harasimowicz, córka legionisty Piłsudskiego L. Bazgiera. Po uroczystej Mszy Świętej, apelu poległych i złożeniu wieńców na grobie żołnierzy I Pułku, poległych 6 XII 1914 r., uczestnicy przeszli do gmachu naszej szkoły, gdzie wysłuchali orkiestry wojskowej i recytacji zespołu uczniowskiego.

Uroczystości te, nastrój, udział tylu gości wpłynęły inspirująco na Jadzię, która wygłosiła (bez przygotowania) piękną mowę o Piłsudskim, legionistach, o Jej ojcu. To przemówienie wspomina się do dzisiaj w Marcinkowicach. Po tych uroczystościach Kol. Jadwiga Harasimowicz wraz z Paplińskimi z Milicza gościła w naszym domu. Na tym spotkaniu byli także: syn Juliusz z rodziną i córka Agnieszka. Zachowały się zdjęcia i film z tych wydarzeń.

Później goście pojechali do Męciny do domu Kłosowskich, o których napisała artykuł „Artystyczny rodowód”. Na uroczystość 90-lecia bitwy marcinkowickiej (w 2004 r. Jadzia już nie mogła przyjechać ze względu na stan zdrowia). Wysłałem Jej moją książkę o legionistach, artykuły prasowe, fotografie i piękny wiersz Wandy Łomnickiej o legionistach, „Psalm świetlisty”, a na widokówce legionowej (legionista składa raport) napisałem: „Jadwiga Harasimowicz – córka legionisty – niech przyjmie raport, że w Marcinkowicach prace „pro publico bono” wykonywane są nadal żarliwie”.

Z Jadwigą Harasimowicz spotykałem się wielokrotnie na sesjach TUL-u, a ostatnim razem w Zwierzyńcu w 2003 r. Nie wiedziałem wówczas, że jest to moje ostatnie widzenie z Nią. W dniu Jej pogrzebu zamówiliśmy (wraz z żoną) Mszę Świętą w naszym kościele parafialnym w intencji zmarłej. Modliliśmy się żarliwie w Jej intencji. W tym dniu w Marcinkowicach padał ulewny deszcz – taki jak w wierszu Staffa. W wywiadzie udzielonym wnukowi Marcinowi (1995 r.) Jadzia zacytowała wiersz Wandy Łomnickiej (znały się ze sobą):

„... jeśli kiedyś odejdę  
powiedzcie  
poszła na sąsiednie podwórko  
nakarmić kota przybędę  
albo w góry pogawędzić z bukami  
...wspiąć się wyżej ponad wyobraźnię,  
ponad wschody, zenity i zachody słońca  
i dlatego nie wróci...  
...zapamiętajcie mnie taką”.

## 5.2. Korespondencje z Jadzią

Korespondowałem z Jadwigą Harasimowicz od 1987 r. do 30 IX 2005 r. (ostatni list z Wrocławia). W swoich zbiorach mam około 170 Jej listów. Są to moje drogie pamiątki. W listach jest sporo wiadomości o TUL-u, o osobach znanych nam tulowcom, o zdrowiu, o legionistach i są też wyrazy serdeczne dla mnie i mojej rodziny. Wiadomość o śmierci Jadzi zmobilizowała mnie do ponownego przeglądnięcia całego bloku korespondencyjnego. Zdało mi się, że znów rozmawiam z Nią, że słyszę Jej głos i widzę ten życzliwy uśmiech.

Na wszystkie święta przysyłała niebanalne życzenia na pięknych kartkach i dobranych kopertach. Na Boże Narodzenie: „Całuję Was serdecznie i Agnieszkę. Myślę o Was... życzę z całego serca, w blasku choinki i w śniegowej szacie, i w bieli opłatka”.

Na moje imieniny pisała: „...życzę pogody ducha, którą krzepisz innych, a mnie najwięcej”.

Na imieniny żony: ... „Przesyłam serdeczne życzenia, zdrowia i sił do pełnienia dalej pięknej roli ~Serca Domu~”.

O córce Agnieszce, która wyszła za mąż za Polaka z Ameryki, pisała: „Cieszę się, że Jej jest dobrze z nim. To najważniejsze. Wasze tęsknoty trzeba schować do szuflady”.

Każda wiadomość o chorobie Jadzi mobilizowała nas do modlitwy w Jej intencji. „Droga Steniu i Józku – dziękuję za listy, a przede wszystkim za modlitwy... bo czuję się prawie dobrze”...

W 2005 r. pisze: „Drogi Józku – jeszcze mnie święty Piotr nie puścił za bramę i wróciłam po 10 dniach ze szpitala”.

W ostatnim liście z 30 IX 2005 r. (4 strony) napisała: „Nie czuję się dobrze. Dalej mam kłopoty z oddychaniem – są to zatory sercowe i płucne”.

O pogłębiającej się chorobie Jadzi dowiedziałem się od znajomych TUL-owców, jak również o Jej śmierci. W artykule o śp. Czesławie Opalińskim (2003), Jadzia napisała: „Jesteś już na drugim brzegu Styksu, znasz tajemnice Bytu i Wieczności, spotkałeś Najbliższych i wielu wspólnych Przyjaciół. Czekaj cierpliwie na mnie. Gdy wybije zegar moją godzinę – dołącz do Was i odkryj Ci, że przeżyłeś nie tylko długie życie, ale i jego wielkość”.

Te słowa odnoszą się teraz do śp. Jadwigi Harasimowicz.

## 6. Wspomnienie o koleżance

Adam Kiełbiński

W związku z podjętą przez absolwentów inicjatywą szerszego opracowania działalności pedagogicznej naszej zmarłej koleżanki, włączam się i ja do wspomnienia o Niej i Jej szerokiej działalności społecznej. Z relacji naszej miłej absolwentki – Basi Wikło – wiem, że w tych wspomnieniach uczestniczyć będzie więcej współpracujących z Jadzią osób, w długim przecież okresie ponad 50-letniej Jej pracy. Do napisania wspomnienia skłania mnie również artykuł Jadzi, jaki ukazał się w „Wieczorze Wrocławia” pt. „Wspomnienie sępią malowane”. W zakończeniu artykułu odczytuję zapis: „Drogiemu Adamowi Kiełbińskiemu, aby ocalił od zapomnienia nasze wspólne działania”. Zapis ten zobowiązuje. Tak! Współpracowaliśmy w zespole koleżeńskim przez kilkadziesiąt lat. Pełna niespożytej energii Jadzia przewodziła nam w oddziaływaniach wychowawczych, organizacji prac pozalekcyjnych i w szerokiej działalności społecznej, nie tylko w środowisku lokalnym, ale i krajowym.

Poznaliśmy się dawno, bo w 1955 r., byliśmy rówieśnikami, ludźmi dorastającymi w czasie wojny. Do naszej szkoły Technikum Melioracji Wodnych, założonej rok wcześniej w 1954 r. przy istniejącym już Technikum Mechanizacji Rolnictwa, przyszła Jadzia wraz z mężem oraz z kilkuletnim bagażem doświadczeń w szkolnictwie. Od 1947 r. uczyła w szkole w Nieklaniu na Ziemi Kieleckiej. A w latach pięćdziesiątych w pobliskiej szkole Wrocławia Leśnicy. Była tam wychowawczynią i nauczycielką młodzieży dorosłej, opóźnionej w nauce w wyniku wojny. Sprawdziała się w swej pracy z uczniami często od Niej starszymi, umundurowanymi.

Jadzi zaangażowanie, a nawet pasja wkładana w pracę z młodzieżą nie były przypadkowe, to dziedzictwo po atmosferze domu rodzinnego i zainteresowaniach obojga rodziców. Matka Jej była nauczycielką – jak często zaznaczano – z powołania, ojciec zaś – Lucjan Bazgier, występujący pod pseudonimem „Popiel” – był kronikarzem dziejów „Pierwszej Kadrowej Legionów Piłsudskiego”. Pisał także wspomnienia o brygadzie, w której był oficerem i czwórce sztandarowej, w której uczestniczył. Po przejściu w stan spoczynku został osadnikiem wojskowym na Kresach Wschodnich. W roku 1945 przybył na Ziemię Odzyskane, gdzie współorganizował szkolnictwo podstawowe w okolicach Dzierżoniowa.

Zapewne stąd wyniosła Jadzia potrzebne zainteresowania i entuzjazm do tej pracy. Podobnie zresztą jak jej siostra, również nauczycielka, jak i dzieci obu. Na opis pedagogicznej i edukacyjnej działalności Jadzi i efektów Jej wieloletniej, bo ponad 50-letniej, pracy, złoży się zapewne wiele wątków opracowanych ze strony współpracujących z Nią nauczycieli, a także absolwentów utrzymujących kontakty z Nią i ze szkołą.

Jadzia była osobą bezpartyjną. Najwyraźniej nie dążącą do kariery w hierarchii szkolnictwa. Można było zauważyć, że wychowywała młodzież, przekazując wiedzę w szacunku dla pracy i umiłowania ojczyzny. Cały ciąg jej działalności to budowanie, mimo istniejących przecież znanych przeszkód – mam na myśli cenzurę i wynikające z niej ograniczenia. Posłużyły się przykładami.

Sięgam do roku 1956 – roku przełomu wówczas dla kraju znaczącego, bo najpierw Poznań, a wkrótce potem Budapeszt... Apel szkoły, tej wielkiej w tym czasie gromady blisko 2000 uczniów i nauczycieli. Powaga chwili, zapowiadanych przemian w kraju. Cisza stojącej w szeregach młodzieży i nauczycieli. Trzymane przez młodzież drzewce sztandarów szkoły i niesłyszany do tej pory Hymn Polski, zaraz potem pieśń „Boże coś Polskę” i „Nie rzucim Ziemi”, później patriotyczne przemówienia i również głos okolicznościowy śp. Jadzi. Prawdą jest, że euforia tych podniosłych chwil zapowiadanych przemian, w niedługim czasie, bo po roku, minęła. To jeszcze nie ten czas, wymarzonej przez naród i zapowiadanej niepodległości i wolności. Ale historykom, wśród których była Jadzia, ust nie zamknięto. Były uroczyste akademie z patriotycznymi programami, były lekcje Jadzi z pytaniami odważnej młodzieży wiejskiej o Katyń – tak dotąd skrywany, były programy artystyczne poświęcone Narwikowi, sukcesom naszych żołnierzy pod Tobrukiem i Monte Cassino. Udział z inspiracji Jadzi w tych uroczystych spotkaniach brali kombatanoci: ci z zachodu i ci, co często bez butów szli ze wschodu. W tych jakże patriotycznych spotkaniach występowały nie dziesiątki, a setki uczniów: recytatorów, chórzystów, aktorów. Pamiętam do dziś te wspaniałe przygotowane programy, bo tak umiała Jadzia przeforsować treści, do których niewątpliwie mogła mieć zastrzeżenia cenzura. To nie tylko moje subiektywne odczucia i oceny, piszą o tym w swych licznych wspomnieniach, wzmiankują w wystąpieniach na zjazdach absolwencji. Trzeba podkreślić, że Jadzia w tej mozolnej pracy nie była sama, miała obok siebie zgodne, zjednane kierownictwo w osobach dyrektorów Antoniego Piotrowskiego, Ludwika Cetry i cały zespół współpracujących z nią kolegów nauczycieli. W tak wspaniałej, patriotycznej atmosferze przebiegały kolejne uroczystości szkolne w latach jej pracy.

Jeszcze dziś wspominam ze wzruszeniem zaangażowanie młodzieży w zbiorowe przekazywanie krwi przez całe klasy dla braci Węgrów, w czasie ich zrywu ku wolności, oraz przykładne oddawanie krwi dla naszego nieuleczalnie chorego kolegi Zbigniewa Rodakiewicza.

Wspominam zawsze liczny udział młodzieży w wypełnionej auli Zespołu Szkół na akademiach, wspominam jej udział w pogrzebach tak miejscowych, jak i na wyjazdach – jak w przypadku dyrektora i kilku nauczycieli – wszędzie tam obecne były poczty sztandarowe. Wspominam ścisłą pracę wychowawczą z dowództwem Wyższej Szkoły Oficerskiej Inżynierskiej we Wrocławiu (był tam przecież pułkownikiem nasz absolwent Ryszard Leśniak) oraz kontakty z rozgłośnią radiową, potem także telewizyjną. Wszystkie te przedsięwzięcia były efektem entuzjastycznego zaangażowania Jadzi i mobilizowanych przez nią kolegów.

Na wspomnienie zasługuje wiele sposobów oddziaływania z inspiracji Jadzi, zgodnie popieranej przez kierownictwo i kolegów, takich jak na przykład otwarte lekcje wychowawcze, dyskusyjny klub filmowy, zorganizowane wyjścia na spektakle teatralne i operowe, wieńczzone zawsze dyskusją uczniów i nauczycieli biorących w nich udział, uczestnictwo w wybranych słuchowiskach radiowych, a później telewizyjnych, wycieczki krajoznawcze z programem historycznym, liczne akademie, wieczornice i na ogół rzadko spotykane w innych środowiskach szkolnych, zjazdy absolwentów rozsianych po całym kraju. Na podkreślenie zasługuje kontakt z absolwentami klas pierwszego rocznika naszych wychowanków z lat 1954–1959. Jeszcze w tym roku odbędzie się ich kolejne spotkanie z nauczycielami (organizują je Basia Wikło,

Halina Sułek, Ryszard Leśniak, Ryszard Pawski i wielu innych). To pewien fenomen świadczący o roli, jaką spełniła w ich życiu szkoła. Jadzia potrafiła zachować bezpośrednie kontakty poprzez korespondencję i spotkania w Jej domu rodzinnym – nie przesadzam – ale chyba z paruset uczniami. Szkoła nasza i Jadzi przechodzą do historii, a spotkania z absolwentami trwają, to spotkania ciekawe z ludźmi zajmującymi dziś poważne stanowiska, ale również przechodzącymi już na emeryturę. Wiem także, że była Jadzia zapraszana na rodzinne uroczystości uczniów, jak śluby, chrzciny, a nawet pogrzeby. Słowem, matkowała swym uczniom i wychowankom. Jej rodzone dzieci wspominają, że dzieliła swój czas z korzyścią dla szkoły, której poświęciła całe swoje pracowite życie.

## 7. Wspomnienie

### Stanisław Łopuszański

Dzisiaj z perspektywy lat muszę powiedzieć, że jestem wdzięczny losowi, że na mojej drodze życia postawił Panią Profesor Jadwigę Harasimowicz. Myślę, że każdy, kto miał szczęście spotkać się z Panią Harasimowicz, mógłby o niej napisać grubą książkę. Jako młody człowiek z małej wioski w powiecie Góra Śląska znalazłem się we Wrocławiu Praczech w Zespole Szkół Rolniczych na Wydziale Zaocznym. System nauki był taki, że po kilku zjazdach szkoleniowych odbywał się zjazd egzaminacyjny. Jadąc na pierwszy taki zjazd, czekając na autobus do Prac, spotkałem kolegę z Wrocławia. W czasie naszej rozmowy byłem przerażony, po co ja jadę, kolega ten popisywał się zasobem wiedzy, o której ja nic nie wiedziałem. Tylko ze względu na wstyd nie uciekłem do domu. Po przyjeździe do Prac i zakwaterowaniu poszedłem na wyznaczony egzamin. Czekając na swoją kolejkę, myślałem, tylko o jednym, jak uciec i co powiedzieć w domu i wiosce, bo tam też wszyscy wiedzieli, że pojechałem do szkoły. Minę musiałem mieć straszną, bo Pani Profesor Harasimowicz zauważyła mnie w grupie stojących uczniów, podeszła do mnie i zaczęliśmy rozmawiać. Wiem, że opowiedziałem Jej o mojej przygodzie z kolegą i o tym, co czuję. Wtedy dowiedziałem się, że to nie kolega mnie będzie egzaminował, ale nauczyciele i oni wiedzą, czego mają wymagać. Powiedziała, że na pewno zaliczę sesję, a na koniec rozmowy oznajmiła, żebym po zakończonej sesji przyszedł z indeksem. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, dlaczego miałem przyjść do Pani Profesor, bo gdyby mi nie poszedł jakiś egzamin, na pewno udzieliłaby mi rady, jak ten problem rozwiązać. Sesję zaliczyłem i z uśmiechem na ustach czekałem pod gabinetem Pani Profesor, zgodnie z naszą rozmową, aby pokazać indeks. Po skończonej lekcji, wchodząc do gabinetu, już w drzwiach usłyszałem, „a mówiłam ci, że wszystko będzie dobrze”. Krótka rozmowa, jak dalej postępować i pożegnanie. Jadąc do domu, byłem dumny ze swoich dokonań, a jeszcze bardziej wdzięczny za pomoc Pani Profesor, mimo tego cały czas czułem na sobie kompleks wsi. Chemii uczył mąż Pani Harasimowicz Profesor Rajmund Harasimowicz. Na kolejnej sesji egzaminacyjnej, nie wiem już dzisiaj, z jakiego powodu, zaliczać chemię miałem w domu Pana Profesora. Sam wyjazd gdzieś na ul. Powstańców Śląskich stanowił już dla mnie duże wyzwanie. Jeszcze egzamin sam na sam z Profesorem w jego mieszkaniu, myśl ta mnie przytłaczała. Pojechałem, pamiętam, że kilka razy przechodziłem po chodniku wkoło domu, wreszcie wszedłem do budynku, zadzwoniłem i drzwi otworzyła Pani Profesor Jadwiga Harasimowicz. Zacząłem recytować, że przyjechałem do Pana Profesora zdawać chemię, ale Pani Profesor powiedziała: „wchodź, Profesor czeka”; po wejściu do pokoju zobaczyłem, że Profe-

sor sprawdza jakieś zeszyty. Kazał usiąść, a jeszcze dobrze nie usiadłem, Pani Profesor Harasimowicz przyniosła herbatę dla męża i dla mnie. Przyznam się, że była to dla mnie sytuacja zupełnie nowa, egzamin w mieszkaniu u Pana Profesora, w dodatku herbata, nie wiedziałem, jak mam się zachować. Myślę, że Profesor zorientował się w mojej sytuacji, wziął herbatę i poprosił o indeks i zaczął ze mną rozmawiać na tematy ogólne, skąd przyjechałem, czy pracuję i tym podobne, następnie na kartce napisał zadanie, w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Profesor wyszedł na chwilę, po powrocie popatrzył na kartkę, przyznam, że zadanie to było łatwe, a później zaczęła się rozmowa. Profesor pytał, co by było, gdybym do tego wzoru dodał inny wzór i tym podobne. Egzamin zdałem, byłem tak podbudowany, jakbym miał już w kieszeni świadectwo maturalne. Te dwa epizody z bardzo wczesnego mojego spotkania z Panią Profesor Jadwigą Harasimowicz zaowocowało tym, że później skończyłem studia, ponad trzydzieści lat byłem nauczycielem w tej szkole, pełniłem funkcję kierownika warsztatów szkolnych. Założyłem rodzinę, cały czas byłem ja, a później moja rodzina w szczerym kontakcie z Panią Jadzią, bo tak się później do niej zwracaliśmy. Pamiętam, że jak moja żona wyjechała na dłuższy okres za granicę, w domu zostało trzech mężczyzn, to dochodziło do różnych spięć i co w tym znamiennego, że moi synowie nie szukali wsparcia u chrzestnych czy krewnych, ale jeździli do Pani Harasimowicz i zawsze po takiej rozmowie otrzymywałem telefon od Pani Jadzi. Rozmawiając o powstałym problemie, zawsze potrafiła znaleźć rozwiązanie, które było przez nas akceptowane, a trzeba zaznaczyć, że byli to już dorośli chłopcy, spotykali się z dziewczynami i posiadali swój sposób na życie. Okres pracy w szkole to szeroki rozdział w moim życiu, był to czas, że w ciągu jednego roku zmieniali się dyrektorzy, czasem nawet dwukrotnie. W tym okresie wiele razy Pani Jadzia była podporą i ostoją nie tylko dla mnie. Wspomnę jeszcze okres tulowski – Pani Jadzia to Człowiek-Instytucja, myślę, że wielu w tej materii się wypowie. Miała szczególnie dar mowy, zawsze, kiedy zabrakło jakiegoś prelegenta, podejmowała temat i nigdy nie zawiodła, ale nade wszystko miała dar słuchania. Potrafiła rozbawić każde towarzystwo, do tych krótkich wspomnień dołączam zdjęcia, które pokazują, jak w każdej sytuacji stwarzała odpowiednią atmosferę. Dla mnie i moich najbliższych jest wzorem i autorytetem godnym naśladowania.

## 8. Wspomnienie

### Halina Sułek-Gumienna

Moją najwspanialszą nauczycielkę, wychowawczynię i przyjaciółkę poznałam we Wrocławiu Praczech we wrześniu 1955 r., gdzie przyjechałam do szkoły, mając 14 lat, z biednej Kielecczyny. O Pani Profesor bardzo trudno pisać, ponieważ był to CZŁOWIEK przez wielkie C, nietuzinkowy, wspaniały.

W zasadzie zawdzięczam Jej wszystko.

To Ona nie pozwoliła zabrać mnie ze szkoły mojej mamie, której wydawało się, że wyjechałam z domu, bo było mi źle. A ja znalazłam w ogłoszeniu szkołę z internatem i możliwością zdobycia średniego wykształcenia. Dzięki tej szkole miałam pracę – byłam stypendystką, przez ostatni rok, w Powiatowej Radzie Narodowej, gdzie przepracowałam 40 lat.

Jadzia, bo tak o Niej mówiliśmy i mówimy dalej, spowodowała to, że nasza klasa „b”, której była wychowawczynią, po tylu latach trzyma się razem, możemy zawsze na siebie liczyć. Wiemy bardzo dużo o sobie, jesteśmy dla siebie jak siostry i bracia. O kolegach z klasy



mówimy „nasi chłopcy”, a o koleżankach „nasze dziewczyny”, to dzięki Jadzi utrzymujemy ze sobą więź. Wysyłamy sobie życzenia świąteczne, imieninowe, dzwoniemy do siebie – to wszystko dzięki Niej.

Ona nauczyła nas organizacji pracy, bo wspólnie przygotowywaliśmy różnego rodzaju wieczorki, np. andrzejki, akademie. To Ona jeździła z nami do teatru, opery, operetki. Dzięki Niej pozostał nam nawyk chodzenia do teatru czy muzeum. Jadzia jest chrzestną mojej córki, ale nie odważyłam się nigdy powiedzieć do Niej *per* Jadziu, przez ogromny szacunek jaki mam dla Niej. Często mówiła, żartując – „mów mi Kumo” – ale nie przeszło mi to przez gardło.

Na studniówkę trzeba było mieć białą sukienkę, niestety nie mogłam o tym nawet myśleć. Jadzia kupiła mi materiał, jej siostra Zosia – też nauczycielka – uszyła tę sukienkę i tym sposobem mogłam być na studniówce – za co jestem Im obu bardzo wdzięczna. Znałam też mamę Jadzi, Panią Franciszkę Bazgier – nauczycielkę, która była bardzo serdeczna dla nas młodzieży, którzy przychodziliśmy do Jadzi do domu, zawsze znalazła coś, żeby nas poczęstować.

Nie to było najważniejsze, ale Jej stosunek do nas – traktowała nas jak swoje dzieci – bo to wychowankowie Jadzi. Jadzia większość swojego czasu poświęcała nam, uczniom z Pracz, mając dwóch synów i wspaniałego męża Rajmunda – nauczyciela chemii w Praczach. Wiem, że był zazdrosny o czas, który nam poświęcała, a przecież mogła go spędzać z rodziną. Kiedyś, raz się zdarzyło, że wróciła szybciej do domu, więc sąsiad gratulował Jej mamie, że Jadzia tak szybko wróciła, bo to był ewenement. W zasadzie była cały czas w Praczach, a mieszkała przy ulicy Powstańców Śląskich 160, więc dojazdy zajmowały im, tj. Jadzi i Rajmundowi dużo czasu.

Ucząc w szkole we Wrocławiu Praczach, organizowała nam wycieczki: nad morze, w góry, do Oświęcimia. Gdyby nie jej inicjatywa, wielu z nas nie widziałoby piękna naszej Polski. Jadzia umiała słuchać, zawsze znalazła jakąś radę w potrzebie. Potrafiła przyjechać do mnie, bo wiedziała, że jestem po leczeniu szpitalu. Razem byliśmy u Wandy K. czy Zbyszka M. Starła się bywać u swoich wychowanków nie tylko wtedy, gdy była potrzeba, np. choroba, ale również wtedy, gdy była radość w rodzinie. Dzięki Niej odbywały się spotkania klasowe, na które przybywali i przybywają (niestety już bez Niej) ludzie z całej Polski.

Na spotkanie z nami (niestety Jej ostatnie) przyjechał kolega Janek M., którego przez wiele lat nie było, uklęknął przed Jadzią, wręczając jej kwiaty, żeby podziękować za opiekę w szkole – wprowadziło Jadzię w zakłopotanie, ale widać było, że bardzo się cieszy.

Tak naprawdę Jadzia mogłaby nie mieszkać u siebie, bo zawsze byłby ktoś z absolwentów, kto chętnie by Ją gościł. Ale Ona kochała swój taras, gdzie było dużo kwiatów, tam karmiła sroki i cieszyła się z każdego dnia. Miejsce to dla nas również jest zaczarowane i teraz kiedy Jej zabrakło, Wrocław stał się inny, smutny, bo nie ma Tej, do której można było przyjść o każdej porze dnia i nocy i porozmawiać, wyżalić się lub śmiać razem – tak bardzo nam wszystkim *Jej brak* – naszej kochanej Jadzi.

Jestem pewna, że takie same odczucia mają wszyscy z klasy „b”, której była wychowawczynią. Pozwolę sobie wymienić te 20 osób, i tak:

Ślawcia P., Wanda S., Danusia H., Marta S., Halina S., Basia W., Stasio S., Wiesio L., Jasio G., Mietek Z., Michał P., Henio T., Piotruś K., Czesiek J., Wiesio T., Rysiek L., Waldek C., Rysiek P., Rysiek M., Janek M.

Wiem, że nie sposób opisać wszystkich spotkań z Jadzią, ale najważniejsze to, co jest w Nas.

PAMIĘĆ O NIEJ – bo była i będzie przykładem dla nas Jej wychowanków.

## 9. Dwie refleksje

### Ewa Gałązka

„Wspomnień nie wolno odświeżać,  
Weryfikować dojrzałym poglądem.  
Trzeba je od czasu do czasu wyjąć  
z szuflady, odkurzyć i delikatnie  
włożyć z powrotem.  
Trzeba je po prostu mieć”.

Refleksja 1. Wśród wspomnień przechowuję kartki i listy, które otrzymywałam od Pani Profesor. Zawsze nas uczyła, aby coś, co chcemy wysłać do drugiego człowieka, było napisane własnoręcznie i od serca. Aby treść takiej kartki czy listu adresat chciał zachować na długo wśród swoich pamiątek. Ciepłe słowa Pani Profesor towarzyszyły mi przez ponad 30 lat.

W roku 1976 pobraliśmy się z Andrzejem – kolegą z klasy. Na wesele zaprosiliśmy koleżanki, kolegów i naszą Wychowawczynię – Panią Harasimowicz. Takie oto życzenia wpisała do naszego ślubnego albumu: „Szczęście w życiu składa się z drobiazków: krótkich chwil dobroci, pocałunków, uśmiechów, życzliwych spojrzeń czy serdecznych komplementów. Obdarzajcie się wzajemnie tymi DROBIAZGAMI, a szczęście z pewnością u Was zagości. Tego Wam serdecznie życzę na nowej drodze życia”.

W 1978 r. – cztery dni po narodzinach naszej córki – Pani Profesor przysłała kartkę o takiej treści: „Kochana Moja Dzielna Ewuniu! Masz więc córeczkę i już rozumiesz, co to znaczy być Matką. Spełniło się to, co jest w życiu Najważniejsze. Ani dyplomy, ani bogactwa nie zastąpią Ci nigdy tej Kruszyнки, która jest z Ciebie i z tej Miłości, którą obdarzył Cię wybrany przez Ciebie Mężczyzna. Życzę Ci dużo, dużo zdrowia i sił do wychowania nowego Człowieka i tworzenia własnego Gniazda pełnego ciepła, serdeczności i uroku (...). Andrzejku Drogi – moje gratulacje dla Ciebie. Proponuję naszego Marcinka na zięcia”.

W 1984 r., po spotkaniu klasowym, które zorganizowaliśmy w Praczech w 10. rocznicę zdania matury, Pani Profesor przysłała nam kartkę i takie piękne słowa: „Kochani! Są ludzie, którym nie starcza odwagi nawet na jedno marzenie. Ja miałam ich dużo – nie wszystkie się spełniły, bo tak to już w życiu jest. Ale ten wieczór był tym spotkaniem z marzeniami. Tak. Miałam przed sobą dojrzałych, inteligentnych – serdecznych wobec siebie ludzi. Ludzi, z których mogę być dumna jako wychowawczyni, która przez 5 lat starała się pomóc być dorosłym (...)”.

Przechowuję wiele kartek świątecznych. Ich treść jest inspiracją do życzeń, które wysyłam swoim bliskim, znajomym i uczniom. „Kochani! Całej bliskiej mi rodzinie Gałązek życzę radosnej wiosny w jej całej krasie, dużo sił do szkolnych zmagani i domowych obowiązków. Niech Święto Zmartwychwstania umocni więzi rodzinne, pogłębi Miłość, a mosty na rzekach niech przypominają pomosty duchowe, o które teraz coraz trudniej. Śmigus też musi być i baby, i mazurki, palmy i pisanki, i barwinek, i baranek (...)”.

I jeszcze jedno – ukochane życzenia od Pani Profesor. Co roku, przed Świętami Bożego Narodzenia czytam je w ciszy mojego pokoju, i co roku wywołują wzruszenie i uroczysty nastrój. Przypominają o wartościach w życiu najważniejszych: „Oby nad Tobą wciąż świeciła gwiazda. Po to są święta. Wszystkie kościelne i wszystkie Twoje domowe: abyś nie dała się

zamknąć w jarzmie codziennego życia. Po to świętujesz, abyś miała właściwą perspektywę swoich cierpień, upokorzeń, krzywd, których doznajesz; abyś zobaczyła w blasku wieczności swoją pracę zawodową, swoje obowiązki. Oby nad szopą twoich spraw codziennych nie zgasała gwiazda. Inaczej nie da się żyć” [cyt. z ks. Malińskiego].

Myślę, że podobne kartki i listy od Pani Profesor są wśród pamiętek wielu jej uczniów. Dlaczego pieczołowicie trzymamy je od tylu lat?

Bo są ciepłe, pełne troski i życiowej mądrości. Różnią się od kartek kupowanych w kiosku z gotowym tekstem, które wystarczy tylko podpisać. W tych jest serce, dusza i ufność, że życie może być piękne i wielkie. Przekonywała, że wszystko w naszych rękach – wystarczy tylko chcieć. Mówiła nam również o tym, o czym każdy rodzic i wychowawca powinien mówić swoim dzieciom, że jesteśmy ważni, niepowtarzalni, wartościowi i jedyni. Mówiła tak długo, aż uwierzyliśmy.

Takimi słowami żegnała nas, gdy kończyliśmy szkołę: „Wasze marzenia niech będą waszym życiem. Dostrzegajcie zawsze drugiego człowieka, bo tylko on wart jest waszej uwagi. Bądźcie dobrzy i sprawiedliwi, abym była dumna, że takich wychowałam uczniów”.

Była z nas dumna, a my mieliśmy szczęście, że spotkaliśmy Ją na swojej Drodze.

Refleksja 2. W Pracach panował szczególnie klimat. Przed południem lekcje, a po południu dopiero zaczynało się życie. Dyskusje w klubie filmowym, próby zespołu muzycznego, treningi na halach sportowych i mnóstwo innych zajęć. W takich warunkach dojrzewaliśmy i dorastaliśmy. Zawdzięczamy to wielu wspaniałym nauczycielom. Potrafili rozpalić w naszych młodych duszach zainteresowanie kulturą, sztuką, sportem. Zachęcić do pracy nad sobą, do ciągłego „wspinania się”. [...]

Byliśmy zwykłą-niezwykłą klasą. Zwykłą, bo przecież był to przypadkowy zestaw uczniów i przypadek zrządził, że spotkaliśmy się w Technikum Melioracji Wodnych i wychowawczynią naszą została pani Jadwiga Harasimowicz. Niezwykłą, bo dzięki Pani Harasimowicz zdobywaliśmy nagrody w ogólnopolskich konkursach, pisaliśmy recenzje do Tygodnika Kulturalnego, bywaliśmy na koncertach Wratislavia Cantans, spotykaliśmy się z ciekawymi ludźmi i robiliśmy mnóstwo innych niezwykłych rzeczy. Początkowo Pani Profesor musiała nas do tego zachęcać, a niejednokrotnie zmuszać. Była uparta i wytrwała, a my nie mieliśmy wyjścia. Do dzisiaj pamiętam popołudnia przed gabinetem Pani Profesor. Przynosiliśmy do sprawdzenia cotygodniowe recenzje ze spektakli teatru telewizji, po korekcie trzeba było je przepisać i wysłać do Warszawy. Przedstawialiśmy do akceptacji artykuły do gazetek, relacje z ważnych wydarzeń szkolnych itp. Pani Profesor cierpliwie sprawdzała nasze wycieczki, bo często taki był poziom tych prac, poprawiała, doradzała i kazała wrócić z nową wersją. O... często narzekaliśmy. Na dworze świeciło słońce, park kusił, zachęcał do spacerów, a my tkwieliśmy w szkole. Ale Pani Profesor też tkwiła, często do wieczora. Później przywykliśmy i takie działania stały się potrzebą i dla wielu sposobem na życie.

Przyszliśmy do technikum, mając zaledwie 15 lat. Większość z nas nie wiedziała jeszcze, co tak naprawdę chce w życiu robić. Pani Profesor pomagała nam spoglądać dalej – za horyzont poletek melioracyjnych. I wielu z nas tam wypatrzyło miejsce dla siebie. Po ukończeniu szkoły Leszek poszedł na medycynę, Andrzej na historię, ja na filologię polską, Janusz jest dyrektorem banku, Rysiek lotnikiem, a ci, którzy pozostali wierni zawodowi, którego się uczyli, są wspaniałymi ludźmi. Utrzymujemy ze sobą kontakty koleżeńskie, pomagamy sobie, jeśli taka potrzeba zajdzie. Andrzej jest od 30 lat moim mężem – to moja opoka. Leszek nigdy mnie nie zawiódł jako lekarz, Adam był wiele razy naszym wsparciem i ostatnią deską ratunku. Czegoż chcieć więcej?

Po ukończeniu szkoły organizowaliśmy kilkakrotnie spotkania klasowe. Nikt nam nie kazał. Chcieliśmy się zobaczyć, powspominać. Pani Profesor zaszczepiła w nas wrażliwość na drugiego człowieka. Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce w kaplicy cmentarza przy ulicy Grabiszyńskiej. Przyjechało kilkanaście osób z naszej klasy, aby towarzyszyć Pani Profesor w Ostatniej Drodze. Żegnaliśmy Kogoś ważnego w naszym życiu. Ale, o dziwo, byliśmy pogodni. Każdy z nas przywoływał Ją we wspomnieniach, myślał o tym, co otrzymał i zastanawiał się, czy zdążył powiedzieć Jej o swojej wdzięczności. Teraz, kiedy piszę ten tekst, analizuję, jak wiele zawdzięczam Pani Harasimowicz. Od 30 lat uczę języka polskiego. Kocham swój zawód. Mówi się, że w życiu i pracach ucznia przetrwa mistrz sam i jego dzieło. Pani Profesor Harasimowicz żyje w moim życiu i pracy. Ja wychowałam już swoich następców, którzy kontynuują moje dzieło. Nie wszystko więc w życiu umiera.

Pani Profesor była moim Nauczycielem i Mistrzem i zdążyłam Jej to powiedzieć.

## 10. Wspomnienie

### Krzysztof Kułacz

Nasza Klasa B Technikum Melioracji Wodnych w latach 1974–1979 była Jej ostatnią w wieloletniej karierze zawodowej, nauczycielskiej i wychowawczej. Profesor Jadwiga Harasimowicz rozpoczynając z nami pracę, miała 51 lat i była osobą o ogromnym doświadczeniu zawodowym i życiowym. A my, Jej uczniowie nie byliśmy wówczas w ogóle świadomi, co oznaczał ten swoisty kontrast pokoleń. Z jednej strony osoba o mocno ugruntowanej charyzmie w Zespole Szkół Rolniczych we Wrocławiu Praczach, a z drugiej grupa nastolatków, która afirmowała bardzo mocno nowo pokoleniowe zjawiska. A warto przypomnieć, że był to czas bardzo intensywnych zmian w Polsce, szerszego otwarcia się państwa na prądy zachodnioeuropejskie i amerykańskie. Najszybciej ku temu skłonni byli ludzie młodzi, którym nie odpowiadał socjalistyczny reżim, chociaż mocno już złagodzony po dojściu do władzy ekipy Edwarda Gierka. W Telewizji Polskiej pojawił się drugi program i słynne Studio 2. W muzyce, którą najbardziej wówczas zainteresowana była młodzież, nastąpiła prawdziwa eksplozja zespołów rockowych, mocno lansowanych przez „Trójkę” Polskiego Radia. Rozpoczynała się także era dyskotekowa, w której królowały przeboje zespołów ABBA, Boney M. czy Electric Light Orchestra. Wielki Polak na Stolicy Apostolskiej, Polak w kosmosie, powstanie KOR-u (Komitetu Obrony Robotników), zorganizowanej opozycji w PRL-u, o którym wiadomości emitowane w radiu Wolna Europa próbowano bezskutecznie zagłuszać. A dojeżdżające do Pracz autobusy 103 to nie były już te głośno warkoczące Jelcze, ale cichutkie na licencji francuskiego Berlieta. Wieczorami w pokojach internatu słychać było odtwarzane na kasetowych magnetofonach utwory Led Zeppelin, Pink Floyd, Procol Harum czy Quinn.

Kiedy pojawiliśmy się w Praczach, to nie byliśmy świadomi tak naprawdę, gdzie się znaleźliśmy, bo nie zaznaliśmy wcześniej takich relacji ani takiej organizacji życia. I nie było od samego początku klarownego porozumienia pomiędzy Wychowawczynią a nami, uczniami przybyłymi z różnych środowisk, szkół i miejsc w Polsce. Czuliśmy duży respekt i niepewność, ale też sympatię i otwartość do Jej opiekuńczych, niemal matczynych skrzydeł. Na pewno wyzwoliło się w nas ogromne zaufanie, ale nie było to całkowite podporządkowanie się, trochę było w tym naszej naturalnej, młodzieńczej przekory. Z czasem związek ten nabierał

wielorakiego piękna, poprzez wzajemne twórcze relacje inspirowane Jej ustawicznymi pomyślaniami na każdy temat, a wzbogacane naszą spontaniczną wyobraźnią.

### Kontrasty

Przywołuję w pamięci upodobanie Pani Profesor do intuicyjnie i zarazem precyzyjnie zestawianych kontrastów niczym kompozycji malarskich, które miały nie tylko wywoływać zadowolenie i spełnienie u Niej samej, ale nade wszystko prowadzić do ukazania nowych wartości, w taki sposób, aby ulepszać, żeby nie powiedzieć *meliorować*, niedoskonałości świata i życia. A niedoskonałości takie niósł ze sobą każdy dzień, niemal każda chwila. Jednakże Pani Jadwiga miała tę świadomość i wycucie, które pozwalało Jej dokonywać bezbolesnych korekt, mając na uwadze podniesienie wartości ludzkiej, zwłaszcza u tego najbardziej pomniejszonego i skazanego już na starcie na niepowodzenie – młodego człowieka. Poczucie sprawiedliwości? Owszem, ale to byłoby zbyt oczywiste i nieprzewidywalne, bo *lex* bywa często *dura* i nie zawsze rozstrzyga bezboleśnie, a Ona czyniła to naturalnie, ale i zarazem bezboleśnie.

Kontrast 1. Forum – spotkania pomiędzy starszymi i młodszymi klasami. Kiedy byliśmy pierwszoklasistami, często odbywaliśmy wspólne lekcje z klasami IV i V. Dotyczyły one najczęściej tematów z kultury, np. na podstawie obejrzanych spektakli teatralnych. Przypominam sobie jedno z nich z początku klasy drugiej, nt. IX Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w 1975 r. i wypowiedzi kolegów z V klasy nie do końca dla nas zrozumiałe. Pani Profesor, bacząc nas, zwłaszcza młodszych obserwowała i delikatnie uśmiechała się, spoglądając na nasze rozdziawione z wrażenia buzie, a także zachęcała nas do włączenia się w dyskusję. Takie konfrontacje były bardzo twórcze i rozwijające i nie zawsze młodszy uczniowie uczyli się wyłącznie od starszych. Zamiarem było, aby wszyscy wzajemnie coś zyskiwali. Z natury młodszy są bardziej chłonni na nowe zjawiska i to właśnie świeże spojrzenie było ich atutem. Swobodne wypowiedzi pozwalały ponadto zrozumieć Pani Profesor, w jaki sposób rozmawiać z coraz to nowymi rocznikami i w jaki sposób do nich docierać z uniwersalnymi wartościami. Jak sądzę, był to okres chyba najtrudniejszy w spotkaniach międzypokoleniowych całego XX w. w Polsce, bo z jednej strony gorliwi wyznawcy nieuchronnie nadciągającego świata komercyjno-konsumpcyjnego, trendów kulturowych rodem z Zachodu, które emanowały z rozmaitych źródeł – kino, literatura, prasa, radio, a z drugiej – pokolenie ludzi dorastających jeszcze w odrodzonej Polsce okresu międzywojennego, wychowane na ideałach bezgranicznego umiłowania Ojczyzny, pokolenia Kolumbów, doświadczonych dramataми wojny i okupacji. Wydawać mogłoby się, że było to niemożliwe, aby zbliżyć te dwa bieguny. A jednak, skuteczny dialog międzyludzki jest wówczas osiągalny, kiedy znajduje się wartości ponadczasowe. Ona je znała, a myśmy się tego od Niej uczyli.

Kontrast 2. Wywiadówki – zebrania z rodzicami w obecności uczniów. Wcześniej z tym się nie spotkaliśmy w naszych poprzednich szkołach. Wspólne zebrania, w których uczestniczyli: wychowawca, rodzice, a także my, początkowo mocno przestraszeni. Nie było żadnych niedomówień, pełna klarowność spraw klasowych. Po części zasadniczej rodzice pozostawiali z Wychowawczynią, a my udawaliśmy się do internatu, czekając na ich powroty. Pomimo wielu błędów, które popełnialiśmy, nasi rodzice po tych nietypowych wywiadówkach nie byli do nas nastawieni tylko roszczeniowo, ale nawet wyrozumiale i starali się nas mobilizować do pracy nad sobą i to odnosiło zamierzony skutek.

Kontrast 3. *Everyman* – niczym niewyróżniający się pozornie uczeń. Dawała nam wielokrotnie lekcje pokory niemal jak z przypowieści ewangelicznych. Patrzyła na człowieka w taki sposób, że dostrzegała w nim jakąś specyficzną właściwość, często niepowtarzalną

i ukrytą pod pozorami nienaturalnej pewności bądź nadmiernej nieśmiałości w zachowaniu. Tylko wnikliwe obserwacje pozwalały Jej to odkryć i zrobić z tego właściwy użytek. Nie były to eksperymenty, ale zaplanowane celowo działania, wynikające ze znajomości ludzkiej natury. Delikatne, szlachetne pouczenia wyzwały u niejednego z Jej wychowanków zdrowe ambicje, odblokowanie kompleksów i w rezultacie większe poczucie własnej wartości. Spośród uczniów, w rozmaitych formach działania, wybierała takie osoby, które wzbudzały często spore zdziwienie u rówieśników. Do szybkich zadań – wolno działającego, do prezentacji rozmaitych – niezbyt elokwentnego, do ważnych funkcji – dotychczas mało odpowiedzialnego, a do publicznych wystąpień – nieśmiałego. To kontrastowanie już nas z czasem nie dziwiło ani nie bulwersowało, znaleźmy prawdziwe powody tego postępowania. Pamiętam dokładnie pierwszą lekcję z Naszą Wychowawczynią, która zgodnie ze swoim zwyczajem wybierała jednego z uczniów do pomocy w uzupełnianiu dziennika i sporządzania różnych dokumentów klasowych. Wielu było chętnych, ale Pani Profesor zastosowała zgoła odmienne kryterium, szukała najmniejszego wzrostem ucznia. Przeczuwała i dostrzegała, że mógł on czuć się nieswojo wśród rośniejszych kolegów.

Kontrast 4. *Tańczący jastrząb* – lektura nadobowiązkowa. Wśród wielu dodatkowych lektur z języka polskiego, do których, jak się wówczas nam niesłusznie wydawało, zmuszała nas Pani Profesor, była powieść Juliana Kawalca o mężczyźnie wywodzącym się z ubogiej chłopskiej rodziny, który po 1945 r. dostaje szansę ukończenia szkół, łącznie z politechniką i w konsekwencji – pracy na coraz bardziej odpowiedzialnych stanowiskach w PRL-u. Ten awans społeczny, bardzo charakterystyczny dla ówczesnych czasów, niósł w sobie oprócz niewątpliwych szans także liczne zagrożenia wynikające z wielu kontrastów. W duszy głównego bohatera tkwi chłopska osobowość, a na co dzień złudne egzystowanie w rodzinie mieszczańskiej poprzez zawarte drugie i, jak się wydawać mogło, lepsze małżeństwo. Kontrast, który w tym przypadku ostatecznie doprowadza do tragedii, jest zarazem kapitalną lekcją o tym, jak ważne jest podjęcie życiowej decyzji zgodnie z własną naturą i że tej natury nie trzeba sztucznie zmieniać, aby być nadal dobrym i odpowiedzialnym człowiekiem. Dla takich właśnie ludzi w każdych okolicznościach i realiach społecznych jest miejsce ważne. Przy tej okazji Pani Jadwiga podawała nam konkretne przykłady osób, dobrze Jej znanych, które własną ambicją osiągały znaczące sukcesy, chociaż początkowo nic na to nie wskazywało i ukierunkowywała nas zarazem, jak dokonywać trafnych wyborów w dorosłym życiu.

Kontrast 5. Twórcza praca – pochwała dla nowej jakości i oryginalności. Nigdy nie było mowy o powielaniu schematów, utartych i znanych sposobów organizowania zdarzeń szkolnych: tematycznych wieczornic, Dnia Nauczyciela, otrzęsin, półmetka czy studniówki. Jej wychowankowie musieli znaleźć taki sposób zorganizowania i ułożenia programu, który w Jej przenikliwym spojrzeniu stawał się oryginalny. Być pomysłowym i naznaczyć to, co robisz swoją indywidualnością, nadać mu osobisty wymiar jak w niepowtarzalnym dziele sztuki. Pamiętam, jak wieczorami w internacie pracowaliśmy nad konkretnymi tematami, aby nazajutrz przedstawić osiągnięte efekty i rezultaty naszej Profesorce. I pamiętam ten entuzjazm, który wyzwał w nas nie tylko twórcze ambicje, ale wzajemne i najlepsze relacje koleżeńskie.

## Teatr

Czym był teatr w życiu Pani Profesor, to nie tylko Jej uczniowie doskonale pamiętają i należy mniemać, będą pamiętać zawsze. Na nim opierała swoją filozofię życia. Tak jak sztuka jest świadectwem czasu, tak teatr stanowił w Jej rozumieniu zwierciadło ludzkiej duszy. Podczas wielu dyskusji skupialiśmy się na analizowaniu ludzkich zachowań, czy to były dramaty

Szekspira, Słowackiego, czy Szaniawskiego i Różewicza, to zasada była zawsze ta sama. Jakie są granice ludzkich zachowań i emocji? Dokąd nas może zaprowadzić działanie człowieka, niezależnie od epoki i miejsca, czasu i okoliczności. Kreowanie rzeczywistości poprzez pryzmat jednostki lub grupy ludzi. Teatr w Jej rozumieniu i analizie to była dla nas swego rodzaju inicjacja w świat dorosłych, którą zaczynaliśmy już od pierwszej klasy, a później stawaliśmy się coraz bardziej wyrafinowanymi odbiorcami i krytykami. Mimowolnie i podświadomie teatr podpowiadał nam, w jaki sposób zachować się w przeróżnych okolicznościach, zwłaszcza wobec tych nieoczekiwanych i całkowicie niespodziewanych. To nie były tylko czysto literackie i intelektualne spekulacje, ale bardzo osobiste wpisywanie się w postawy bohaterów, jakby takie przymiarki do innych, czekających już na nas niebawem czasów.

### **Myśli**

Z wielu Jej syntetycznych myśli zawsze pamiętam zwłaszcza o tej jednej, którą często przywołuję w rozmaitych okolicznościach życiowych: „Największą wartością dla człowieka jest drugi człowiek”. Miara człowieka to było dla Niej oczywiste i najważniejsze kryterium, którym posługiwała się w swoim życiu i pracy zawodowej. Uczyła nas uniwersalnych mechanizmów postaw i zachowań, które miały nam pomóc w rozwiązywaniu wszelakich problemów, zwłaszcza tych przyszłych. Miała świadomość, że wielu z nas będzie pamiętać Jej słowa i bezcenne rady w życiu. I tak się niewątpliwie stało.

### **[www.nasza-klasa.pl](http://www.nasza-klasa.pl)**

Portal internetowy założony przez wrocławskich studentów informatyki w 2006 r. sprawił, że w bardzo krótkim czasie zapełnił się szkołami, klasami i uczniami. Wirtualny świat ogarnął także Technikum Melioracji Wodnych, gdzie dawni uczniowie kontaktują się po wielu latach milczenia. Na nowo zbiegliśmy się do budynków szkolnych i klas dawno zapomnianych, zajęliśmy swoje miejsca w ławkach. Przepelnieni dumą prezentujemy swoje rodziny, dzieci, wnuki, ale i wracamy myślami, wspomnieniami do czasów szkolnych. Wiele tam mądrych i doceniających wartości ponadczasowe myśli i uwag o szkole, nauczycielach oraz rozmaitych działaniach pozalekcyjnych, a które właśnie stanowią kwintesencję fenomenu oświatowego i wychowawczego w Praczech. A więc spełniło się zamierzenie Pani Jadwigi Harasimowicz i innych znakomitych Profesorów tej wyjątkowej Szkoły. Ona, to znaczy Szkoła, jest nadal żywa i pozostanie w nas na zawsze.

### **Obrazy**

Samotna Pani do późnych godzin pozostająca w swoim gabinecie szkolnym, wypełnionym książkami od podłogi po sufit. Siedząca przy swoim biurku w blasku światła lampki, a w powietrzu unoszący się zapach świeżo parzonej kawy. Ten nastrój pracy twórczej, przerywany od czasu do czasu przybiegającymi tam uczniami z internatu, miał swój codzienny rytm i rytuał. Zaglądaliśmy tam często, nie zawsze z własnej woli, niestety. Ale te wejrzenia wywoływały w nas bardzo silne wrażenia, jakby na chwilę wchodziło się w inny, magiczny świat, *genius loci* Pani Profesor.

Kiedy zwykle udawałem się wieczorem z internatu do stołówki na kolację, to wielokrotnie dostrzegałem Ją z oddali, przemieszczającą się z budynku TMW w kierunku bramy szkolnej lub widziałem Ją, jak oczekiwała na przystanku na wieczorny autobus 103. A czy był to jesienny, mglisty i deszczowy czas, czy zimowy, przetkany płatkami śniegu, czy z kolei wiosenny nastrój rozśpiewanych ptaków, to widziałem Ją w tej scenografii, jakby z teatru. Zmieniały się też kostiumy Pani Profesor, a wszystko to jak w cyklu niezwykle barwnych

obrazów Claude'a Moneta czy Paula Cezanne'a, na ten sam, nigdy niezgłębiony do końca temat o różnych porach roku.

I nadal Ją widzę, zadumaną i zatroskaną o szkołę i uczniów, za których czuła się odpowiedzialna i których kochała jak prawdziwa matka.

## 11. Moja Pani Profesor

Barbara Wikło

Kiedy myślę o Jadzi, to widzę moja klasę w Praczech, park, świetlicę, ludzi, którzy już na zawsze stali się bliscy mojemu sercu, widzę cudowny Wrocław, spotkania absolwentów, sesje tulowskie i piękny marmurowy, okrągły stół w mieszkaniu Jadzi. Ileż przy tym stole odbyło się rozmów, ile zwierzeń, dyskusji, a jacy siadywali przy nim ludzie...?

Bardzo jest mi brak Jadzi, mojej Pani Profesor od historii i wychowawczyni klasy, przyjaciółki, która zjawiła się w moim życiu, kiedy „przedzierałam” się w dorosłość i która pozostała w nim na zawsze. Wiem, że nie jestem osamotniona w tęsknocie za listami od Jadzi, za telefonem, który dzwonił gdzieś około północy, za pięknymi przeznaczonymi tylko dla adresata życzeniami i za dodawaniem otuchy, kiedy wydawało się; „że wali się cały świat”.

Przywołuję w pamięci Panią Profesor z Prac, która uczyła nas na historii, jak rozumieć ten zwariowany świat, a na lekcjach wychowawczych zadawała trudne pytania: „Co dla ciebie jest najważniejsze w życiu”? albo „Proszę napisać, jak wyobrażacie sobie 2000 rok? (był wtedy rok 1958)”. Odpowiedzi były zaskakujące, a pomysły jeszcze dziś nie do zrealizowania. Budziła naszą wyobraźnię, pokazywała drogę do marzeń, mobilizowała do pracy nad sobą.

Wozila nas na spektakle teatralne, do opery, na koncerty. Wprowadzała swoich uczniów pochodzących przeważnie z wiosek i małych miasteczek w trudny, ale jakże piękny świat sztuki. Pamiętam, że przed każdym wyjściem do teatru były wskazówki dotyczące ubioru i zachowania: „Proszę nie szeleścić papierkami od cukierków i przechodząc na swoje miejsce w rzędzie, nie wystawiać ludziom pod nos swojej tylnej części ciała”. Uwagi te wydawały się nam wówczas głupie i niepotrzebne, a przecież przydały się bardzo w naszym dorosłym życiu. Zapraszano czasem szkołę, dzięki Jadzi, na premiery teatralne i właśnie na jednej z takich uroczystych gali trzeba było wręczyć kwiaty aktorowi kreującemu główną rolę w sztuce. Jadzia popatrzyła na swoich podopiecznych siedzących pokornie na sali teatralnej i kiwnęła na mnie, że ja mam te kwiaty wręczać. Podniosłam się uradowana, bo akurat ten właśnie aktor był moim idolem, ale niestety, szybko musiałam usiąść z powrotem, bluzkę bowiem miałam jak należy czarną, ale spódnica niestety była czerwona. No cóż, takie były czasy.

Dzięki wychowawczyni klasy zobaczyliśmy po raz pierwszy i góry, i morze. Prowadziła w szkole zajęcia pozalekcyjne, przygotowywała z młodzieżą i innymi nauczycielami sztuki teatralne, wieczornice tematyczne, konkursy recytatorskie i literackie.

Czasem zapraszano nas z programem do innych szkół, zakładów pracy czy akademików. Właśnie jeden taki wyjazd pozostał na zawsze w mej pamięci. Pojechaliliśmy z programem o historii Wojska Polskiego do akademika prawników przy ul. Świdnickiej. W sali zebrała się dosyć liczna grupa studentów. Jadzia zapowiedziała program, informując, że jesteśmy z Zespołu Szkół Rolniczych, które mieści się we Wrocławiu Praczech. Zapanowała cisza, a potem zaczęto ostentacyjnie wychodzić. Pozostało kilka osób, zapewne organizatorów.



Profesorka ze łzami w oczach prowadziła dalej program. Po akademiku roznosiło się nasze śpiewanie starych żołnierskich pieśni „Za Niemen hen precz”, „Pierwsza brygada” i przepięknie wykonane przez Andzię Kuriatę „Czerwone maki”. W trakcie naszych występów sala zaczynała wypełniać się na nowo ludźmi. Na zakończenie były owacje, a dla Jadzi piękny bukiet biało-czerwonych róż.

Wiele jeszcze mogłabym mówić o szkolnych wydarzeniach kulturalnych, które budziły w nas potrzebę obcowania ze sztuką. Podejmowała się też czasem nasza profesorka bardzo trudnych zadań wychowawczych, które nie zawsze musiały skończyć się sukcesem.

Kolega z mojej klasy – Rysio – wszedł w kolizję z prawem, groził mu „poprawczak”, w którym, jak sam mówił, doksztalciłby się znakomicie np. w zakresie włamań albo miałby mieć kuratora. Tak więc albo poprawczak, albo kurator. Pani wychowawczyni podjęła się pełnić funkcje kuratora i wygrała. Dzisiaj Rysiek jest wykształconym i szanowanym człowiekiem.

Albo moja historia. Byłam klasycznym przykładem „matematycznego тумana” i pewnie nie przebrnęłabym przez egzamin maturalny, gdyby nie moja Pani Profesor. Zorganizowała mi korepetycje u swojego męża – Rajmunda Harasimowicza – również nauczyciela w naszej szkole. Profesor uczył mnie przez cały rok w V klasie i dzięki tej nauce mogłam na maturze zaszokować swoją wiedzą egzaminatorów. Wiele jeszcze można by dawać przykładów dbałości i troski o naszą przyszłość. Po mojej klasie było jeszcze dużo klas Jadzi, wielu ukochanych absolwentów, z którymi spotykaliśmy się w jej domu czy to przy okazji imienin, Dnia Nauczyciela, czy po prostu zwyczajnie przychodziliśmy, aby porozmawiać, poradzić się, zwierzyć. Dom Jadzi był takim punktem kontaktowym. Kiedyś jeden z jej uczniów – Zbyszek – tak napisał: „To był dom słowa ze schodami i wiszącym balkonem na jeszcze jedno pożegnalne spojrzenie”.

Szkoła w Praczech to dla większości absolwentów miejsce magiczne. Klimat, atmosfera zbudowana w szkole przez nauczycieli spowodowała wytworzenie się serdecznej więzi między ludźmi, których los rzucił w to zaczarowane miejsce na obrzeżach Wrocławia. Serdeczne związki praczan trwają do dziś, bez podziału na uczniów i nauczycieli. Pani Profesor Jadwiga Harasimowicz była w ogromniej mierze autorką tego „prackiego klimatu”. Była taką „iskrą”, „zaczynem”, który rozpałał serca i umysły, chociaż to wcale nie znaczy, że nie było trudnych momentów.

Jadzia była otwarta na ludzi, kochała ich i wierzyła im aż do bólu, za co płaciła *czasem*, w przenośni i dosłownie. Kiedy odeszła na emeryturę, chociaż w jej przypadku słowo „emerytura” brzmi bardzo nieadekwatnie, poświęciła swoją energię, zapał, swój czas Towarzystwu Uniwersytetów Ludowych. Wprowadziła do TUL-u całe szeregi praczan, którzy tak jak Ona chcieli kontynuować pracę dla ludzi.

Nie wykreślałam adresu Jadzi z notesiku, chociaż wiem, że tam, za tymi drzwiami przy ul. Powstańców Śląskich 160/9 są już inne sprawy...

A Jadzia? Jadzia jest pod adresem każdego, kto ją znał.

Ona jest w naszych sercach.

W twoim... i w moim...

## 12. „Najwdzięczniejszą i najtrwalszą pamięcią jest pamięć serca”

Jadwiga Mostowik

„Wierzę, że są kwiaty,  
które się rodzą  
ze spojrzeń ludzkich oczu”

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

Życie jest pełne piękna. Odnaleźć je można w przyrodzie, muzyce, w uśmiechu lub spojrzeniu bliskiej osoby, serdecznym uścisku dłoni...

Prawdziwe jednak piękno pochodzi z ludzkiego serca, trzeba je umieć odnaleźć także w sobie, bo ono jest częścią godnego życia.

Takiej wrażliwości i takiej postawy uczyłam się przez lata od Jadzi Harasimowicz, nauczycielki języka polskiego i historii w Technikum Mechanizacji Rolnictwa we Wrocławiu Praczech, która była profesorką mojego męża Edwarda Mostwika. Tam zaczęła się ich znajomość, a następnie serdeczna przyjaźń, trwająca aż do jego tragicznej śmierci w lipcu 1997 r. Przypominają mi się słowa wypowiedziane przez Nią nad mogiłą w Zgorzelcu: „Nie mówię Ci, Edku, żegnaj, mówię do zobaczenia...”

O tym, że miał on swój zakamarek w Jej sercu, świadczą częste dopiski na licznych okolicznościowych kartkach i listach, w których nazywała go „swoim Edkiem”. W ostatnich latach dopisywała m.in. „z serdeczną myślą o moim Edku”, „Rodzinie Edka, którego mi tak bardzo brak...”

Szczególnie wzruszające były słowa płynące z ostatniej otrzymanej od niej kartki z okazji Bożego Narodzenia: „Jestem wdzięczna Bogu za Rajmunda i Edka”. Myślę, że rzeczywiście jest tak, że „kiedy serce płacze za tym, co utraciło, duch raduje się z tego, co odnalazł”.

Chciałabym, by to, co najpiękniejsze w kontaktach z Jadzią przetrwało, dlatego staram się w myślach zebrać okruchy spraw – być może ogólnie nieważnych, ale jednak istotnych. Każde spotkanie z Nią było wyjątkowe, gdyż umiała – jak rzadko kto – budować mosty ku ludziom. Była mistrzynią w prowadzeniu rozmów, potrafiła niejako mimochodem wskazać wartościowe cele, a nierzadko i trafne rozwiązania.

Była dla mojego męża – Edwarda nie tylko sumiennym i wspaniałym nauczycielem i wychowawcą, ale i serdecznym opiekunem, któremu mógł powierzyć problemy i troski swoich niełatwych lat młodości. Ona pierwsza dostrzegła w nim talenty organizatorskie i artystyczne. W 1956 r. pod Jej kierunkiem organizował harcerstwo w Praczech, występował w teatrze szkolnym. Dlatego to właśnie Jej poświęcił najwięcej uwagi w napisanych – z okazji XX-lecia szkoły w Praczech – wspomnieniach. A oto fragmenty zaczerpnięte z pamiątkowego wydania z maja 1974 r., kiedy był już po studiach prawniczych i pełnił funkcję zastępcy naczelnika powiatu zgorzeleckiego. „Patrząc na zdjęcia – dowody rzeczowe życia kulturalnego w szkole, które dało podstawy do współżycia z innymi, kształtowało moją psychikę, uczulało na piękno słowa – sztuki-muzyki, uczyło obycia towarzyskiego – tego wszystkiego, co kształtuje opinię o człowieku, jego poziomie intelektualnym.

Nigdy nie zostanie zapomniana nasza profesor Jadwiga Harasimowicz ze swoimi uwagami głęboko zapadającymi w świadomość młodego człowieka, czynionymi w różnych okolicznościach ... „Wiesz, co mi to przypomina? makatkę z jeleniem na rykowisku”. „I to ma być Polak, z taką znajomością historii?” „Słuchajcie, żeby mi tylko czasami w teatrze cukierków w szeleszczących papierkach nie jeść”. „Pamiętajcie, że będziecie w terenie z ludźmi. Na wasze zachowanie, maniery będą zwracać uwagę, będą brać za przykład”. „Pokaż ręce – no wiesz, wstydz się” – tak, tak – to wszystko pomagało nam lepiej analizować dobre i złe w życiu, w które mieliśmy wejść. Wielu z nas uchroniło się dzięki Jej uwagom od śmieszności, która mogła być bardzo bolesna.

Widziałem jak zawsze aktywna, zabiegana, to kółko, klasa, występ, akademie, a przy tym dwoje małych dzieci w domu. Może dlatego z taką sympatią, zrozumieniem, zażenowaniem przyjmowaliśmy wszystkie rady, uwagi, zaangażowanie, okazane serce, patriotyczną postawę. Zdawaliśmy sobie sprawę, że przecież powinniśmy wiedzieć, to takie oczywiste, a jednak sprawialiśmy czasem swoim brakiem wiadomości, wyczucia i taktu przykrość i to nas jeszcze bardziej zobowiązywało”.

Po zdaniu w 1959 r. matury w Technikum Mechanizacji Rolnictwa w Praczech, utrzymywał z nią nadal kontakty – odwiedzał lub telefonował.

Moja znajomość z Jadzią Harasimowicz datuje się od 1966 r. (żoną Edwarda zostałam w 1965 r.). A zaczęło się tak. Po ukończeniu polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim rozpoczęłam pracę w Liceum Pedagogicznym w Lubomierzu, którego byłam absolwentką. Po roku pracy pragnęłam zmodernizować klaso-pracownię języka polskiego, szukałam funkcjonalnych i atrakcyjnych rozwiązań. Przypnęłam, że nie miałam zadowalających pomysłów. Kiedy zaczęły się wakacje, mąż zaproponował mi odwiedzenie Technikum w Praczech i pani Jadwigi Harasimowicz, którą znałam jedynie z jego relacji.

Nie przypuszczałam wtedy, że to spotkanie (u Niej w domu) będzie tak znaczące w życiu moim i mojej rodziny. Był to dom niezwykle. Niemal od pierwszej chwili czułam się tak, jak bym panią Jadwigę i jej męża – Rajmunda znała od dawna, zwłaszcza że wiedzieli o nas wszystko. Jadzia częstowała herbatą i ciastem przy swoim okrągłym stole, opowiadając pewnie barwną historię z życia szkoły, a pan Rajmund buszował w swojej spiżarence, by wybrać najlepsze (własnej roboty!) konfitury... Dumą Jadzi był natomiast duży, niezwykle barwnie ukwiecony taras, który zaskakiwał przybysza nieprzewidywalnym bogactwem roślin!

Cieszyłam się z tak miłego przyjęcia, ale w zanadrzu miałam budującą nadzieję, że uda mi się zasięgnąć fachowej porady co do sposobu urządzenia pracowni języka polskiego. Trudno mi było włączyć ten temat do nieprzerwanie toczącej się rozmowy. Wyrezytał mnie Edward (robił to często także w dalszym naszym życiu), wyjawiając w końcu otwarcie cel naszej podróży do Wrocławia (około 160 km w jedną stronę). Czekałam w napięciu jak uczennica. To, co usłyszałam od Jadzi, nie było po mojej myśli. (Liczyłam – jeśli nie na ściągę, to przynajmniej na podpowiedź). Jadzia – co prawda – zainteresowała się „warunkami technicznymi” mojego gabinetu, ale jedyną wskazówkę, jaką otrzymałam, mogę w przybliżeniu ująć w następujące słowa: „Bardzo dobrze, że szukasz wzorców. Podpatruj (wiedziała o wizycie w Praczech), ale nie naśladowuj, bądź oryginalna!”

Dopiero po latach rozumiałam w pełni, jak ważna to była wskazówka (przyznam się jednak w nawiasie, że wtedy niektóre skopiowane plansze profesora A. Piotrowskiego przemyślałam do liceum w Lubomierzu, a potem do LO w Zgorzelcu). Pamiętam, że przy pożegnaniu Jadzia była zajęta głównie Edkiem, któremu poleciła zdecydowanym tonem: „Edku ty też musisz ukończyć studia! (I ukończył...). Kiedy mieliśmy już własne mieszkanie w Zgo-

rzelcu, zaprosiliśmy państwa Harasimowiczów. Odwiedzili nas wiosną 1974 r. wraz ze swoimi znajomymi z Petersburga.

Kiedy zmarł nagle pan Rajmund, byliśmy z synami (Cezarym i Arturem) na pogrzebie. Po tym wydarzeniu – smuga cienia, jak mawiała Jadzia, wpisała się na stałe w jej życie. W listach do nas pisała, że runął solidny mur, który dawał jej poczucie bezpieczeństwa... Na szczęście miała absolwentów, na których mogła polegać, choć starała się być nie tylko samodzielną, ale i niezwykle dzielną. Przez długie lata istniało w naszym domu przekonanie, że pogodziła się z tą bolesną stratą. Sądziłam, że jest w Niej tyle optymizmu, iż wierzy, że z każdej ciemnej doliny jest jakieś wyjście, jakiś tęczyowy szlak... Dziś nie jestem tego taka pewna i dlatego podziwiam Ją!

Przełomową datę w moich kontaktach z Jadzią stanowi rok 1990, kiedy to po wizycie u Jadzi Edward przywiózł mi zaproszenie na V wakacyjną sesję TUL-u do Supraśla. To był początek mojej nie tylko wartościowej, ale i atrakcyjnej przygody. Dzięki niej uczestniczyłam w kilkunastu sesjach, poznałam ciekawych ludzi, zwiedziłam wyjątkowe zakątki Polski. Przygarnęła mnie do siebie, mianowała swoją „asystentką”. Tak zostałam członkiem Towarzystwa. W 1994 r. z inicjatywy Jadzi, przy wsparciu Czesia Opalińskiego – prezesa Oddziału Wojewódzkiego TUL-u we Wrocławiu, zorganizowałam w Zgorzelcu Środowiskowy Uniwersytet Ludowy, który w 1996 r. dzięki wsparciu Zarządu Krajowego (prezesa – profesora Tadeusza Pilcha i zastępcy – Bożeny Antoszczyk) przekształcił się w samodzielny oddział, który zorganizował 3-dniową ogólnopolską sesję oraz letnią, 10-dniową sesję młodzieżową. Przyznaję, że Edward, który także został członkiem TUL-u, wspierał mnie w tych działaniach. Na Jadzię Harasimowicz mogłam liczyć zawsze. Szczególnie wdzięczna jestem Jej za zaangażowanie we współpracę naszego Oddziału z Domem Kultury w Sulikowie koło Zgorzelca.

Z Jadzią Harasimowicz łączyła mnie więc podwójna niejako więź – poprzez jej absolwenta – Edwarda i z racji członkostwa w TUL-u. Była to ugruntowana przyjaźń, której wystarczały symboliczne niemal gesty. Kiedy Jadzia przeszła skomplikowaną operację biodra, Edek był pierwszą osobą, która ją odwiedziła w szpitalu przy ul. 1 Maja we Wrocławiu. Troszczył się o Nią jak o matkę. Było to uczucie odwzajemnione. Nad trumną Edka Jadzia mówiła: „Znałam jego drogi życiowe. Kiedy przed 20 laty umarła matka, chciałam mu ją zastąpić. Był to człowiek nieprzeciętny, śmiały... Takiej przyjaźni trudno dziś szukać. Myślałam – kiedy umrę, on powie kilka słów nad moim grobem. Stało się inaczej”.

Ja także miałam swój skromny udział w budowaniu tych rozmów bez słów. Wysłałam Jej w tym trudnym „szpitalnym okresie” czterolistną (najprawdziwszą) koniczynkę, którą przed laty otrzymałam od mojej mamy (która mieszkała na wsi). Miała mi ona przynieść szczęście (...i przyniosła!). Sądziłam, więc, że powinnam ją dołączyć do listu dla Jadzi. Była zaskoczona takim pomysłem, ale wdzięczna... Tak więc powstała niewidzialna więź między matczynymi uczuciami Jadzi i matczyną serdecznością mojej mamy. Dziś pewnie ta koniczynka spoczywa w pozołkłych listach mojej kochanej Jadzi, może trafi do innych rąk – do osób, które zasiądą przy okrągłym stole Jadzi. Jestem przekonana, że czas marzeń nie minął bezpowrotnie. Zapamiętałam Jadzię Harasimowicz jako osobę niezwykle uczynną i serdeczną. Kiedy w 1989 r. mój mąż Edward operowany był w Aninie na serce, Jadzia była tą osobą, która przez dwa dni „dyżurowała u siebie przy telefonie”. Były to czasy, kiedy połączenia telefoniczne nie były automatyczne. Na zamówioną rozmowę czekało się po kilka godzin. Dzięki telefonowi Jadzi łatwiej było mi uzyskać połączenie z Warszawą. Od Niej to właśnie najpierw otrzymałam (po 8 godzinach oczekiwania!) informację o zakończeniu zabiegu, a po 12 następnych, że był to zabieg udany. Takiej życzliwości nie zapomina się nigdy. Do dziś nie wykreśliłam numeru Jej telefonu z notesu. Tak bardzo brakuje mi możliwości zatelefonowania.

Wspomnienia ze swej natury są fragmentaryczne. Trudno mi tę naszą przyjaźń ogarnąć całościowo. Z poczuciem dumy czytam dziś dedykacje od Jadzi umieszczone na książkach: „Przyjaciółce od lat”. Dzięki Niej tworzyła się ta serdeczna więź, która jest udziałem ludzi podobnie myślących i czujących.

Kiedy zostałam zaproszona przez Basię Wikło – wychowankę Jadzi Harasimowicz, absolwentkę Prac – na uroczystość 80-lecia Jadzi, byłam trochę zaskoczona, gdyż wiedziałam, że w zameczku w Wojnowie spotkają się tylko jej uczniowie, absolwenci Technikum Mechanizacji Rolnictwa. Jubileusz miał mieć charakter zamknięty. To, że byłam żoną Edwarda, traktowanego przez Jadzię Harasimowicz po przyjacielsku czy nawet macierzyńsku, a przez Basię – po bratersku, czyniło mnie godną tego zaszczytu... Niezwykle satysfakcjonujące były dla mnie dopiski na kartkach lub dedykacje, kiedy Basia pisała: ty jesteś przecież nasza – praczanka! I niech już tak zostanie! Z Basią Wikło przyjaźnię się od sesji TUL-u w Tarnowie w 1991 r. I to też dzięki Jadzi Harasimowicz!

Dziś na pewno już wiem, że najwdzięczniejszą i najtrwalszą pamięcią jest pamięć serca.

### 13. Umiała bawić się i cierpieć

#### Krystyna Matuszkiewicz

Czy człowiek musi umrzeć, by o nim pisano? Nie. Ja w swoich artykułach drukowanych w tulowskich kwartalnikach pisałam wyłącznie o postaciach żywych, pisałam też o Jadzi, niekoniecznie najwięcej. O zmarłych nikt nie pisze źle, a przecież nie ma ideałów, dlatego ja z zasady o nich nie piszę, by mnie nie posądzono o to, że coś naginam albo wymyślam. Nie włączałam się do pisania wspomnień o Januszu Mirczewskim, o prof. Cz. Opalińskim choć wiele pięknych rozmów im zawdzięczam, wiele życzliwości od nich zaznałam, wiele otuchy mi dodali, ba, nawet nie napisałam niczego o mojej siostrze i o bracie, których utraciłam w ciągu kilkunastu miesięcy. Śmierć ich przeżyłam tak silnie i nadal przeżywam, że zerwałam wszelkie kontakty towarzyskie, w tym kontakty z ukochaną mi tulowską rodziną. Gdyby nie Zosia, nie wiedziałabym o śmierci Jadzi. Nie jest łatwo zajmować publicznie głos po takich piórach jak pióro Zosi Kaczor, Janka Pieńkowskiego, Basi Wikło, ale ponieważ wiele zawdzięczam Jadzi, niech się stanie.

Być może poznałam Jadzię wcześniej od innych, bo już w 1962 r. Została zaproszona przez toruński ośrodek metodyczny, kierowany przez niezwykłą pod każdym względem kobietę, panią mgr Irenę Kalenkiewicz (wybacz Jadziu, że pisząc o Tobie, wymieniam nazwisko innej Pani, ale Ty przecież też Ją kochałaś) na lekcję pokazową z języka polskiego w ramach doskonalenia metodycznego. Zdenerwowana do maksimum, czekało mnie przecież niezwykle elitarnie audytorium, stałam przed swym gabinetem prawie na baczność, witając przybyłych, którzy obojętnie ściskali moją lodowatą dłoń. Nagle jedna z pań, wykonując ten sam ruch, co wszyscy, dodatkowo pogłaskała moje ramię. Zrobiło mi się ciepło i z wdzięcznością pomyślałam: „co za miła pani”.

Kilka miesięcy później Pani Irena wiozła o czwartej rano autokarem do Wrocławia Prac z gromadkę humanistów na pokazową lekcję historii. Przybyliśmy z dużym opóźnieniem, więc bez oficjalnych powitań, te odbyły się później, wtargnęliśmy do klasy, w której przy ławkach stała owa „miła pani”... Przesłałam Jej ukłon i całusa. Niestety, każda minuta była zaplano-

wana i o dłuższym kontakcie nie było mowy. I tak mijały lata, mijały, zapomnieliśmy o sobie. Aż los zrządził, że spotkałyśmy się znów w Praczech, na którejś sesji Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych (dla mnie pierwszej w życiu) w 1993 r. Mimo swych obowiązków Jadzia poświęciła mi dużo uwagi, rozmawiałyśmy o wszystkim, o swych przeżyciach osobistych, o kraju, o upodobaniach (okazało się, że mamy wiele wspólnych), wtajemniczyła mnie w idee tulowskie. To właśnie dzięki Jadzi, Jej zaproszeniom zaczęłam uczestniczyć w kolejnych sesjach, na które później otrzymywałam już zaproszenia od Zosi, którą Jadzia określała mianem „perełki TUL-u”.

Zastanawiałam się, jaka była ta Nasza Jadzia? Co sprawiało, że człowiek ją nie tylko cenił, ale także i lubił, co rzadko idzie w parze? Jak Ją opisać „bez kłamstwa literatury”? Była na pewno postacią barwną i to zarówno dosłownym, jak i przerośnym tego słowa znaczeniu. Bardzo rzadko przywdziewała ubiór jednobarwny, zawsze miała na sobie palety barw, przeważnie były to lekkie, usiane kwiatami lub barwnymi plamami tkaniny. Elementem barwności w sensie przerośnym Jadzi było Jej bogactwo intelektualne, błyskawiczny refleks wyrażający się w ciętości i błyskawiczności ripost, w dowcipie sytuacyjnym. Będąc intelektualistką, potrafiła biegle posługiwać się nie tylko językiem i stylem naukowym, ale i potocznym, nie stroniła od zabaw, rozrywki. Umiała cieszyć się życiem i to tak dalece, że potrafiła zapanować nad dolegliwościami fizycznymi, nie skarżąc się na nie. Wszyscy pamiętamy słynny taniec na miotle w Puszczy Jodłowej – kieleckiej. Odznaczała się więc silną wolą i wytrzymałością fizyczną.

Zawsze miała dla mnie czas. Kiedy pukałam nieśmiało do Jej drzwi, zaraz mówiła: „Wejdz Krysiu, wejdz, tylko Ty tak pukasz”. Natychmiast odkładała pióro (wciąż nad czymś pracowała) i słuchała. To Jadzia pierwsza zwróciła się do mnie z propozycją, bym nadsyłała swe refleksje po odbytych sesjach. Ona wtajemniczyła mnie w tulowskie ideały, namówiła mnie do ujawnienia swych pamiętników (jak dotąd przedstawiłam tylko dwa spośród sześciu tomów), znając ich fragmenty. Pisała: „Ujawnij swoją i Sławka korespondencję, bo dziś, szczególnie młodzieży trzeba opowiadać o pięknych miłościach, nie wstydz się ich”. Była też ich pierwszą czytelniczką i recenzentką. Tak, Jadzia umiała przekonywać, umiała słuchać, umiała działać, cierpieć, bawić się, doradzać, współczuć.

## 14. Z Jadzią Harasimowicz we „Wszechnicy Rodziny Wiejskiej”

### Elżbieta Wojtas-Ciborska

Znajomość i przyjaźń z Jadzią Harasimowicz poczytuję sobie za uśmiech losu. Jadzia była dla mnie wielkim autorytetem i wzorem. Miałam zaszczyt gościć ją w swoich progach i dwukrotnie odwiedzić we Wrocławiu, w jej domowym zaciszu przy ul. Powstańców Śląskich. Ostatni raz spotkałyśmy się w Złocińcu w 2005 roku, podczas letniej sesji TUL-u, gdy Jadzia znów wykrzyknęła: „To ta wychowanka Józka Gościeja”. Ale nasze drogi skrzyżowały się znacznie wcześniej, przy współtworzeniu otwartego uniwersytetu życia, który przyjął nazwę Wszechnicy Rodziny Wiejskiej i jest udokumentowanym przedsięwzięciem, wspomnianym przez wiele osób, m.in. w zbiorowej książce pt. „Solarzowym gościńcem”, wydanej przez łomżyńską oficynę „Stopka” w 2005 r.

Od samego początku wspierała ona to działanie dobrym słowem, pomysłowością i znakomitym piórem, zwłaszcza w prasie adresowanej do wsi oraz w periodykach pedagogicznych. Była żywym wszechnicowym programem, gdyż jako nieprzeciętna pedagog najwięcej czerpała ze szczerych rozmów z młodzieżą. Często powracały w nich sprawy samotności, wyobcowania ze świata dorosłych, więc Jadzia postrzegała tę inicjatywę jako wyjście naprzeciw młodym ludziom, sprzyjającą w istocie poszerzeniu przyjaznej sfery codzienności, opartej na dialogu, co wobec inwazji przemocy było i jest nadal aktualnym zagadnieniem.

Niech za uzasadnienie tej kwestii posłużą cytaty z książki autobiograficznej Jana Tyszkiewicza pt. „Arystokrata bez krawata”. Trudno posądzać go o szczególny patos wobec codzienności, pochodzi on bowiem ze starej arystokratycznej rodziny. A jednak... Autor w rzeczonyj książce wręcz domaga się uniwersytetu życia, pisząc: „Za najświetniejsze uniwersytety świata uważane są Oxford, Cambridge, Sorbona, Boston, UJ, KUL, Padwa, ale dla mnie – co zawsze podkreślałem i będę podkreślał – najważniejszą uczelnią jest uniwersytet życia – university of life (podkreślenie Autora). Ma on bezkonkurencyjnie najwięcej fakultetów uczących pojmować i odczuwać życie, często piękne, często tragiczne, bo przecież piękno tak często przeplata się z dramatem, tragedią, smutkiem”.

Zdefiniujmy więc na początek wymienioną w tytule Wszechnicę Rodziny Wiejskiej. Dzięki odrodzonemu, na fali przemian sierpniowych 1980 r., Związkowi Młodzieży Wiejskiej poszerzyło się pole społecznej aktywności. Wobec wyjątkowego zaniedbania spraw rodziny oraz zagadnień przygotowania do życia w niej, niżej podpisana opracowała i przedłożyła w 1981 r. Prezydium Zarządu Krajowego ZMW raport o rodzinie i gospodarstwie domowym, co następnie zaowocowało powstaniem w tymże roku stosownego towarzystwa pod wysokim protektoratem profesora Jana Szczepańskiego, najwybitniejszego polskiego socjologa (1913–2004). Bardzo wiele osób zaczęło wówczas znajdować adres Związku Młodzieży Wiejskiej jako najlepsze forum dyskusji i inicjowania działań w tym zakresie. Wychodziliśmy z założenia, że prowadzenie rodziny jest trudniejsze niż prowadzenie pojazdu, obwarowane wszak prawem jazdy. Staraliśmy się skupić istniejące już organizacje społeczno-administracyjne wokół problemów rodziny i uruchomić powolną, ale systematyczną, skuteczną działalność. Przyswieceło nam także dowartościowanie pracy wykonywanej w domu, owocującej jakością przyszlých pokoleń.

Po ogłoszeniu stanu wojennego władze polityczne odmówiły zarejestrowania towarzystwa, więc pęczniące inicjatywy ujęto w organizacyjne karby Wszechnicy Rodziny Wiejskiej, działającej odtąd na prawach wydzielonej agendy Zarządu Krajowego Związku Młodzieży Wiejskiej, znakomicie realizującej potrzebę działania od faktu do problemu. Powstała Rada Programowa Wszechnicy, najpierw pod kierunkiem Zofii Kaczor-Jędrzyckiej, a potem sławnego ekonomisty-humanisty profesora Ryszarda Manteuffla (1903–1991).

Jadzia, obok specjalistów z różnych środowisk – znanych ze swej społecznej pasji, przez cały czas wchodziła w skład Rady Programowej. Była doradczynią otwartą, życzliwą, kompetentną.

Niebawem nawiązano ścisłą współpracę z Ministerstwem Rolnictwa, a już w 1984 r. aż na pięć lat Wszechnica została zainstalowana z popularyzatorskim programem w niedzielne poranki w Programie I Telewizji Polskiej. Żadna organizacja młodzieżowa nie mogła się wówczas ani teraz pochwalić takim impetem!

Zakiełkowała współpraca z oddziałami oświaty rolniczej, wojewódzkimi ośrodkami postępu rolniczego, Ligą Kobiet Polskich (w tym ośrodkami Praktyczna Pani), zakładami doskonalenia zawodowego, Towarzystwem Wiedzy Powszechnej, Towarzystwem Przyja-

ciół Dzieci, ośrodkami zdrowia, Społecznym Komitetem Przeciwalkoholowym i, naturalnie, przede wszystkim z kołami gospodyń wiejskich. Terenem działania Wszechnicy były gminy i szkoły średnie, w których istniało ZMW. Stosownie do środowiska poszukiwaliśmy nowych, ciekawych form pracy, by w ten sposób trafić w zainteresowania młodzieży, gdyż zgłoszenia do zespołów wszechnicowych były wyłącznie spontaniczne i dobrowolne, wynikające z pedagogiki ZMW, zwłaszcza zasady „wychowanie przez działanie”, afirmującej autentyczność miast fikcji.

Jadzia na gruncie wrocławskim i w dyskusjach na temat form i metod wszechnicowych, służyła inspiracją ciekawych przedsięwzięć z zakresu nauczania problemowego, wspartego symulacją, inscenizacją, próbą rozwikłania danego pytania za pomocą alternatywnych odpowiedzi z kategorii: za i przeciw. Kształcenie w ten sposób kreatywnych postaw, skłonnych do dialogu, bywa – jak podkreślała – wielką dydaktyczno-wychowawczą nagrodą, odbitą następnie w wielu życiorysach. Sama prowadziła niektóre zajęcia, zwłaszcza celowała w bloku tematycznym „Kultura życia codziennego wraz z elementami kultury ludowej”. Dbała przy tym niezłomie o piękno języka, podpierając swe wypowiedzi dowcipnymi uwagami, anegdotami, głośną, a celną ripostą. Powoływała się na twórców kultury, cytowała obficie pisarzy, m in. powtarzała za Boyem-Żeleńskim: „Bo rodzina – bądźcie pewni – to też ludzie, chociaż krewni”. Przyczyniła się do tego, że wrocławskie i jej szkoła w Praczach, czyli Zespół Szkół Rolniczych we Wrocławiu Praczach nieustannie przodowały w realizacji tego ambitnego zamierzenia.

I tak, Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej we Wrocławiu już w 1983 r. powołał Wojewódzką Radę Wszechnicy Rodziny Wiejskiej, a w kilka lat później imponujący ogólnopolski turniej wszechnicowy odbył się właśnie w „jej” Praczach. Goście zwiedzili przy okazji, udostępnioną w 1985 r. społeczeństwu, w specjalnej rotundzie „Panoramę Raclawicką”! Dla wielu osób, w tym i dla mnie, było to marzenie życia. I pomyśleć, przy skromnych środkach, bez promocji, takie turnieje perfekcyjnie udawały się w coraz to innych miejscach Polski. Prowadzono je bowiem dzięki zastępowi społeczników, dziś opisywanych w literaturze, zwłaszcza amerykańskiej, jako podstawa kapitału społecznego, w roli niezbędnego dopełnienia globalizującego się kapitału inwestycyjno-finansowego, czyli materialnego, nieodzownego dla powodzenia (materialnego również) społeczeństw. W Ameryce wiedzą, ile kapitał (także społeczny!) jest wart, więc tam, podobnie jak w krajach skandynawskich na naszym kontynencie, w pełni doceniono inwestowanie w człowieka w tej dziedzinie.

Kształcenie i wychowanie sprzyjające kreowaniu postaw społecznikowskich, wychodząc od potencjału domu i gospodarstwa domowego, ma niebyle jakie tradycje. We Francji tuż po Wielkiej Rewolucji w końcu XVIII w. wprowadzono we wszystkich szkołach obowiązkowy przedmiot „gospodarstwo domowe”. Powstały na świecie specjalistyczne uczelnie. Z początkiem XX w. i w okresie międzywojennym chlubną kartę obywatelskiej inicjacji zapisały na swym koncie polskie uniwersytety ludowe i robotnicze.

Pionierską rolę w Polsce w tej dziedzinie spełniła także słynna szkoła w Snopkowie k. Lwowa, działająca przed wojną. Jadwiga Harasimowicz swoją małą Ojczyznę związana z Kresami, często do Snopkowa nawiązywała. Rozumiała wiele więcej niż każdy z jej słuchaczy z osobna, ale nigdy nie okazała choćby cienia wyższości. Imponowała czytaniem i orientacją w dziedzinie kształcenia ustawicznego, powtarzając za profesorem Bohdanem Suchodolskim, że jest ono udowodnioną optymalną formą samorealizacji, tym bardziej że pozwala refleksyjnie pojmować życie, przechodzić płynnie przez różne progi i kryzysy życiowe, ułatwia współdziałanie i dialog ze współziomkami, sprzyja wyławianiu środowiskowych liderów, a co ważniejsze – ułatwia pożyteczne wypełnienie rezerw wolnego czasu, pobudzając do



twórczości jako najwyższej formy spełnienia ludzkich aspiracji. Jadzia podsuwała wszystkim kształcenie się i społeczne działanie jako sposób na życie! Doskonale rozumiała znaczenie więzi społecznych, tak dziś wypłukiwanych przez postawy konkurencji.

Jak wspomniałam, przyczyniała się ona do wypracowania ramowego programu Wszechnicy Rodziny Wiejskiej, ujętego w osiem bloków tematycznych, z których najważniejszy był pierwszy z nich, pod hasłem: „Problemy życia w rodzinie”. Już realizacja tylko tego bloku tematycznego, sprzyjająca pracy nad sobą całej rodziny, zapobiegłaby niezwykle szybkiemu wzrostowi rozwodów w Polsce i innych następstw rozchwianego środowiska rodzinnego. Ten blok tematyczny był istotą wszechnicowych zajęć, często z udziałem psychologa. Żadna z Wszechnic Rodziny Wiejskiej nie mogła abstrahować od najtrudniejszych spraw rodziny.

Inny ważny blok to „Ekonomika i organizacja wiejskiego gospodarstwa domowego”, w którym akcentowano sprawy codziennej gospodarności, którą to cnotę obywatelską i jej pochodne (oszczędność, mierzenie zamiarów wedle sił, uczciwość, akuratność, rzetelność, punktualność i terminowość w regulowaniu zobowiązań) wynosi się z domu na pożytek bycia później gospodarnym wójtem, burmistrzem, ministrem oraz w fazie rynkowej zaradnym sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Prawdopodobnie niegospodarność jest jedną z przyczyn niepowodzenia rodzinnego. Tymczasem budżet domowy musi być zdrowszy niż budżet państwa! Nie można tu liczyć na żadne obligacje, kredyty ani prolongaty, nie można też przerwać w żaden sposób ciągłości funkcjonowania gospodarstwa domowego jako materialnego zaplecza rodziny, podczas gdy państwo może jakieś wydatki przesuwac w czasie, a nawet ogłaszać bankructwo niektórych przedsiębiorstw.

A oto pozostałe bloki tematyczne Wszechnicy Rodziny Wiejskiej:

- Żywnienie w rodzinie;
- Higiena, profilaktyka i samoochrona zdrowia;
- Wyposażenie i estetyka domu oraz najbliższego otoczenia (w tym prowadzenie ogrodu, elementy ekologii i gospodarki śmieciami);
- Gospodarka odzież i sztuki rękodzielnicze;
- Zagadnienia prawne (w tym prawa konsumenta);
- Kultura życia codziennego wraz z elementami kultury ludowej.

Każdy z bloków tematycznych można było szerzej rozwinąć. Powodzeniem cieszyła się oświata zdrowotna, gdyż zdrowie w lwiej części zależy od nas samych. Tylko prawdopodobnie w 16 procentach zależy ono od środowiska, tyleż samo od naszego posagu otrzymanego w genach, a tylko w 10 procentach od medycyny konwencjonalnej.

Doskonale pojmowała wszystkie te sprawy Jadzia Harasimowicz, ale nie byłaby sobą, gdyby nie zaproponowała, w trakcie ciekawych dyskusji, „wrocławskiej szkoły” Wszechnicy Rodziny Wiejskiej z blokami tematycznymi:

- Tradycje rodzinne;
- My, wy i świat – moja biblioteczka;
- Dom moich marzeń w zdrowym środowisku;
- Gastronomia;
- Szyjemy sami;
- Rękodzieło i majsterkowanie;
- Jak pielęgnować uczucie;
- Porady prawne, kultura polityczna;
- Małe formy sceniczne – propozycje spędzenia wolnego czasu i samorealizacji;
- Kultura życia codziennego.

W Pracach Wszechnica Rodziny Wiejskiej trafiła na wyjątkowo podatny grunt. Tam tradycje ZMW były znane także z tego, że w „starym” ZMW (1957–1976) to Jadzia była opiekunką szkolnego Koła ZMW. W odrodzonym zaś ZMW tę funkcję przejęła bardzo zaangażowana mgr Czesława Fańciszevska. Zarówno ona, jak i Oddział Oświaty Rolniczej bardzo przychylnie odniosły się do nowej formy pracy z młodzieżą. Systematycznie w wymienionym województwie wrocławskim pracowały z programem wszechnicowym dwie szkoły.

Ciekawym osiągnięciem w tym i innych województwach były trzydniówki. Do Prac zjeżdżali wówczas także uczniowie wszystkich szkół rolniczych i zainteresowani słuchacze kilku wsi woj. wrocławskiego. Praca przebiegała pod hasłem: *Dzielimy się swoimi doświadczeniami*. Młodzież, podzielona na grupy, przez dwa dni pracowała w wybranym bloku tematycznym pod okiem wytrawnych fachowców–instruktorów, opłaconych przez Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej, a w ostatnim dniu mogła się pochwalić swymi osiągnięciami przed zaproszonymi gośćmi. Emocje towarzyszące tym wydarzeniom były wielce inspirujące, gdyż pokłosem warsztatów wszechnicowych były pierwsze wystawy fotograficzne, prezentacje kulinarne, wariacje kwiatowe, odważne deklamacje wierszy i wiele innych niespodzianek, dla których warto było się wybrać do Prac, by tych autentycznych odkryć posłuchać i dostrzec talenty. A co ważniejsze, zajęcia dały do myślenia, gdyż:

- „Uświadomiły mi znaczenie własnego domu. Mój rodzinny dom był pusty i zimny, choć mam i matkę, i ojca...;
- Nikt nas nie napędza – sami przychodzimy;
- Podobały mi się wiersze Ryśka. Nie posądzałem go o taką subtelność. Tu się ujawnił... ;
- Zrozumiałem, że seks to nie wszystko, zacząłem uważnie obserwować dziewczęta, co one sobą reprezentują jako przyszłe towarzyszki życia...;
- Fajnie jest, gdy nam trzydniówka się uda. Ja sam nie myślałem nigdy, że zainteresują mnie ikebany, ale ten pan inżynier z doskonalenia zawodowego tak ciekawie mówił o zwyczajach różnych ludów, związanych z kwiatami. Otworzył mi świat mały krokus”...

Powyższe cytaty zaczerpnęłam z artykułu pt. „Wszechnica Rodziny Wiejskiej”, autorstwa Jadzi, zamieszczonego w „Biuletynie Pedagogicznym Oświaty Rolniczej” (nr 3, R XXV z. II 1985, s. 91–93).

Warto o tych sprawach pamiętać.

Jak duchowy testament Jadzi potraktowałabym obszerny esej w tym samym co wyżej periodyku (nr 2, R XXXI z. 1988, s. 27–35) pt. „Jaki ma być Uniwersytet Ludowy naszych czasów?” Nawiązała w nim do tradycji duńskich uniwersytetów ludowych i szkół typu pszczyńskiego, opisała te placówki w okresie międzywojennym, podczas okupacji i w pierwszych latach po wojnie, a także od przełomu październikowego do sierpnia 1980 r., szczególną uwagę poświęcając Towarzystwu Uniwersytetów Ludowych lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, gdy siłą woli i determinacji Zofii Kaczor-Jędrzyckiej i wielu wokół niej sprzymierzonych oświatowców i wizjonerów doprowadzono do reaktywowania Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, organizacji społecznej zakotwiczonej w Polsce od 1919 r.

W przesłaniu zaś ku przyszłości, w cytowanym eseju, znów odezwały się echa wszechnicowe: „Trzeba kształtować prawidłowe postawy w rodzinie. Właśnie rodzinie polskiej. TUL powinien poświęcić wiele godzin, bowiem wychowanie jest procesem trudnym i złożonym. Zespoły samokształceniowe w kilku blokach tematycznych pracują dobrowolnie i chętnie. Jest to forma Uniwersytetu Otwartego dla wszystkich środowisk.”

Myszę, że nastał decydujący czas, by ideały Jadzi Harasimowicz, podobnie jak Zofii i Ignacego Solarzów czy Mikołaja Grundtviga, trafiły pod strzechy. Nawet jeśli te strzechy lśnią blaskiem importowanej szwedzkiej czy innej dachówki.

## 15. Niezastąpiona

### Krystyna Paplińska

Od wielu lat Ulka Drożdżyńska, polonistka ze Szkoły Rolniczej w Sławie, organizuje przynajmniej dwa razy w roku spotkania TUL-owskie w zameczku myśliwskim w Tarnowie Jeziernym k. Sławy. Są to krótkie sesje – bo 3-dniowe. Tym razem (2006 r.) jeden dzień poświęcamy naszej Jadzi Harasimowicz.

Ulka z panem Witkiem Tocewiczem – kustoszem zameczku zamówili Mszę Świętą, która odprawiona była w niezwyklej scenerii – nad brzegiem jeziora, przy przystani. Ołtarz ustawiono na tle wody. Wieczór zapowiadał się ciepły, więc siedziska rozstawiono blisko brzegu. Ostatnie promyki słońca przedzierały się przez korony drzew, a wiaterek delikatnie kołysał gałęzie, na których przysiadły ciekawe ptaszki. Leniwe fale pluskały, odbijały się od brzegu i kołysały łódkę przywiązaną do pala.

Na ołtarzu postawiłam uśmiechnięte zdjęcie Jadzi. Patrząc na nią, uświadomiłam sobie, że już nigdy tutaj się nie spotkamy, nie będzie wspólnego podziwiania tego zakątka i długich rozmów przy kominku w zameczku. Pozajmowaliśmy miejsca i nastąpiła jakaś głęboka cisza, było bardzo smutno i tylko fale znowu zaczęły głośniejsze się odzywać, uderzając o brzeg łódki jakby w rytmie marsza żałobnego.

Rozpoczęła się Msza Święta, którą celebrował młody ksiądz ze Sławy. Nie znał Jadzi, ale jakże o niej pięknie mówił. Przekonywał nas, że Pani Jadzia patrzy na nas i cieszy się, że zostawiła przyjaciół i ludzi, na których mogła zawsze polegać i że swoją pałeczkę zostawiła w godnych rękach.

Nasze koleżanki Zosia Milian, Józia Traczyńska i Daniela Marzec pięknie zaśpiewały pieśń, której nikt nie znał, nawet ksiądz był zaskoczony, bo nigdy nie słyszał tej pieśni nawet w Lublinie na KUL-u. W tej scenerii zachodzącego słońca, purpury odbijającej się w wodzie, kłaniających i przytulających się do siebie trzcin posłyszeliśmy rechot żaby, pewnie chciała pomóc w śpiewaniu i pojawił się też gołąb, przysiadł niedaleko nas – ktoś z tyłu wyszeptał, że chyba Jadzia zjawiła się jako gołębica. Wszystko to stworzyło niezapomniane chwile.

Trzymałam w ręku kamerę, chciałam uwieńczyć to wydarzenie, ale za bardzo byłam wzruszona i ten obraz nie bardzo wyszedł, za co Tolek mnie zganiał. Bo tym razem nie mógł być do końca, musiał wracać do Milicza.

I tak, Jadziu powierzyliśmy Twoją duszę Bogu, wierząc, że i tam będziesz aktywna, bo przecież Ty nie potrafisz inaczej. Patrząc na Twoje zdjęcie, które wyłania się spod bukietów kwiatów, wydaje się, że mówisz: słuchajcie, a po co te wasze trudy, tak z daleka przyjechaliście tutaj, aby wspomóc moją duszę? Jadziu! Wiemy, że to miejsce właśnie tutaj w Jeziornie tak bardzo sobie upodobałaś – więc jesteśmy.

Świeczki zostały zgaszone, ołtarz rozebrano, para łabędzi, która majestatycznie dryfowała nad brzegiem – odpłynęła w dal, a my, siedząc jeszcze w zadumie, usłyszeliśmy drżący głos Basi Kwiecień, która opowiedziała nam swoje odczucia i wrażenia ze znajomości z Jadzią.

Basia zaczęła słowami poety: „Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim...”. Zabrakło telefonów, listów, uroczych refleksyjnych kartek, pocieszeń w chwilach trudnych, a czasem nawet nagany. Opowiedziała o niełatwym życiu Jadzi, Jej przyjeździe do Wrocławia, o życiu osobistym, rodzinnym, o pracy z młodzieżą i naturalnie z TUL-em.

Mówiła, że Jadzia nie potrafiła brać, Ona ciągle dawała i dzieliła się tym, co miała, a miała dla każdego dużo serca i otwarty dom. Na każde wici z Jej strony jechaliśmy do Niej, siadaliśmy przy okrągłym stole i wiedliśmy rozmowy o naszej TUL-owskiej działalności, o wydarzeniach w Polsce i na świecie.

Basia wywołała wspomnienia i łzy. Jadziu! Słuchałam tego ze ściśniętym gardłem, zaczęłam rozpamiętywać ostatnie pamiętne pożegnanie z Tobą, tam we Wrocławiu, w zacisznym miejscu, między gąszczem mogił, gdzie w małej skrzyneczce złożono Cię w ziemi obok ukochanego męża. Staliśmy tłumnie, cała gromada tulowców, a wiosenny deszcz obmywał nam łzy, śpiewaliśmy Ci pełnym głosem unoszącym się do nieba: „Nie zabrała ziemia tylko przytuliła, żeby Ci się siostró nasza Polska śniła”. Jadziu – tak skromnie odeszłaś, a przecież byłaś dla nas taka wielka i niezastąpiona.

Po plenerowej Mszy Świętej w zameczku postanowiliśmy jeszcze siedzieć nad wodą i śpiewać Jadzi piosenki, a szczególnie jej ulubioną „Za Niemen...”. Romek Szydłowski nastroił gitarę i rozpoczął się wspaniały śpiew, nigdy tak pięknie nie brzmiały w tym miejscu, dołączyłam i ja do śpiewających. Po jakimś czasie opuściłam towarzystwo, bo było mi jakoś ławo. Zaczęłam sobie przypominać, jak zaczęła się moja znajomość z panią profesor Jadwigą Harasimowicz.

A było to tak: Wydział Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu zorganizował razem z TUL-em w szkole w Praczech wystawę plastyczną dorobku artystycznego, na którą zaproszono naszą Szkołę Rolniczą w Miliczu do wzięcia udziału i pokazania dorobku szkoły. Tym zadaniem obarczył mnie dyrektor szkoły, gdyż ja prowadziłam zajęcia praktyczne z dziewczynkami z liceum gospodarstwa domowego. Myślałam, co tu zrobić, a ponieważ miała to być wystawka wielkanocna, to tematów było sporo, tylko kiedy to zrealizować? Dziewczynki były chętne i zdolne, więc zadziwiłyśmy jurorów w Praczech, a szczególnie panią Jadwigę Harasimowicz, która od razu zainteresowała się moją osobą i powiedziała: „Krysiu, ty musisz należeć do TUL-u, bo się nadajesz do tego.”

Śmiałam się później, że oto w taki sposób zostałam odkryta przez Jadzię i zaproszona przez Majkę Sondij-Korulczuk z Zarządu Krajowego TUL-u na moją pierwszą sesję w Tarnowie. Jechałam stremowana z jedną walizką, nie wiedziałam, co tam będę robić. W autobusie spotkałam Jadzię, zwierzyłam się ze swoich obaw, ale ona uspokoiła mnie: „Krysiu, nic się nie bój, wierzę że coś tam wymyślisz, a TUL-owcy to bardzo fajni ludzie, nie są tacy surowi w ocenie”. Kupiłam więc na targu trochę materiałów, różnych eksponatów nabierałam w parku Sanguszków i tak rozpoczęłam pierwsze warsztaty – szumnie nazwane artystycznymi.

Pamiętam, siedziałam na wykładach prof. prof. Opalińskiego, Kwiecińskiego, Wojtyny, Gołębiowskiego, Anny Brzezińskiej i bardzo się starałam, aby to wszystko, co usłyszałam, weszło mi do głowy i bardzo też chciałam, aby z Tarnowa wyjechać mądrzejsza o wiedzę ekonomiczną, socjologiczną, oświatowo-kulturalną itp. Ja zamiast mądrzeć na wykładach, ciągle główkowałam, że przecież sama nie dam rady prowadzić warsztaty, chyba że mi ktoś pomoże. No i pojawiły się Krysia Krasnodębska (obecnie Szwed), Gabrysia Olszańska, Zosia Nester i Jasiu Chmielewski, który wytrwale mi asystował przy pracach, bo wszystko go interesowało, nawet próbował robić makramę. I tak do końca sesji powstała mała wystawka. Pamiętam, że

moje ludowe laleczki podobały się i jedną z nich otrzymał Roman Jagieliński (przyszły wice-premier, minister rolnictwa), który razem z żoną gościł na naszej sesji.

Kiedyś znalazła nas w naszej pracowni JADZIA i pokrzyzczała: „Dziewczyny, a co wy tu jeszcze robicie, już późno, spać trzeba iść. Krysiu! chyba zapomniałaś, że jutro mamy wycieczkę”. Ja jednak nie zapominałam, ale chciałam wykorzystać rozbudzony zapach do tworzenia sztuki.

Od samego rana Staszek Myszka mobilizował nas do wyjazdu. Pierwszy raz byłam w tych stronach. Zwiedzaliśmy muzeum Witosa w Wierchosławicach, gdzie szczególnie utrwaliło mi się w pamięci godło polskie, bo orzeł zrobiony był z białych piór.

Dużym przeżyciem dla mnie było spotkanie przy grobowcu Witosa na cmentarzu parafialnym. Położyliśmy na grobie bukiet polnych maków i śpiewaliśmy „Na wiciarza roli ruń pozieleniała...”. Nigdy tej pieśni nie słyszałam i bardzo się wzruszyłam.

Byłam na tej sesji wszystkiego ciekawa i starałam się usilnie pojąć, co to jest TUL. Pamiętam, jak nie mogło mi przejść przez usta mówienie wszystkim profesorom po imieniu. Natomiast szybko spoufaliłam się z Jadzią, bo Ona była taka serdeczna i ciągle uśmiechała się do mnie. Prezes Zosię zaczęłam podziwiać podczas powitania nas w pałacu Sanguszków – tak pięknie mówiła, miałam wielki respekt przed nią, czułam się jak uczennica. Nie pamiętam, kiedy mi to przeszło. Z czasem nabrałam pewności siebie, zaczęłam czytać dzieje Solarzów i poznawać idee uniwersytetów ludowych, które zawładnęły moją osobą, podobnie jak Tolka na całe życie. A sprawcą tej fascynacji była Jadzia Harasimowicz, ona to przecież odkryła, że się nadają do TUL-u.

Jaka była Jadzia, jaką zapamiętałam?

Cechowała Jadzię pogoda ducha, poczucie humoru. Ileż serca wkładała w rytuał pasowania nowych osób na działaczy TUL-u

Z czego wynikało to wielkie zaangażowanie Jadzi? Na pewno z przekonania, iż służy wielkiej, największej sprawie na ziemi: Dobru Człowieka. Dobro to pojmowała Jadzia jako sympatię, współczucie i szacunek dla innych ludzi. Ona ciągle dawała siebie innym ludziom; budowała nici sympatii między ludźmi. Jej dewiza życiowa: nigdy nie zaczynać od brania. Trzeba zaczynać od dawania siebie. Uczyla nas, ta wspaniała Profesor, jak czynić świat bardziej ludzkim. Ciągle powtarzała, że nauczyciel musi znaleźć miejsce na kształcenie umiejętności samowychowania i kierowania własnym rozwojem. Życie Jadzi było wypełnione do końca, trudne, ale radosne, przeniknięte dobrymi uczynkami. Nie zmarnowała ani jednego dnia. Wierna w przyjaźni. Zostawiła dla nas drogowskazy, jak żyć godnie i twórczo. Za te drogowskazy dziękuję Ci Jadziu. Jesteś niezastąpiona.

## 16. Wspomnienie

### Urszula Drożdżyńska

W pewnym sensie spotykam się z Jadzią codziennie, choć już prawie dwa lata jej nie ma. W łazience na półce mam jeszcze resztkę mleczka do demakijażu „Pure Calmille” firmy Ives Rocher. To był jej ostatni prezent dla mnie, który przywiozła do Złocieńca na sesję letnią Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych. Jadzia używała w ostatnich latach kosmetyków rumiankowych tej firmy, bo nie była na nie uczulona i pewnie dlatego, że mogła je zamówić pocztą, bez wychodzenia z domu. Bardzo mi jej brak. Jej troski o moje serce, jej swatania,

dowcipów, mądrości, szalonych pomysłów, strofowania, pochwał, uwag typu: „Ładnie Ci, Ula, w białej bluzce”, „Nie noś długich spodni, pokazuj nogi” itd.

Czuję się ogromnie dumna, że mieszkałam z nią w Złocięncu. Dostałam tego zaszczytu, bo nie przyjechała na tę sesję Basia Wikło – jej ulubiona uczennica, z którą zawsze była kwaterowana. Tego lata Jadzia nie czuła się już dobrze i polecono mi, bym ją obserwowała w nocy, ponieważ jej rodzina nie pochwałała wyjazdu tak daleko. Przyglądałam się jej i nasłuchiwałam, jak oddycha. Była pogodna i szczęśliwa, bo nauczycielki ze Złocięncu sesję przygotowały świetnie, a ona spotkała się z ludźmi, których lubi i szanuje. Miała Jadzia w Złocięncu swój jubileuszowy wieczór, na którym była królową (najważniejsza, doceniana, w pięknym kapeluszu i z dużym bukietem kwiatów dla niej). Tego lata mieszkałyśmy w burisie, miałyśmy pokój na parterze, ale kiedy Jadzia otworzyła szafę, by wypakować tam swoje ubrania, parsknęła śmiechem i mnie zawołała. Cała szafa była upstrzona różnymi zapiskami nastolatków. Przeważały wulgarne teksty pełne młodzieżowych zwrotów, więc Jadzia wymyśliła, że w szafie możemy ćwiczyć „czytanie ze zrozumieniem”. Poprosiła mnie potem, abym zrobiła jej zdjęcie w tej szafie.

Jesienią tego roku Jadzia trafiła ponownie do szpitala. Kiedy odwiedziłam ją tuż przed Bożym Narodzeniem w Klinice Kardiologicznej we Wrocławiu, bardzo się ucieszyła, ale na powitanie stwierdziła, że to ja źle wyglądam. Zjadła jogurt, ucieszyła się ze słańskich twarogu i masła oraz poleciła, abym się ciepło ubierała (spadło wtedy sporo śniegu). Pytała jak zwykle o moją rodzinę, którą znała, o pracę w szkole, o Andrzeja Leszczyńskiego, Taciaków i Szydłowskich. Bardzo chciała wyzdrowieć i pojechać jeszcze latem do Grzybna na sesję. Ceniła ogromnie pracowitość i gospodarność „Sumów” (bo tak mówiła o naszych kolegach z Grzybna), wiedziała, że jak zwykle będzie tam mogła miło spędzić czas. Te letnie sesje były jednym z głównych działań Komisji Inicjatyw Humanistycznych, której Jadzia Harasimowicz przewodniczyła.

W styczniu Jadzia prosiła mnie, bym przekazała Andrzejowi Leszczyńskiemu, że „ucieknęła spod kocy”. Niestety, odeszła i tej pustki nikt nie jest w stanie wypełnić. W Ślawie, gdzie mieszkam i pracuję, Jadzia była przynajmniej 2 razy w roku. Pierwszy raz przyjechała tu z prof. Czesławem Opalińskim i bardzo spodobało jej się to miasteczko. Od tamtej pory miała tu swoje miejsce w Tarnowie Jeziernym – Pałacyk Myśliwski z uroczym panem Witkiem, kustoszem tego obiektu. Organizowałam tu dwa seminaria rocznie dla oddziału wrocławskiego TUL-u. Na Jadzię czekał zawsze ten sam pokój z kwiatami na stole, a pan Witek miał dla niej zwykle jakiś souvenir, ciekawą książkę, czekoladki czy nalewkę miodową. Jeśli chciałam się dowiedzieć, co u Jadzi we Wrocławiu – dzwoniłam do pana Witka, z którym wymieniała listy. Trzy razy Jadzia i grupa przyjaciół z Wrocławia bawili u nas na sylwestrowej zabawie. Brała udział w konkursach i zabawach, była duszą towarzystwa, zadziwiała pomyslowością. Umiała nas dyscyplinować i mobilizować do pracy. Niewielu ludzi tak szybko jak Jadzia odpisywało na listy. Ona korespondowała chyba z całym światem, bo pisali do niej jej uczniowie i wielu TUL-owców. Na imienniny i inne święta dostawała około 70 kartek i listów z życzeniami. Choć od wielu lat była na emeryturze, to w dziedzinie literatury i historii była na bieżąco. Dużo czytała, znała nowości literackie. Była bardzo dumna ze swoich synów i chętnie opowiadała o osiągnięciach wnuków. Regularnie kupowała „Przegląd Sportowy”, bo tam pisał jej wnuk. Sprzedawczyni z najbliższego kiosku najpierw przeglądała gazetę, aby sprawdzić, czy jest w niej tekst Maćka, a potem dawała ją Jadzi, aby nie wydawała niepotrzebnie pieniędzy.

W całym mieszkaniu Jadzi były zdjęcia najbliższych, a jedną ze ścian zdobiły obrazy i pamiątki artystów TUL-u. Lubiłam jej mieszkanie z dużym okrągłym stołem, przy którym

kilka razy zasiadałam. To był stół z marmurowym blatem, przyniesiony przez męża Jadzi z wrocławskich ruin po osiedleniu się w tym mieście. Z salonu było wyjście na Jadzi taras, większy chyba od mojego mieszkania. Rosły tam w skrzynkach i doniczkach kwiaty, zioła i nawet pomidory. Tu odbywały się zebrania wrocławskiego oddziału TUL-u. Jadzia przyznawała się sama, że nie była nigdy dobra w sprawach kulinarnych, ale zawsze, gdy miał ktoś przyjechać, na piecyku stał garnek z krupnikiem.

Mieszkanie Jadzi Harasimowicz było takie hrabiowskie, z duszą, ale wymagało już remontu i jakieś bieżące naprawy robili jej znajomi, bo na więcej nie pozwalała jej niska emerytura. Jeden z dawnych uczniów, obecnie zamożny człowiek przebywający przez wiele lat za granicą, wyremontował Jadzi łazienkę. Była pełna słońca, wygodna, elegancka, z żółtymi płytkami – jakie zawsze chciała mieć. Sama mi wyznała, że czasem tam wchodziłaby oko nacieszyć i poprawić sobie nastrój.

Wielu tułowców studiujących we Wrocławiu korzystało z noclegu u Jadzi; mam nadzieję, że będą o tym pamiętali. Jadzia wiecznie była zatroskana o innych. Często powtarzała, że ważna jest w życiu praca, ale zaraz potem poprawiała, że miłość chyba ważniejsza. Nowych ludzi na sesjach Jadzia zawsze przepytowała (mnie też), ale to nie było wścibstwo, tylko rodzaj troski. Moja koleżanka z pracy Zosia B. twierdzi, iż Jadzia miała taką szczerłość w twarzy, że ludzie się przed nią otwierali i powierzali swoje tajemnice.

Nasza Jadzia to był taki niespokojny duch, nie lubiła marazmu; kiedy kończyło się jedno seminarium czy sesja, już myślała o tematyce następnego. Miała tyle pomysłów dotyczących przyszłości Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych. Była łakoma życia, niczego nie chciała przegapić. Niewielu znałam takich pogodnych i młodych duchem ludzi jak Jadzia. Kochała też to swoje miasto Wrocław, cieszyło ją, że tak pięknieje. Pamiętam dzień, w którym profesor Opaliński zabrał ją na lody do nowo otwartej Galerii Dominikańskiej; była taka szczęśliwa! Zaraz wszystkim o tym opowiadała. O Wrocławiu i jego historii mogła mówić godzinami. Zadziwiające było również to, że mimo wieku Jadzia doskonale dogadywała się z młodzieżą, pewnie dlatego, że nie udawała przed nimi kogoś innego i miała duże doświadczenie w pracy z młodymi ludźmi. Do legendy chyba przeszła już opowieść o tym, jak debatowała o wartościach z wrocławskimi skinami, którzy na końcu stwierdzili, że Jadzia jest cool. Bo taka naprawdę była.

## 17. Rzec o trwaniu

### Aldona Czerwińska

Kiedy myślę o Jadzi, a zdarza mi się to dosyć często, zawsze widzę, jak siedzi na jakimś tarasie, jest wiosna, ciepłe podmuchy wiatru owiewają ciało i sprawiają, że człowiekowi robi się jakoś tak błogo i przyjemnie. W serce wstępuje radość i taka otucha, że jeszcze ten jeden raz, że jeszcze ta jedna wiosna. Gdzieś w tle cicho śpiewają ptaki, a Jadzia siedzi w wiklinowym fotelu, jakieś papiery trzyma na kolanach. Mogę sobie to tylko wyobrazić, wyobrazić..., bo tak pisała do mnie w jednym z ostatnich listów. Tylko wyobrazić, bo nie skorzystałam z żadnego z wielu zaproszeń, abym ją odwiedziła. Nigdy nie było dość czasu albo dość sprzyjających okoliczności. Zawsze odkładałam to na kiedyś tam. To miało być takie moje prywatne święto, bo tak właśnie traktuję możliwość spotkania z kimś, kogo bardzo lubię

i w związku z tym mam mnóstwo pytań. Ale prywatnego święta nie było. Za to sprawdziły się słowa nazbyt powszechnego i często nadużywanego dziś wiersza: „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...” Za to teraz toczę z Jadzią i te nie dokończone, i te nie odbyte rozmowy, myślę sobie, co by na to powiedziała? No i zawsze przypominam sobie słowa otuchy, kiedy „wyspowiadałam się” jej z „ciemnych” stron mojego żywota, wyznałam myśli i dylematy, o których nie rozmawiałam z nikim innym. Pomaga mi świadomość, że Ona nigdy by mnie nie potępiła. Bo Jadzia miała dla mnie tylko dobre słowa. Naprawdę, o niewielu ludziach mogę to powiedzieć. Policzyłam szybko, o ilu mogę? No właśnie... Pamiętam listopad 2005 r., kiedy to jechałam do Warszawy na zjazd z okazji jubileuszu TUL-u. Jechałam z nadzieją, że się spotkamy. Zamiast tego wszyscy podawali sobie wiadomość, że Jadzia jest w szpitalu. Potem rzuciłam okiem do najnowszego kwartalnika, w którym ukazał się jej artykuł. Dla mnie brzmiało to jak ostateczny rozrachunek i pożegnanie. Ostatnie słowa mnie rozbroiły. Kiedy je przeczytałam, to wszystko już było jasne. Pewnie wielu ludzi patrzyło na mnie wtedy, jak na dziwadło, ale nie mogłam przestać płakać. To mi się naprawdę często nie zdarza, ale wtedy tak. I to było moje z Jadzią pożegnanie. Potem była jeszcze rozmowa w południe, w dzień wigilii. Jadzia była w domu na przepustce ze szpitala. Mówiła żywym, wesołym głosem o tym, że lepiej się czuje, prawie całkiem dobrze i przygotowuje ryby, bo jej syn bardzo lubi. Jak zwykle, w ogóle nie narzekała, na nic się nie skarżyła. Wtedy umówiliśmy się definitywnie, że w ferie zimowe przyjadę na pewno do Wrocławia. Ale po świętach Jadzia trafiła do szpitala i było już tylko gorzej. Właściwie wcale mnie to nie dziwiło. Czułam to, co się zbliżało. Jadzia odeszła. Telefon. Wiadomość, kiedy pogrzeb. Mocne postanowienie, że teraz to już muszę. No i zachorowałam. Miałam taką temperaturę, że nie byłam w stanie wstać z łóżka. No i po raz nie wiadomo który nie dotrzymałam słowa i nie pojechałam. Nie pożegnałam się więc do tej pory z moją Przyjaciółką. Ale wiem, że ona mi to daruje, może już to zrobiła? Dowiedziałam się później, że Jadzia miała taki zwyczaj prowadzenia rozmów przez telefon nawet w czasie, kiedy bardzo cierpiała, nic nie dawała po sobie poznać.

Usłyszałam kiedyś, że trochę przesadzam, że Jadzia wcale nie jest taka, jak myślę. Ale, mówiąc prawdę, wcale mnie to nie obchodzi. Bo kto może wiedzieć, jaki jest inny człowiek? Bo skąd niby ma się to wiedzieć. Tym bardziej, że sami nie zadajemy sobie trudu, aby określić swoje jestestwo. Uważam, że nigdy nie jest prawdziwe twierdzenie typu: dobrze znam tego czy tamtego. Czy w ogóle dobrze znamy siebie? Czasem śmiać mi się chce (albo płakać), jak słyszę opinie na swój temat. Kiedy się dobrze postaram, to naprawdę da się stworzyć jakiś wizerunek. Ale co ma wspólnego z prawdą? Zgadzam się z Gombrowiczem, który ośmielił się wyrazić wiele obrazoburczych poglądów; zgadzam się przede wszystkim ze stwierdzeniem, że „nie ma ucieczki od gęby; ucieczką od gęby jest inna gęba”. Poznając kogoś, sami tworzymy jego obraz; na tym polegają przecież i miłość, i przyjaźń. Mój obraz drugiej osoby – dla mnie. A prawda? Owszem, są fakty, zdarzenia. Ale motywy, pobudki, uczucia – one są i pozostaną ukryte pod maską... no właśnie, maską albo gębą – jak chciał mistrz Witold.

Mam w domu na półce żółtą teczkę, a w niej to, co zostało mi z korespondencji z Jadzią. Listy, kartki zapisane drobnym maczkiem i kartki puste, kartki, których nie wysłałam, ale one są wyłącznie dla Jadzi. Ona pamiętała o moich imieninach, choć ja nigdy nie wysłałam jej życzeń z tej okazji. Pisała o tym, że musimy wreszcie wypić razem (i same!) szampana, składała życzenia oficjalne i te „babskie”, dla nas tylko zrozumiałe. Potrafiła śmiać się z siebie. Do jednego z listów dołączyła swój *ex libris*. Tablica, na pierwszym planie napuszona sowa i mnóstwo ulatujących ptaków. Na odwrocie był dopisek: „A to ja z absolwentami. J.” Do innego aniołki, które miały mnie „strzec i pocieszać, gdy trzeba”. Jej listy zawsze były kolo-



rowe, kwieciste, w motyle i inne stworzonka. Pisała dużo i we wszystkich kierunkach; układ kartki nie miał tu większego znaczenia. Swą korespondencję wzbogacała o rysunki i wykresy; jak mniemam po to, bym na pewno dobrze wszystko zrozumiała. Pewnego razu „przyszła” z Wrocławia duża, szara koperta, a w niej strony z Jadzi pamiętnika, który, jak napisała – „przewiozła przez dwa fronty”. I tam, i we wszystkich listach – życie. Z jednej strony, jak się wydaje, zwyczajne, ludzkie życie, jakich wiele. Z drugiej – widać tam wiele doświadczeń, smutnych doświadczeń naszej polskiej historii. Jest tam miejsce na pracę, fascynacje, dużo miłości, przyjaźnie, no i jeszcze coś. Trudno mi to nazwać. Jest to coś, co decyduje o tym, czy owo życie jest spełnione. Bo Jadzia, za co by się nie brała, to wszystkiemu oddawała się cała. Nie robiła nic „na pół gwizdka”, to nie jej styl. Zwłaszcza podoba mi się Jadzina dociekliwość i chęć spojrzenia na każdą sprawę przez pryzmat osoby, tego jednego człowieka. Fascynuje mnie też w Jadzi jej nieprzemijająca młodość. Wiem, że ja nigdy Jadzią nie będę, ale może to właśnie tak mnie do niej ciągnęło. Ta odrobina szaleństwa, łamanie utartych schematów, niesamowita wiedza i inteligencja. No i wreszcie to „oderwanie” od ziemi. Takie romantyczne i takie ludzkie. A najbardziej podobało mi głoszone przez nią przekonanie, że nigdy nie jest tak, że już nic na człowieka nie czeka. Trzeba ciągle wierzyć, że za każdym „zakrętem” jest coś, co być może zmieni nasze życie. Tak bynajmniej mówiła mi Jadzia. I jak napisała w zakończeniu jednego ze swych listów: „A pisze to człowiek, co ma dużo lat, to znaczy ja i ciągle wierzy w Dobro, Miłość, Przyjaźń i ... niespodzianki”.

Jak już wspomniałam, nie było mi dane pożegnać się z Jadzią, a ponieważ wierzę święcie w twierdzenie, że „to, co nie nazwane, istnieć nie ma siły”, choć w taki sposób pragnę dopełnić ceremonii pożegnania. Czuję potrzebę jakiegoś rozliczenia się z tym rozdziałem mojego życia, w którym gościła Jadzia. Takiego norwidowskiego żałobnego rapsodu.

Cóż tu jeszcze dodać? Chyba tylko to, że czuję się wyróżnioną przez los „szczęściarą”, która o takiej Osobie powiedzieć może „mam Przyjaciółkę”. Tak właśnie, to nie pomyłka.

Mam.

## 18. Niewysłany list

Tadeusz Pilch

Droga Jadziu!

Nie napisałem do Ciebie, jak obiecałem, zaraz po sesji letniej w Grzybnie. Zawsze znajduje się tysiąc okoliczności, które przeszkodzą lub tylko są pretekstem do lenistwa, marnym usprawiedliwieniem naszego niedbalstwa. A Ty wiesz najlepiej, a teraz i ja to wiem, że czas na nas nie poczeka, że nie da nam drugiej szansy. Może dlatego Horacy tak mądrze przestrzegał: *carpe diem* – nie marnuj mijającej chwili. Ona się nie powtórzy.

Miałem Ci Jadziu napisać o przyszłości, ale i o przeszłości. O przyszłości dlatego, że z nią związana jest nadzieja; a o przeszłości dlatego, że z przeszłości płyną nauka, mądrość, nawet wówczas, gdy tę przeszłość zapełniają nasze błędy. Przeszłość i przyszłość dotyczą nas i naszego tulowskiego ruchu. Wprawdzie każdy z nas żyje swoją przeszłością i każdego z nas wypełnia jakaś nadzieja na przyszłość, ale znacznie więcej waży w życiu to, co jest życiem, doświadczeniem i dążeniem zbiorowości, nawet tak małej jak nasze Towarzystwo, TUL.

Chciałem w liście dokończyć naszą rozmowę o TUL-u, o jego ludziach a w gruncie rzeczy podziękować Ci, że w nim jesteś i za to kim w nim jesteś. Bo cała historia Towarzystwa, to biografie ludzkie. Bez ludzi, bez osobowości, których było i jest u nas bez liku – nic byśmy nie znaczyli. Ale, powiem Ci jeszcze, że przekonałem się, jak ważny jest każdy. I ten „mały” i ten „duży”. Nie można popełnić większego błędu mówiąc: oto są trzy, cztery najważniejsze osoby, reszta to widzowie, pasażerowie bez znaczenia i właściwości. Takie błędy popełniają masowo politycy. U nich musi być przywódca, a reszta to mierzwa historii. Może dlatego w polityce nikt chyba nie znalazł szczęścia, a nawet satysfakcji.

Pamiętasz, jak mówiłem Ci o samych początkach TUL-u, jak zakładaliśmy Towarzystwo w Opaleniu, na tydzień przed stanem wojennym. Tam właśnie zjechało mnóstwo wspaniałych ludzi z całego kraju; nauczyciele, politycy, artyści, społeczne autorytety, m.in. Zofia Solarzowa, wielka entuzjastka Towarzystwa. Z Twojego Wrocławia było kilka osób z Uniwersytetu, z pisarzem Stanisławem Srokowskim. Miałem potem zaszczyt rywalizować z nim o funkcję prezesa Towarzystwa. Było radośnie i optymistycznie, ludzie przepelnieni życzliwością do siebie i świata. Myśleliśmy: skoro tyle wspaniałych osób przyjechało, pewnie robimy coś bardzo ważnego, doniosłego. Spalimy byle gdzie, jedliśmy byle co, ale to nie miało żadnego znaczenia, bośmy mieli uczucie, jakbyśmy bez przerwy ucztowali duchowo. Wtedy objawiła mi się wyraziście świadomość ważności człowieka, siła, która tkwi w ludzkich emocjach. Gospodarz Bałtyckiego Uniwersytetu Ludowego w Opaleniu, drobnutkiej postury Narcyz Kozłowski, z tym tłumem ludzi i żywiołowymi zachowaniami poradził sobie, jakby był sierżantem-kwatermistrzem i miał w dyspozycji kompanię wojska.

Zanim jednak doszło do tego spontanicznego Zjazdu w Opaleniu, poprzedziły go mieszane przygotowań, które odbywały się w Ośrodku Szkoleniowym PSL (wtedy jeszcze ZSL) na ul. Ciołka, gdzie mogliśmy skorzystać z noclegu, stołówki, przy cichej aprobacie władz Stronnictwa. Przyjeżdżali ludzie z całego kraju; młodzi i starzy, nauczyciele i rolnicy, samotni entuzjaści i przedstawiciele różnych organizacji terenowych. Wszystkich przyjmowali serdecznie i z pewną wówczas odważną determinacją pracownicy Ośrodka. Bez ich wsparcia nic bym nie zdziałał. To byli „starzy” ludowcy, społecznikostwo mieli we krwi. Ja ich pamiętam i wymienię wszystkich z nazwiska w książce, którą Ci obiecywałem, a którą ciągle odsuwam, bo pilniejsze są inne sprawy. Nie wiem Jadziu, czy teraz po tej „nauce” jaką dał nam los, dalej będę zwlekał z jej napisaniem.

Rozjechaliśmy się do domów, a po kilku dniach cały ów entuzjazm i nadzieje „rozjechał” stan wojenny. Przytuliliśmy się do ZMW, bo to była taka nisza, w której można było ukryć działalność kulturalną. Różnie nam się z nimi układało, ale dziś mogę znowu powiedzieć, że dzięki nim, tym młodym ludziom z ZMW nasz ruch przetrwał trudne chwile i mimo nacisków na nich jakoś nas tolerowali, a dr. Staszewi Jańcowi wydzielili kawałek pokoju, biurko i dali biurowe utensylia. Znowu Jadziu wychodzi, że ludzie nie zawiedli.

Ale ówczesnym władzom politycznym nie w smak były nazwiska wybranego zarządu w Opaleniu. Mimo interwencji Z. Solarzowej u najwyższych czynników, władza się zaparła i bez zmian personalnych nie chciała słyszeć o „odwieszeniu” Towarzystwa. Toteż jednego razu zebraliśmy się, pojechali do Gaci Przeworskiej, gdzie zaczął także działać uniwersytet ludowy i tam namówiliśmy Zosię Kaczor-Jędrzycką, wówczas ważnego urzędnika Ministerstwa Rolnictwa, aby podjęła się przeprowadzenia TUL-u przez trudne czasy stanu wojennego. Zosia Kaczor, człowiek o ludowych tradycjach rodzinnych i duszy społecznika, podjęła się tego mozolnego trudu, przy różnorodnych kłopotach, a niekiedy nawet upokorzeniach. Chwała jej za to.

W tym samym mniej więcej czasie pojawił się inny „dobry duch” TUL-u – Majka Korulczyk. I właśnie w tym czasie zjawiła się Ty – ze swoją wymagającą życzliwością, ze swoim rzeczowym rozumem i rozrzutnym uczuciem przyjaźni do wszystkich. Rychło stajesz się, mimo swoich ruchowych ułomności, wybaczyć szczerość, wodzirejem naszego korowodu, który trwa i idzie do przodu.

Widzisz więc, że to ludzie są „solą” naszego ruchu. To ci wymienieni, a jeszcze więcej Ci niewymienieni są źródłem jego trwania i siły. Powiesz może, iż nadużywam pojęcia siły, przypisując ją nam, TUL-owi. Niekoniecznie. Pedagogika zna wiele przykładów, kiedy uczucie jest niezwykłą siłą i tworzy wielkie dzieła. Choćby Jan H. Pestalozzi, Maria Montessori, Janusz Korczak. Akurat nasze Towarzystwo zawsze było bogate w uczucia i bogate w powiązania międzyludzkie. W naszym ruchu spełniało się pięknie powiedzenie wielkiego Mikołaja Grundtviga: „samemu być sobą, ale nie wystarczać sobie samemu”. A prościej wyraził to Paulin Wojtyna: „z ludźmi ku ludziom”.

Zauważ, tak się jakoś składa, że wymieniam niemal same kobiety. Może dlatego, że skoro siłą wiążącą i napędową w ruchu uniwersytetów ludowych są uczucia i relacje międzyludzkie, to tu kobiety są lepszymi mistrzyniami niż gruboskórni mężczyźni. Ale to nie byłby sąd sprawiedliwy. Bo popatrz tylko; czy można sobie wyobrazić nasze spotkania bez Romka Szydłowskiego z gitarą? Albo bez Tolka Paplińskiego z nieodłączną kamerą i uśmiechniętą życzliwością do wszystkich? A ile wesołości sprawiały ludziom niewinne psoty Irka Rozwandowicza, którego ochrzciliśmy „Szuwarkiem”? A o ileż byłibyśmy ubożsi bez wierszy i kabaretów Janka Pieńkowskiego? Każdy dawał, co umiał najlepiej: powagę – Janusz Taciak, stateczność – Basia Wikło, dynamit w działaniu – Ela Gniazdowska, urok osobisty – Twoja Alina... i tak by można ciągnąć listę znaczenia i zasług wszystkich niemal naszych Kolegów. Każdy ma coś do zaferowania innym. Każdy jest w coś bogaty.

Zawsze miałem szczęście do ludzi. W szkole do nauczycieli, na uczelni do studentów i współpracowników. Może w polityce czułem się tylko trochę nieswojo i samotnie. Nikt specjalnie nie chciał mnie przyjąć do swojej paczki. Ale najwięcej fajnych ludzi, otwartych, twórczych, życzliwych spotkałem w naszym Towarzystwie. Jak już wydawało się, że TUL-owigoziuiwiad, zjawiał się zawsze ktoś, kto dawał nowe obroty, popędzał „kota” marazmowi i zwątpieniu i wszystko odżywało.

Kiedy zjawiła się Ty – starsza Pani z ograniczoną ruchliwością, kto mógł przypuszczać, że staniesz się jedną z najbardziej witalnych postaci naszego ruchu i jednym z życiodajnych czynników naszego Towarzystwa. Zastanawiałem się, jak nazwać to, co robiłaś? I przyszło mi do głowy takie porównanie, że byłaś jak takie ciepłe światło w szklarni, co to wszystkim roślinom pozwala rosnąć i wszystkie dobrze się czują w ciepłe tego światła. Ciepło i światło to dobrzy towarzysze Jadziu – na najdłuższą drogę. Mam nadzieję, że Ci ich nie zabraknie.

Póki więc ludzi nie zabraknie – nie bójmy się przyszłości. Mimo że czas tak szybko ucieka i czasem nie starcza go, aby napisać w porę jeden list do przyjaciela, to razem z nowym czasem przyjdą nowi ludzie.

Ostatnio zobaczyłem na ulicy taki olbrzymi plakat. Zamyślony Jan Paweł II, w tle biegnące sylwetki... A pod spodem napis: Zatrzymaj się! To przemijanie ma sens! W tym przemijaniu jest przecież nasza praca, to wszystko, co daliśmy drugim, są ludzie, z którymi szliśmy ku ludziom. I nie jest ważne, czy dało się im wielkie dzieło filozoficzne, czy trochę życzliwości, czy tylko uśmiech, czy wreszcie okazję do gestu dobroczynnego wobec potrzebującego. Wszystko jest ważne, bo składa się na życie, czyli niepowtarzalny dar dany raz jeden jedyny. Inni przyjdą za nami i zbudują może coś większego, piękniejszego. I pewnie tak będzie, ale

będzie w tym też jakaś mała częśćka pozostawiona przez nasze przemijanie. Będzie w tych przyszłych postaciach przyszłego świata także częśćka Ciebie. Myślę więc Jadziu, że możemy tym, którzy po nas przyjdą, zadedykować ten piękny wiersz Paulina Wojtyny: – „Niech się Wam szczęści, którzy idziecie za nami”

Do zobaczenia Jadziu – tam, u Ciebie!

## 19. Była wzorem tulowca

### Ewa i Andrzej Sienkiewiczowie

„Zamiast czekać na dobroć innych, sami napełniamy codzienne życie dobrocią” – te słowa kardynała Stefana Wyszyńskiego określają postawę życiową i wartości, którym Jadwiga Harasimowicz służyła całe życie. Dla tulowców była naszą Jadzią.

Znajomość nasza z Jadzią obejmuje zaledwie pięć lat, ale to wystarczający czas, żeby poznać szlachetne strony życia człowieka, który czyni dobro.

Spotkaliśmy Jadzię po raz pierwszy w 2002 r. na zebraniu Wrocławskiego Oddziału Regionalnego TUL-u. Szukaliśmy wówczas kontaktu z organizacją, która mogłaby nam pomóc w podjęciu trudu uruchomienia cyklu zajęć podwyższających kwalifikacje rolników we wsi Łoziny i okolicznych miejscowości – do której przenieśliśmy się z centrum Wrocławia. Pragnęliśmy tak ukształtować nasz Ośrodek Szkoleniowy w Łozinie, aby, podobnie jak uniwersytety ludowe, wyrastał z potrzeb wsi i służył szerokiej społeczności lokalnej. Chodziło nam nie tylko o kwalifikacje zawodowe, ale i o to, żeby wiązać słuchaczy z pięknem sztuki i wartościami humanistycznymi. A także dodać poczucia godności byłym pracownikom PGR, najczęściej bezrobotnym. Ten nasz zamysł edukacyjny zaaprobował Oddział Regionalny TUL i mogliśmy pod czujnym okiem Jadzi, w strukturach TUL-u, podjąć się prowadzenia dalej zaplanowanych szkoleń. Cieszyła ją ta inicjatywa, bo Ośrodek Szkoleniowy w Łozinie był mocno powiązany z pracownikami naukowymi Uniwersytetu Przyrodniczego (dawniej Akademii Rolniczej) we Wrocławiu, w której obok nas pracował nieżyjący już prof. Czesław Opaliński, ówczesny prezes wrocławskiego TUL-u, przyjaciel Jadzi i inni wybitni profesorem. Podjęli się realizacji idei Grundtviga i Solarzów m.in. prof. Zuzanna Borcz, prof. Jan Kaczmarek, z Akademii Wojskowej dołączył prof. Ryszard Kałużny.

Jadzia była kilkakrotnie z wizytą w Ośrodku Szkoleniowym TUL w Łozinie na uroczystościach organizowanych wspólnie ze słuchaczami, np. na wigilii z okazji Bożego Narodzenia czy obchodach Dnia Matki, na którym dzieliła się swoimi przemyśleniami, jaką powinna być matka. Wspominała wiele matek swoich uczniów i niełatwe problemy wychowawcze, które towarzyszą wszystkim matkom. Bardzo szybko zjednywała sobie sympatię słuchaczy i, co ważne, czuła się wśród nas jak u siebie – pochodziła z rejonów, skąd wywodzi się większość tutejszych mieszkańców podwrocławskich wsi.

Była wspaniałym kompanem przy ogniskach i biesiadach tulowskich, czuło się w niej duszę kresowianki. W Oddziale Regionalnym we Wrocławiu była swoistym „guru”, nie musiała przekonywać do proponowanych przez siebie działań programowych, była akceptowana automatycznie i bez dyskusji.

Jakimi przymiotami serca i umysłu urzekła, jaka była osobowość Jadzi?

Miała w sobie ogromną siłę zbliżania ludzi do siebie, przez co wywierała wpływ na otoczenie. Przyjacieli wszystkich napotkanych na swej drodze ludzi, można było odnieść wrażenie, że ma ręce pełne darów, które rozdaje z życzliwością i uśmiechem. Była w niej gotowość pomagania innym w potrzebie. Posiadała zmysł obserwacyjny, urzekała humorem i błyskotliwym dowcipem w różnych sytuacjach, m.in. na sesjach TUL-u w roli Matki Chrzestnej nowych tulowców.

W naszej działalności tulowskiej za najcenniejsze uważała to, co zostało wypracowane samodzielnie w sferze duchowej i materialnej. Wierzyła w uniwersalne wartości człowieka, dla niej istotną wartością była ludzka godność, człowiek myślący, odpowiedzialny, umiejący pracować dla dobra ogólnego, sama była tego przykładem. Mówiła, że każda praca powinna zostawiać ślad, i o powołaniu inteligencji. Przygotowywała o tym powołaniu artykuł do kwartalnika „TUL”, zbierała materiały, prowadziła wywiady.

Odnaczała się szerokimi horyzontami myślowymi, wynikało to z dużego odczytania, z kontaktów z ludźmi o nieprzeciętnej indywidualności. Wspaniale władała piórem, zamieszczała swoje artykuły w wielu czasopismach.

Pisała w pracy nadesłanej na konkurs literacki „Ideały uniwersytetów ludowych w moim życiu” – „To nie sztuka zbudować nowy Dom, ale trzeba, żeby on miał duszę” ... przypominając te wersy z piosenki Alicji Majewskiej, stwierdzała: „Niestety w procesie reformowania państwa duchowa sfera życia narodu została zaniedbana. A przecież fundamentem więzi społecznej jest tradycja i pamięć historyczna, która tworzy wspólnotę, najpierw lokalną, a szerzej narodową”.

Fascynowała ją idea humanistyczna Solarzów urzeczywistniana w pedagogice uniwersytetów ludowych. Pisała we wspomnianej wyżej pracy: „Ideały Solarzów stały mi się bliskie i bardzo zależało mi na tym, aby nauczyciele, z którymi organizowaliśmy spotkania (sesje TUL), potrafili szczerze rozmawiać z młodzieżą, widząc w niej partnerów, a nie numer w dzienniku. Chciałam, by w swojej pracy stawiali sobie pytania zasadnicze. Kim będziemy? Czy konsumpcyjnym społeczeństwem małej stabilizacji, mebli, pralek, samochodów, komórek i komputerów? Bez bezinteresownych uczuć i głębszych, szerszych, nie tylko materialnych, zainteresowań? Czy może społeczeństwem ludzi na miarę XXI wieku – mądrych, serdecznych, dostrzegających piękno dźwięku, kształtu i barwy otaczającej nas przyrody i rozumiejących, że wiedza techniczna się dezaktualizuje i że o postępie nie decyduje maszyna, a człowiek. Jaki będzie ten człowiek jutra”? Odpowiedź na to zasadnicze pytanie zależy będzie od nas tulowców, mówiła Jadzia: „od tego, czy potrafimy młode pokolenie i starsze także wprowadzić w krąg kultury narodowej i ogólnoludzkiej, ukazać im cele życia dalekosiężne”.

O podobnych sprawach i innych dyskutowaliśmy z Jadzią w Jej mieszkaniu przy *okrągłym stole* we Wrocławiu, w willi przy ul. Powstańców Śl. 160/9.

Przejdzie ten stół do legendy, stał w środku dużego pokoju, pod jedną ścianą wielkie staroświeckie biurko – warsztat pisarski Jadzi, pod drugą ścianą biblioteka z ciekawymi książkami, a na ścianach obrazy zgromadzone w ciągu lat życia, bliskie jej sercu. W gronie tulowców opowiada się, że przy tym stole zasiadali ludzie nieprzeciętni, pasjonaci różnych idei z Wrocławia i całej Polski, od zwykłego człowieka do profesorów, polityków, działaczy społecznych. Przy tym stole zapalała rozmówców do działania, rodziła się mądra ludzka wspólnota. To był prawdziwy, niepowtarzalny uniwersytet ludowy, skupiający wrocławskich działaczy TUL-u.

Tę piękną wspólnotę, przyjaźń przerwała choroba Jadzi. Przez wiele tygodni przebywała w szpitalu, wykazywała się dzielnością, pogodą ducha. Kiedy odwiedzaliśmy Jadzię, witała nas miłym uśmiechem. Niełatwe już były rozmowy, czuło się, że zbliża się koniec ...

Nie ma już Jadzi, coś odeszło bezpowrotnie.

Dziękujemy Bogu i losowi, że pozwolił nam znaleźć się w gronie przyjaciół Jadzi, że zaliczała nas do ludzi, których darzyła zaufaniem, że cieszyła się z tego, iż podjęliśmy kierowanie TUL-em po śmierci prof. Czesława Opalińskiego. Odpłacaliśmy Jej za to szacunkiem.

Pozostała dla nas Jadzia wzorem tulowca, który kocha idee TUL-u i wciela je w życie.

Będziemy wierni w naszej pracy wartościom i ideałom ukazanym przez Jadzię.

Na ile sił wystarczy.

## 20. Wspomnienia o mojej wychowawczyni

### Łucja Kołacka-Plucha

„Wieczną pamięć w życiu zdobywa się sercem.”

Artykuł z Gazety Wyborczej – wydanie dolnośląskie z dnia 19 marca 2000 r. – zainspirował mnie do napisania wspomnień o Pani prof. Jadwidze Harasimowicz. Miałam ten zaszczyt, że była moją wychowawczynią – opiekunką i jednocześnie uczyła mnie historii w latach 1955–1959. Pani prof. J. Harasimowicz prowadziła swoje lekcje w taki sposób, że wszyscy aktywnie w nich uczestniczyli, wywołując żarliwe dyskusje, które przeciągały się długo po dzwonku oznajmiającym przerwę. W sposób bardzo przystępny dla nas potrafiła przekazać swoją wiedzę. Była wspaniałym pedagogiem, ale i też niezwykłą osobą z wyjątkowym podejściem do uczniów. Biła od pani profesor pozytywna energia. Można powiedzieć, że nosiła w sobie światło, zrozumienie, dobroć, radość życia. Posiadała zdolność wnikania w naszą psychikę.

Była „Siódmym Aniołem” – umiała tam być, gdzie była najbardziej potrzebna. Szczególną i wyjątkową opieką otaczała uczniów zagubionych, nieśmiałych, o niskiej samoocenie i tych, co byli daleko od swoich rodzinnych domów (mieszkańców internatu). Jednocześnie była bardzo wymagająca, ale i też rozumiejąca nas i potrafiła pomóc w trudnych sprawach osobistych. Pamiętam Panią Profesor zawsze uśmiechniętą. Zjednywała nasze serca tym promiennym uśmiechem. Długie godziny poświęcała na przygotowanie mnie (bardzo nieśmiałej dziewczyny) do recytacji wierszy znanych poetów na akademiach szkolnych. Przeważnie były to wiersze patriotyczne. Pamiętam te wiersze do dzisiaj.

Oto jeden z nich – Kornela Ujejskiego.

O! raz ostatni patrzę na tę ziemię,  
Kędy od wieków chodzi moje plemię  
We krwi a słońcu. Oczy we łzach mokną –  
Szkoda mi Polski! – odsłońcie to okno –  
Niech na nią patrzę, choć ją pożegnałem –  
O! raz ostatni tę ziemię widziałem.  
Ranek pogodny – z doliny mgły wstają,  
Kościelne dzwony nowy dzień witają –  
Chórami ptactwa tam dzwoni dąbrowa –  
Ojczyzno moja, bądź zdrowa!  
Narodzie mój, bądź szczęśliwy!

Pani profesor przybliżała nam świat poprzez organizowanie wycieczek nad morze (pierwszy raz widziałam morze, które mnie zachwytiło i zauroczyło swoją bezkresną przestrzenią), do Warszawy, Poznania (Targi Poznańskie), Krakowa, Wieliczki, Zakopanego i innych miast. Jako miłośniczka teatru i opery potrafiła nas tym zainteresować i pokochaliśmy tę dziedzinę kultury. Organizowała również wieczorki literackie i konkursy historyczne, w których braliśmy czynny udział. Zajmujący czołowe lokaty byli nagradzani.

Satysfakcją dla mnie jest to, że uczyła również w Technikum Mechanicznym w Oleśnicy, mieście mojej młodości i mieście, w którym mieszkam do dzisiaj.

Dziękuję Ci Droga Pani Profesor, że byłaś nie tylko nauczycielką i wychowawczynią, że kształciłaś nie tylko mój umysł, ale i moje człowieczeństwo. Dziękuję Ci, że BYŁAŚ w moim i NASZYM życiu.

## 21. Tren wiosenny – *Pamięci Jadwigi H.*

### Wanda Łomnica-Dulak

Jasiu ze smutkiem pisze Jadzia zmarła  
i Pan Profesor zły ciszy się dziwi  
na serca czarna chusta tęsknoty upadła  
i chociaż wiosna my jakby wpołzywi.

A przecież była słowo w czasie przeszłym  
tak trudno dzisiaj przechodzi przez usta bo  
Ona była jest i pozostanie  
po takim życiu nie może być pustka.

Wszystkie Jej słowa gesty i uśmiechy  
cień zamyślenia nad kartką papieru  
chowam z czułością do skarbcza pamięci  
aż do spotkania przy wieczystym celu.

Teraz na grobie bukiecik kaczeńców ze  
łzami rosy pamięci kroplami składam  
przy jasnym spojrzeniu Jadwigi w trenie  
wiosennym pozostaje z nami.





## MOJE SPOTKANIA Z LUDŹMI

Jadwiga Harasimowicz

1. Dla Jadzi Harasimowicz ludzie byli najważniejsi. Na sesjach TUL-owskich pojawiała się cała galeria ciekawych osób. Potrafiła dostrzec to, co w człowieku niezwykle, wyjątkowe i wartościowe. Mając bogatą wyobraźnię i wrażliwość artystyczną, potrafiła wyłowić i dostrzec ludzi nietuzinkowych, a poprzez publikacje w Kwartalniku mogło ich poznać szersze grono czytelników.

### „Artystyczny rodowód”

Niewątpliwie do najciekawszych ludzi w TUL-u należą Jola i Zygmunt Kłosowscy. Byli z nami na kilku nauczycielskich sesjach, promieniując ciepłem i rozbudzając w słuchaczach wrażliwość na piękno koloru, kształtu, blasku i cienia. Dziewczęca i subtelna Jola malowała portrety, wybierając sama modele, a wielu z nas chciało jej pozować. Zygmunta interesuje bardziej krajobraz, przyroda i jej zmienny koloryt. Zawsze skupia koło siebie grono ludzi, którzy zaczynają patrzeć na świat inaczej, dostrzegając jego urodę w różnych porach dnia.

W Kłaninie, latem 1997 r., Zygmunt wstawał często przed wschodem słońca i ze szkicownikami wyruszał na penetrację okolicy. Czasem towarzyszyli mu nowi adepci sztuki. Wieś kaszubska dostarczała pięknych wrażeń; pola, łąki, stary park, las, jeziora i bliskość morza, stare chaty, wschody słońca i księżycowe noce mogły zachwycać. Artysta był w swoim żywiole.

Końcowa ekspozycja prac plastycznych w Kłaninie zadziwiała gości artystycznym konceptem, kolorystyką, tematyką, a tworzyli to przecież ludzie, którzy często pierwszy raz wzięli do ręki pędzel i farby. Na pewno była to duża zasługa Zygmunta, który dyskretnie ukazywał im arkanie sztuki i wyzwalał ich własne widzenie kształtów i kolorów.

Nic dziwnego, bowiem od dziecka wyrastał w artystycznym środowisku. We wczesnej młodości mieszkał w Zakopanem, w willi „Cicha”, dawnym góralskim domu z rzeźbionymi gwiazdami i lelujami, ozdobnymi belkami i odrzwiami. Wszystko wewnątrz jest tam dziełem sztuki. Obrazy, portrety, wycinanki, koronki tworzą radosną aurę i harmonię barw. Jest to dzieło dziadka Zygmunta, Karola – syna gajowego ze zubożałej szlachty, herbu Rola z Podhala.

2. Krajowa Komisja Humanistycznych Inicjatyw Edukacyjnych, której przez lata przewodniczyła Jadwiga Harasimowicz, pozyskała do współpracy z TUL-em wielu nauczycieli działających w ruchu metodycznym szkół rolniczych. Do interesujących ludzi zaliczyła mgr Józefa Gościewicza z Marcinkowic k. Nowego Sącza, o którym pisała: „Zwykły, niezwykły Józek”.

## Józek

Ceniła sobie ogromnie jego wiedzę, wrażliwość i entuzjazm w pracy nauczycielskiej. Józek uczestniczył we wszystkich konferencjach, bardzo spontanicznie reagując na skostniały i tendencyjny styl pracy, jaki sugerowano nauczycielom w czasach stalinowskich. Dzięki ogniskom metodycznym udało się nam w szkolnictwie rolniczym zachować własną tożsamość, nie przerwać polskiej tradycji i nie zlekceważyć bogactwa kultury ludowej i narodowej. Pomimo oficjalnej pogardy dla pańskich dworów, Józek razem z młodzieżą przez wiele lat zbierał dokumenty i wszelkie przedmioty związane z byłymi właścicielami pałacyku, w którym obecnie znajduje się zespół szkół rolniczych. Gromadził też pamiątki, które ukazują bogactwo życia wsi Marcinkowice i jej okolic. Starał się ukazać współpracę polskiego dworu z galicyjską wsią w chwilach narodowych zrywów. Szkolne Muzeum imponuje ilością i wartością historycznych materiałów oraz ogromem pracy nauczycieli i młodzieży z kilku roczników. Józek, jako jeden z pierwszych polonistów szkół rolniczych, zorganizował pracownię humanistyczną ze zmieniającymi się tablicami i ekspozycjami z zastosowaniem niekonwencjonalnych metod pracy. Mówił o tym dorobku ze zwykłą u niego skromnością, że wzory czerpał z „Prackiego Soplicowa”, jak nazywał pracownię humanistyczną dyrektora A. Piotrowskiego w Praczech. Niezwykle koleżeński i serdeczny, promieniują z niego godność i dobroć. Był i jest zawsze gotowy iść z pomocą i radą swoim wychowankom, którzy go z szacunkiem, wdzięcznością i sympatią wspominają, podobnie jak koledzy szkół rolniczych.

Myszę, że tylko on jeden w kraju zaopiekował się Cmentarzem Legionistów Piłsudskiego w Marcinkowicach i razem z młodzieżą doprowadził do takiego stanu, jaki dziś możemy zobaczyć.

Czyż potrzeba lepszej i skuteczniejszej lekcji patriotyzmu?

Wiązał dzieje żołnierskie z dawnych lat z przeżyciami II wojny światowej. Przyjaźnił się z dawną kierowniczką ogniska metodycznego z województwa bydgoskiego, polonistką Ireną Kalenkiewicz. Była to żona słynnego organizatora Cichociemnych w Anglii, legendarnego już Macieja Kalenkiewicza, zabitego przez Sowietów koło Grodna, niedaleko rodzinnego dworu. Książka Jana Erdmana, brata Ireny, a zięcia Melchiora Wańkowicza „Droga do Ostrej Bramy” ukazuje postać tego oficera, który może być wzorem Polaka.

3. Jadzia niezwykle ceniła ludzi aktywizujących kulturalnie społeczność wiejską. Z uznaniem pisała np. o Wandzie Hajok z Gilowic k. Żywca

### „Ludzie z TUL-u”

Bardzo ważną rolę kulturotwórczą pełni Wanda Hajok w Gilowcach k. Żywca. Jej dziecięcy góralski zespół „Gronicek” jest znany nie tylko w Polsce. Ostatnio zorganizowała nowy zespół regionalny, w którym niektórzy członkowie mają po około 70 lat. Dziadkowie, rodzice i dzieci śpiewają i tańczą razem. Widziałam ich w programie wigilijnym u nich w Gilowcach. Ileż życia w tańcach, przyśpiewkach, ile humoru w ich porzekadłach, ile ruchu i naturalnej gracji!

Przyjechali i do Wrocławia (w listopadzie 1998 r.), aby uświetnić seminarium na temat patologii wśród młodzieży. Bawili uczestników przez dwie godziny, nie żądając żadnego honorarium. „Jak się tak wyhasamy, pośpiewamy – to nie w głowie nam narkotyki” – powiedziała jedna z dziewcząt.

Wanda zawsze podkreślała dobrą współpracę z wójtem gminy, który doceniał działanie Domu Kultury i Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych. Po rozmowach z mieszkańcami Gilowic upewniłam się, jak bardzo są wdzięczni swojej Wandzi, że wprowadza ich dzieci

z opłotków wsi w Szeroki Świat, że ocala od zapomnienia dawne „posiady”, pieśni, legendy, autentyczne życiorysy tamtejszych ludzi: „Ona nie pozwala nam drzemać przy piecu” – mówią.

Najbardziej cenię u Wandy skromność, ponieważ nigdy nie chwali się swymi osobistymi sukcesami, a twierdzi: „ludzi mam wspaniałych, i wójta, no i najpiękniejszą w Polsce przyrodę, więc musi być granie i śpiewanie”. Wanda na sesjach nauczycielskich chętnie uczestniczy w Kabarecie Janka Pieńkowskiego „Tropy”, a swą pogodą i ciepłem pomaga tworzyć serdeczną wspólnotę tulowską.

4. Dzięki talentowi społecznikowskiemu Jadzi Jej dawniejsi koledzy – nauczyciele Zespołu Szkół Rolniczych w Praczach stawali się aktywnymi działaczami TUL-u. Wyjątkową osobowością wśród nich był Czesław Opaliński, późniejszy prezes Oddziału Wojewódzkiego TUL-u we Wrocławiu.

### **W pierwszą rocznicę śmierci dr. hab. inż. Czesława Opalińskiego, profesora Akademii Rolniczej**

Wszyscy wiedzieliśmy, że masz Czesiu wspaniałe poczucie humoru, ale żeby odejść od nas właśnie... 1 kwietnia – to zbyt bolesne. Jakże trudno pogodzić się z faktem, że nie będziesz na najbliższym zjeździe absolwentów naszych dwóch klas – lat 50. z Prac. Rywalizowaliśmy ze sobą jako wychowawcy, ale wspólnie wychowaliśmy, już dzisiejszych pięćdziesięciolatków, na uczciwych, twórczych ludzi, z których większość, po ukończeniu studiów, pełni odpowiedzialne funkcje na uczelniach i innych stanowiskach państwowych.

Ileż to wieczorów przetańczyliśmy razem z nimi w szkolnej auli, ile obejrzelśmy spektakli we wrocławskich teatrach i ile zrobiliśmy kilometrów od Tatr po Bałtyk... A była to poważnie biedna młodzież wiejska z całego kraju, którą trzeba było przygotować do zawodu melioranta i mechanika, a przede wszystkim wychować. Rodzice mieszkali daleko. Umiałeś z nimi znaleźć wspólny język. Nie tracąc nic z profesorskiego autorytetu, byłeś powiernikiem i przyjacielem. Czas młodości to nie tylko szukanie sensu życia, ale konkretnego projektu, wedle którego ma się własne życie budować. Ty im te projekty podsuwałeś. Uczyłeś ich budownictwa, melioracji, ekonomiki, ale i godziwej rozrywki, towarzyskich manier, kształtowałeś poczucie odpowiedzialności w grupie, w pracy i w miłości. Tak w miłości. Młodzi w gruncie rzeczy szukają zawsze piękna w miłości i pragną jej w głębi serca, mimo innych pozorów, ale miłość, szczególnie wymagająca, jest wyzwaniem do odpowiedzialności. Tego też umiałeś nauczyć.

Wiedzieliśmy oboje, że z młodymi należy żartować, ale jednocześnie trzeba być i bardzo poważnym, i bardzo wymagającym. Ministerstwo doceniło Twoje osiągnięcia dydaktyczne. Pojechałeś na stypendium do Stanów Zjednoczonych na rok. Zwiedziłeś prawie cały kraj.

Twoje listy bogate we wrażenia, opisy i refleksje czytałam następnym maturzystom. Po powrocie zacząłeś pracę na Akademii Rolniczej, obroniłeś doktorat. Tam też zyskałeś szacunek i sympatię studentów.

Jako dziekan byłeś z nimi na uczelni w okresie politycznych burz. Pisałeś śmiało i krytyczne artykuły do wrocławskiej i krajowej prasy. Nigdy nie zmieniłeś swoich poglądów, nie byłeś konformistą. Staraleś się zrozumieć przekonanie innych – cechowała Cię tolerancja. Jako mądry patriota potrafiłeś młodzieży zaszcześcić uczucie przywiązania do Ojczystego Kraju i tradycji, a jednocześnie krytycyzm wobec naszych polskich przywar.

Zacząłeś od twórczej, mądrej pracy we własnym regionie. Zawsze znajdowałeś czas dla młodych przyjaciół, którzy garnęli się do Ciebie i po studiach. Wędrowałeś po Europie, a po-

tem po innych kontynentach. Z każdej Twojej wyprawy mam małą pamiątkę – szal, wachlarz, obrazek, egipski naszyjnik ze skarabeuszem ... Kolorowe kartki przylatywały jak ptaki do wielu przyjaciół, pełne zachwyty dla cudów świata.

Oprócz zajęć na uczelni byłeś wieloletnim szefem SITR-u, prezesem Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, pisałeś wiele fachowych artykułów, zdobywałeś granty na naukowe konferencje nie tylko w Polsce, organizowałeś seminaria i sesje tulowskie.

Twą siłę i pogodę dawał Ci Dom. Żona wspierała Cię i aprobowała Twoje społeczne pasje, choć działa się to kosztem zdrowia i domowego zacisza. Wakacje najczęściej spędzałeś z Marysią i Dziećmi nad morzem. Po maturze chciałeś być marynarzem. Nie przyjęli Cię. Nie pasowało nazwisko. Razem z moją rodziną byliśmy dwa razy w Świnoujściu. Twoja Renata i Boguś, a mój Janek i Andrzej miło spędzali czas, a Marysia, Rajmund, Ty i ja chodziliśmy na dalekie spacer, snując plany i życiowe perspektywy. Jak szybko te Dzieci stały się dorosłe ...

Gdy zabrakło Marysi, miałeś oparcie w Córce, która poświęciła się pracy paliatywnej. Oboje służyliście ludziom, niestety Ona, jako lekarz na onkologii, nie zdołała Cię uratować ...

Dużo czytałeś, nie tylko dzieła fachowe, interesowały Cię filozofia i socjologia, lubiłeś powieści i filmy historyczne. Prosiłeś mnie o interpretację poezji współczesnej. Jakże brakuje mi tych długich dyskusji... Jeździliśmy razem do Krośnice na Festiwalu Poetyckie „O ludzką twarz człowieka”, które organizuje Książd Waclaw Buryła, już znany poeta. Lubiłeś zabawy, a taniec z Tobą był przyjemnością dla każdej kobiety. Miałeś świetne wycucie rytmu. Lubiłeś też śpiewać.

Pamiętam na I Studniówce w Praczach śpiewaliście razem z Wandą z Twojej klasy „Walc Maturzystów” i to były piękne chwile. Nauczyciel z wychowanką śpiewał o szkolnej miłości. Twoja afirmacja życia, pogoda, radość, którą potrafiłeś znaleźć w szarej codzienności dodawały nam, którzy Cię znali, siły i chęci do działania.

Gromadziłeś wokół siebie ludzi w różnym wieku. Pamiętałeś o świętach i prywatnych uroczystościach, jak imieniny, Dzień Kobiet, Walentynki. Mam przed sobą na biurku kartkę z jedną piękną różą, którą przysłałeś mi rok temu na 14 lutego ze wzruszającym wierszem. Wszystkie zaprzyjaźnione panie dostały podobne oznaki pamięci – każda z inną dedykacją. Lubiłeś kwiaty. Twój balkon zawsze był przez Ciebie ukwiecony roślinami własnej hodowli. Gdy nas opuściłeś, Twoje pelargonie latem nie zakwitły jak zawsze ani dale w ogrodzie nie wyglądały tak pięknie.

Wracając z Sylwestra w 2000 r., znalazłeś małą zmarzniętą psinę – zabrałeś ją do domu i została u Ciebie Miśka – najwierniejszy przyjaciel w chorobie.

Skąd brałeś tyle siły, by w krytycznym stanie jechać na wykład, by pięć dni przed śmiercią poprawiać prace dyplomowe, bo „oni się denerwują „jak napisali”. Nigdy się nie skarżyłeś, nie obarczałeś swoim cierpieniem nawet Córki.

Na Spotkaniu Noworocznym w siedzibie NOT-u w 2002 r. tak wzruszająco mówiłeś o przyjaźni między ludźmi, o tolerancji, o roli polskiej inteligencji, a szczególnie pedagogów. Takim Cię serdecznym, ale już zmęczonym, zapamiętaliśmy.

Na Twoją ostatnią drogę przyjechał syn z Kanady, byli koledzy, studenci, przyjaciele z Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych z całej Polski.

O Twoim życiu pięknie przemówił wychowanek z Prac książd dziekan Józef Wrzosek i drugi też z Prac profesor Akademii Rolniczej dziekan Andrzej Drabiński. Wszystkich wzruszyły słowa mgr Zofii Kaczor-Jędrzyckiej prezes Zarządu Krajowego Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych. Zaśpiewaliśmy Ci pieśń Zofii Solarzowej, którą lubiłeś i nie raz też śpiewałeś.

„...Nie zabrała ziemia – tylko przytuliła, żeby Ci się, Czesiu nasza Polska śniła”.

Jesteś już na drugim brzegu Styksu i znasz tajemnicę Bytu i Wieczności, spotkałeś Najbliższych i wielu naszych wspólnych Przyjaciół. Czekaj cierpliwie na mnie...Gdy zegar wybije moją godzinę – dołączę do Was, odkryję Ci, że przeżyłeś nie tylko długość życia, ale i jego wielkość.

5. „Wierzę w przyjaźń od pierwszego wejrzenia” – tak pisała Jadzia o Kaziu Cetnarowiczu. „Proszę pokój z widokiem na morze”.

### **Pamięci Kazimierza Cetnarowicza**

Na wszystkich sesjach tulowskich wybierałyśmy z Majką Korulczyk specjalny pokój dla Kazia, a on zawsze i wszędzie widział za oknem morze głębokie, błękitne, tajemnicze, bez zamkniętego horyzontu.

Nikt nie potrafi wyjaśnić tego niezwykłego przecucia na pierwszym spotkaniu z Kaziem w Błajejewku, że właśnie on, dopiero poznany, odegra w moim życiu znaczącą rolę.

Wierzę w przyjaźń od pierwszego wejrzenia. Kazik miał zdolność dawania sobie i innym ludziom; te dyskretne obserwacje i słowa: „w czym mogę pomóc”? sprawiały, że świat dla wielu wydawał się jaśniejszy. Krótkie i łatwe były jego słowa, ale działania były naprawdę duże.

Wszystko rozumiał.

Cechowały Go rzetelna wiedza, wrodzona inteligencja, głęboka etyka, subtelność i wrażliwość, tolerancja, a przede wszystkim pogoda, serdeczność i wspaniałe poczucie humoru. Trudno mi zrozumieć, Kaziu Twoje nagłe odejście. Lubieś niespodzianki, ale – na Boga – nie takie!

Komu szczerze przyznam się do swoich błędów? Kto podtrzyma mnie w społecznym działaniu, gdy do serca wkradają się zwątpienie i gorycz i opuszcza odwaga wyrażania własnych uczuć? Od kogo dostanę tyle kolorowych kartek z różnych stron świata, które przekażywały słowa serdeczne i przyjazne? Kaziu! Tak bardzo byłeś mi w życiu potrzebny. Twoja męska opieka na sesjach po mojej operacji wzruszała.

Namawiałeś do wycieczek i byłeś przy mnie na każdym trudnym przejściu, gdy chodziłam o kulach...

Szybciej wtedy wracałam do zdrowia, do życia, do ludzi. Tobie Kaziu tulowcy zawdzięczają ciągłe poszerzanie horyzontów, a ja chciałam tak jak Ty, widzieć za oknem w jesiennym deszczowym Wrocławiu – morze, morze błękitne, tajemnicze, dalekie.

Czasem mi się to udawało.

Podziwiałam Twoją radość życia mimo ciężkiej choroby, która ciągle groziła nowotworem.

Cieszyłeś się mądrym wykładem, książką, zachodem słońca, pięknym wierszem, ładną, interesującą twarzą, ciekawą rozmową, dobrym winem, pachnącym kwiatem, muzyką, tańcem... A w tym zachwycie światem była głębia, szerokość Duszy, wyjątkowa świeżość i wrażliwość skrywana często żartem, zawsze eleganckim.

Kraków zawsze utożsamiałam z Tobą. Ty pokazywałeś nam wszystkim jego uroki, Ty witałeś na stacji kwiatami. Z Tobą wspominaliśmy przy kawie dawnych gości Jamy Michalikowej. Jakże pusty będzie bez Ciebie. W doświadczeniu polskich zawirowań Ty – jako historyk i pedagog – zachowałeś umiar i zawsze byłeś sobą. Dlatego więz szacunku i zaufania łączyła Cię z nauczycielami jako metodyka i doradcę.

Życie przyniosło Ci wiele sytuacji, w których było cierpienie, ale nie uskarżałeś się – miałeś dla ludzi twarz pogodną. Myślę, że w Twojej wizji świata wielką rolę odgrywał Bóg, chociaż o tym nie mówiłeś.

Natomiast zawsze ciepło mówiłeś o Żonie i Córce. Cieszyłeś się z tych wakacji – miały być wspólne. Stało się inaczej. Chyba tam, gdzie teraz jesteś Kaziu, jest spokojne, wielkie, błękitne morze i znasz już jego tajemnice i doszedłeś do końca horyzontu.

Patrzysz na naszą ziemską krzątaninę, uśmiechasz się i... czekasz. Jedno jest pewne – że w swoim czasie przyjdziemy do Ciebie i tam znowu będziesz nas wprowadzał w nowy, nieznamy nam świat – świat idei – może tej najprawdziwszej. Św. Franciszek napisał, że „przyjaźnie, które się rozpoczęły na tym świecie zostaną uniesione w górę i nigdy już nie będą zerwane...”

I ja w to wierzę.

6. Jadzia często zastanawiała się nad tym, czym jest to życie, jeśli pełni trosk nie mamy czasu zatrzymać się i popatrzeć... Nie mamy czasu rzucić okiem na piękno i przyjrzeć się, jak tańczy...

### **„Chrońcie dobro i piękno”**

I znowu odszedł od nas Bliski Serdeczny Człowiek...

Leży przede mną ostatni list Janusza. ... „Błagam Cię – nie rdzewiej – co nie znaczy, że namawiam do oliwienia, choć ździebełko, kropelka czegoś zdrowotnego, spożyta przed śródnocnym pianiem koguta, nigdy nie zaszkodzi...”

Nie uporałem się do końca z przeciwnościami i chwilowo nie stać mnie jeszcze na list obszerny i godny Twego, ale masz moją nieustającą serdeczność wraz z oddaniem i wdzięczną pamięcią...”

A ja mam w pamięci pożegnalne słowa Janusza do nauczycieli na sesji tulowskiej w Lubiejewie: Chrońcie Dobro i Piękno naszej polskiej kultury i dbajcie o czystość ojczyznojęzyka – to Wasze posłannictwo!

To bardzo zobowiązuje.

7. „W poszukiwaniu prawdy i piękna”

Tulowski kabaret „Tropy” i jego twórca – Janek Pieńkowski

Od wielu lat na nauczycielskich sesjach tulowskich występuje kabaret „Tropy”, którego twórcą jest polonista Janek Pieńkowski. Teresa Warych, Gabrysia Olszańska, Anka Fredrich, Basia Wikło, Wanda Hajok, Ula Drożdżyńska, Romek Szydłowski, Kazik Cetnarowicz, Józek Gościej – to stali aktorzy, do których na każdym spotkaniu dołączają nowi. Scenariusze do tekstów Janka układają wspólnie. Tematyka jest różna: polityczne aktualne satyry, obrazki z życia szkoły, sylwetki tulowców i wydarzenia bieżące. Są też nastrojowe, liryczne utwory. „Tropy” gościły już kilka razy w I programie radia.

Znam Janka długo, bardzo długo...

Czarnowłosa chłopak, inny niż wszyscy, pisał kiedyś:

... „Nie pytaj kto jestem

Nie pytaj skąd powracam

Na Mlecznej Drodze wypilem mleko

I miałem już Każdą z Gwiazd

Teraz przychodzę

po Twoje dłonie

by razem

mocniej objąć świat.”

Wychowany na pograniczu kultur białoruskiej, polskiej, żydowskiej i tatarskiej jest naturą skomplikowaną, skrytą, zamkniętą w swoim własnym świecie imaginacji...

Pisze, że ... „najtrudniej rzeźbić w powietrzu – bo zbyt miękkie, by zatrzymać kształt, zbyt twarde, by ocalić pamięć o rzeźbiarzu...”

Przypadek sprawił, że na jakiejś konferencji w Toruniu, w 1966 r., siadłam obok niego. A potem były spotkania, dyskusje, długie spacery, dworce, pożegnania.

„... Witrazem dogasających barw wabiły wieczorne krajobrazy

Na peronach dworców wtrącała się jeszcze, zieleń i czerwień do semaforów dla zapóźnionych pociągów...”

Bywało i tak, że pociągi odjeżdżały, a my w kawiarni dworcowej, prowadząc ciekawe, niekończące się rozmowy, czekaliśmy na następne, bywało...

Janek pochodzi z rodziny chłopskiej. Po wojnie pospiesznie uzupełniał swoje wykształcenie i otrzymał w Grajewie świadectwo dojrzałości. Myslę, że startując raczej z niskiego pułapu cywilizacyjnego ówczesnej wsi łomżyńskiej, szybko nadrabiał opóźnienia, intelektualne aspiracje. Dążność do indywidualnego porządkowania złożonych i skomplikowanych zjawisk miał chyba od dzieciństwa. Przy apodyktycznej supremacji ojca żołnierza – rolnika, osobowość syna musiała się kształtować jako dalsze wewnętrzne sprzężenia i czujne, a jednocześnie refleksyjne i wrażliwe widzenie świata. Niewątpliwie dobroć i wrodzona inteligencja matki wpłynęły na Janka charakter. Chyba jednak szlachecki kod genetyczny i szczególnie zróżnicowane środowisko, w którym wyrastał, ukształtowało ciekawy, ale uparty i trudny typ człowieka.

Tytuł magistra uzyskał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie studiował filologię polską. Zadebiutował w roku 1956 wierszem na łamach „Tygodnika Katolickiego”. Drukowano jego liryki w „Tygodniku Powszechnym”, w „Kamieniu” i w innych studenckich pismach. Ożenił się z koleżanką ze studiów i oboje zaczęli pracować w szkolnictwie rolniczym, wyróżniając się aktywnością i osiągnięciami.

Pamiętam lekcję Janka w Zespole Szkół Rolniczych w Samostrzelu (woj. bydgoskie) w 1969 r. hospitowaną przez nauczycieli z całej Polski. Spokojny, opanowany, umiał nawiązać wspólny kontakt z młodzieżą, a temat był trudny – „Ocena polskiego XX-lecia”.

Często wyjeżdżał na olimpiady i konkursy.

Mam taką miłą, radosną Kartkę z Krakowa, gdzie jego drużyna zdobyła I nagrodę w konkursie wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Mijały lata...

... „Wydzwaniam Kompromis  
między narodzinami i śmiercią  
triumfem i żałobą

Jeszcze w środku życia  
czeka mnie pęknięcie”

... „Oto własne me słowa  
rzeczone nie w porę  
I te słowa złachmanione  
w walce o to samo  
I zużyte ogniwa  
wspólnego łańcucha  
zdarte tryby zegarów  
i postępowania...”

Nie jest to już ten młodzieniec o płonących oczach, który latami fascynował mnie swoją oryginalną filozofią stoika i hedonisty. Nie ma zachwytu światem, ludźmi. Jakieś zniechęcenie, rozczarowanie.

Kobiety w jego życiu? Nie zatrzymał się, oprócz żony, przy żadnej, choć zawsze go otaczały. Myślę, że potrzebne mu były do twórczej inspiracji. Szukał nowych doznań, wrażeń, czy ja wiem, może nigdy niespełnionego marzenia? ...

„Za to teraz –  
okopuję się już szczerze,  
przegrupowuję siły  
pod nalotem wspomnień  
ściągam rezerwy,  
ubezpieczam flanki  
głęboko ukrywam  
nasiekany granat –  
serce...  
To na koniec!  
Tymczasem seriami dni  
ostrzeliwuję się przed  
nicością...”

Pisze to teraz szczupły, szpakowaty pan o smutnych oczach. Zbiorek poetycki, wydany w 1993 r. pt. „Orka pegazem” jest książkowym debiutem i zawiera wybrane przez Janka wiersze. W sumie napisał ich sporo, ale przeważnie do szuflady. Gdy zapytałam go, dlaczego tak było, odpowiedział:

„W życiu zawsze jest coś za coś, a poezja jest bardzo zazdrosna. Nawet gdy uzyska prawo wyłączności, potrafi niekiedy zniszczyć, zabić. Proszę, policz: Stachura, Babiński, Mielczewski, Wojacek... To ludzie mojej generacji. Dla nich świat był poetyckim przechyłem. Mój musiał być, mimo wszystko, harmonią...” I był. Żona, Synowie, Dom, działalność społeczna, Szkoła...

„Przewidywałem...  
mogą mnie  
wydziedziczyć  
w imię ojca  
syna  
i wnucząt zwykłych  
Przeto w miejscu  
Kędy Podlasie dotyka Mazowsza  
wybrałem dwa ziarenka piasku  
I nadałem je sobie  
feudalnie  
Niosę je  
jedno – uwieraniem w bucie drugie – pod powieką...”

Wewnętrzny nakaz zmuszał go do pisania, musiał więc pisać i pisał, nie zabiegając o publikację.

Przeczuwając jego wewnętrzny żar, a znając zdolności i wrażliwość, zabiegałam, żeby w tej zwykłej, codziennej, prowincjonalnej krzątaninie nie rezygnował z ujawnienia się poetyckiego.



W 1968 r., na III ogólnopolskim Festiwalu Poezji w Łodzi, otrzymał główną nagrodę. Znowu przypadek zrzucił, że dowiedzieliśmy się o niej oboje depeszą, będąc na kolejnej konferencji w Warszawie. Cieszyłam się razem z nim. Zaskoczył nas deszcz, a Łazienki pachniały wtedy świeżo rozkwitym bzem. Przy pomniku Szopena ktoś grał nastrojowe preludia. Chwilę tę zatrzymałam w pamięci jako antidotum na smutek.

I potem przyszły pęknięcia – lata ciężkie, tragiczne i u Janka, i u mnie. Śmierć bliskich. Świat stracił urok i barwy.

... „Ścichł odgłos kroków... Ostatni ślad  
pocięta linia nieboskłonu Nim spadnie mrok  
zrozumiesz wymiar akustycznej próżni po  
której będzie się błakał zdradzony dźwięk  
twoich słów...”

Zamknęliśmy się w swoim smutku i oddalili. Wróciliśmy jednak oboje do ludzi.

W roku 1991 otrzymał III nagrodę w konkursie literackim „Źródło”. Ostatnio Janek pisze więcej tekstów do naszego tulowskiego kabaretu, które często są publikowane przez radio.

Zaskakuje mnie nowymi pomysłami, ale nie wiem, jaka jest jego aktualna percepcja harmonii świata, której starał się być wierny w życiu i poezji. Świat już nie ten, a on ciągle szuka PRAWDY i PIĘKNA. ... „Sam szukam klucza do prawdy – taka moja kluczowa pozycja – Tymczasem dorabiam klucze na życzenie moich Klientów

– Do serc samotnych okradzionych z  
uczuc, wstawiam za darmo nowy  
zamek – patent...”

Zdaje mi się, że i do własnego serca próbuje wstawić nowy zamek. Nie pracuje już w szkole. Zlikwidował mieszkanie w Samostrzelu, a tym samym zakończył pewien etap życia. Przeniósł się do Szubina i pisze:

... „Fraszce poświęcam swój czas wolny. Bawię się nią jak mały Szczeniak. Chleba mi dopilnuje rolnik a Polski – chłopcy od rządu...” Zastanawia się, jak to jest teraz, u progu XXI wieku: ... „Ma Polak razem Polski dwie... patriotyzm to najczystszy Tę, która w sercu jest na dnie i tę, gdzie bieda piszczy i Polska byłaby ‘O key’ gdyby nie wieszczą sprawa że z wierzchu, jak i w głębi swej nasz naród znów jak lawa...”

Ostatnio w Almanachu Klubu Literackiego nauczycieli Pomorza i Kujaw z 1997 r. przeczytałam nowe wiersze Janka, w innej tonacji. ... „Kocham Cię i szanuję Bo coś jest bardziej cenne. A Ty się zachowujesz jak mocarstwo ościenne! ... „Chcę Ci lato dać miła jesień wypłacić w złocie, lecz na próżno wysyłam do Cię notę po nocy... Chciałbym Cię jednym gestem zdobyć – lub w kilku ratach – ale dla Ciebie jestem wciąż persona non grata...”

Zdawało mi się, że Go już dobrze znam, ale znowu nie wiem, czy te słowa to nowa jakaś fascynacja czy dawny kompleks?

Janek mieszka z synem i Jego Rodziną we własnym domku, w zacisznej uliczce w Winnicy k. Szubina. Za bramą jest ogród pełen kwiatów i starych drzew, w którym bawią się Klaudia, Asia i Szymon – nowe pokolenie rodu Pieńkowskich.

Z liści, w wiankach na głowach – nosiły jakieś gałązki, kamyki, coś układały.

„Budujemy nowy świat” – odpowiedziały na moje pytanie. Daj Boże – pomyślałam.

Wiersz Janka z ostatniego Almanachu, zatytułowany „Potwierdzam” – ucieszył mnie. Jest w nim stoicki spokój i, mimo wszystkich rozterek i niepokoju, zgoda na siebie samego.

...„Potwierdzam bez patosu –  
że moja Planeta  
jeszcze wciąż  
istnieje...  
Okazjonalnie i wybiórczo  
potwierdzam,  
że jeszcze sam  
istnieję  
Jeszcze widzę – słyszę – myślę –  
Jeszcze czuję,  
ostrzej niż inny  
dowolny blok materii,  
Jeszcze wierzę...”

## DOROBEK HUMANISTY PEDAGOGA

Jadwiga Harasimowicz1. „Jak uczyć historii” – refleksje nauczyciela  
po zjeździe historyków we Wrocławiu

Słuchając referatów i dyskusji wybitnych historyków podczas zjazdu (wrzesień 1999 r.), czytając ich wypowiedzi i polemiki, zastanawiałam się, co z tego powinien wynieść nauczyciel historii na użytek codziennej pracy z młodzieżą, która obecnie specjalnie nie fascynuje się tym przedmiotem.

Prof. Wojciech Wrzesiński, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, twierdzi, że „musimy odejść od modelu nauczania, polegającego na wkuwaniu zestawień faktów, dat i nazwisk. Powinniśmy uczyć rozumienia procesów historycznych ...”

Nasze nauki historyczne już po I wojnie uplasowały się dobrze na forum międzynarodowym, a po II wojnie, mimo trudnego okresu stalinowskiej izolacji, mają duże sukcesy. Jeden z twórców tzw. „historii integralnej”, Ferdynand Broudel, oparł koncepcję kultury materialnej, między innymi, na doświadczeniach szkoły polskiej. Mimo trudności związanych z systemem politycznym, polscy historycy zapisali się chlubnie w ostatnich czasach na wielu płaszczyznach działania. Zaczęli być obecni, i to znacząco, w historiografii światowej. Prowadzą badania w świecie o wiele szerszymi metodami i lepszymi narzędziami oraz nowocześniejszymi urządzeniami. Opracowali dzieje Polski na szerokim tle powszechnym, jak również problemy tak zwanej „młodszej Europy”.

Rozumienie procesów historycznych to m.in. uświadomienie sobie wielkiej różnorodności świata i tych procesów, to poznawanie prawdy o przeszłości i rzetelnej, obiektywnej interpretacji zdarzeń.

Warto np. zasygnalizować młodzieży, że toczy się naukowa dyskusja, czy w tworzeniu państwa polskiego brały udział elity plemienne, jak mnie uczono, czy zupełnie nowe wtedy grupy społeczne. Badając nowymi metodami tworzenie się państw, konieczne jest poznawanie ewolucji struktur społecznych, które przechodziły olbrzymie przemiany w ciągu stuleci. Ziemie słowiańskie i ich kultura stale korzystały z doświadczeń Wschodu i Zachodu oraz stanowiły, według prof. Henryka Samsonowicza, „Komorę przejściową”, między jedną i drugą cywilizacją i były ważne dla obu tych światów – Rzymu i Bizancjum. Uczeń powinien rozumieć, że kierując się ku kulturze Zachodu, Polacy dokonali trafnego wyboru, ponieważ

związali się z tym kręgiem kulturowym, który miał największe szanse rozwoju. Proces europeizacji przebiegał w średniowieczu jednocześnie z kształtowaniem się własnej kultury. W XVI w. demokracja szlachecka w Polsce głosiła aktualne do dziś hasła: wolność, samorządność, tolerancja, społeczeństwo obywatelskie.

Idea Jagiellońska była ideą wspólnoty. Kościół, cerkiew, meczet i synagoga zgodnie stały obok siebie, czego nie było w całej Europie. Centrum życia społecznego Żydów od XIV w. znajdowało się w Polsce. Z tym krajem wiąże się 1/3 ich historii, o czym mówił na zjeździe profesor Goldberg, podkreślając, że duża migracja Żydów rozpowszechniła w świecie wiedzę o Polsce.

Niemiecka historiografia uznawała tymczasem brak absolutyzmu w Polsce za zacofanie, chociaż fakty wykazały, że droga do współczesnej, europejskiej i amerykańskiej demokracji wykształciła się po rewolucjach w Anglii i Francji, obalając rządy absolutne.

Uczeń powinien rozumieć, że stara Europa budowana na fundamencie chrześcijańskim była „jednością w różnorodności” i że ta idea wędruje do naszych czasów.

W końcu XVIII w. rodzi się republikańska formuła europejskiej jedności z hasłami walki o wolność, oświaty dla ludu, emancypacji niższych warstw oraz kobiet. Nie widać natomiast integracji ekonomicznej, wielkie mocarstwa prześcigają się w walce o kolonie i rynki zbytu. Należy zwrócić uwagę na fakt, że hitlerowski socjalizm również odwoływał się do jedności europejskiej, ale bez Słowian, Żydów i Romów. Nordycka rasowa jedność była karykaturą ludzkiej wspólnoty.

Trzeba tłumaczyć uczniom, że dzisiejsza europejska jedność pojmowana tylko w pojęciu obronnym i ekonomicznym nie ma pewnej przyszłości. Europa obecnie jest bardzo różnorodna i tak też będzie w przyszłości. Będą zanikać granice polityczne, ale pozostaną językowe i kulturowe z całą wieloznacznością i pluralizmem.

Fakt, Polska będzie wschodnią flanką Unii Europejskiej i obok Finlandii będzie miała najdłuższy odcinek zewnętrznej granicy Unii. I wielki rynek, i młode społeczeństwo do pracy. Od wieków jest pomostem zjednoczonej Europy na wschód. Od nas tylko zależy, czy będąc we wspólnocie państw europejskich, będziemy utrzymywać swoją tożsamość, zachowując tradycje i rozwijając własną kulturę.

O tym trzeba rozmawiać z młodzieżą.

Ogromnie ważną sprawą w zreformowanej szkole są podręczniki, których drukuje się obecnie wiele.

Uważam, że Ministerstwo Edukacji Narodowej kierując je do szkół, powinno zwrócić się do zawodowych historyków z prośbą o recenzje. Naukowiec, który nie ma doświadczenia w pracy z uczniami szkoły średniej, nie napisze na ogół dobrego podręcznika, ale oceni rzetelność i prawdę historyczną opisywanego okresu. Młodzież musi wiedzieć, że historia przypomina lamus, z którego to, co potrzebne, czerpią najczęściej politycy, wykorzystując czasem fałszywe, tendencyjne interpretacje do swoich celów. Przykładem niech będzie podręcznik historii Józefy Rytłowej, który do roku 1950 stawał się permanentnym narzędziem indoktrynacji uczniów szkoły podstawowej. I jeszcze dzisiaj niemało fałszywych wyobrażeń przenika „do dydaktyki i podręczników szkolnych” – pisze prof. Wrzesiński na łamach „Odry”, wspominając między innymi podręcznik Leszka Szczęśniaka.

Nie jest możliwe poznanie prawdy historycznej, gdyż takowa nie istnieje – powiedział na zjeździe prof. Beauvois, wywołując ożywienie dyskusji, szczególnie w kuluarach. Natomiast prof. Samsonowicz rozwój nauki wiąże z nadzieją dowiedzenia się, „jak było naprawdę”.

Prezydent Aleksander Kwaśniewski na zjeździe powiedział, że „poznanie historii będzie pomocne przy przełamywaniu passy złych doświadczeń, że nas historia uczy zawierania kompromisów ...”

Musimy na lekcjach mówić swoim uczniom, że groźne dla kraju i sąsiadów koncepcje polityczne tworzą się wtedy, gdy wychowanie historyczne jest zaniedbane. Również muszą oni wiedzieć, że gdy sięgamy bezkrytycznie w przeszłość – stajemy się zbyt konserwatywni, natomiast nadmiar historii jest balastem obciążającym następne pokolenia, ale w ogóle społeczeństwo bez znajomości historii traci system wartości i staje się kalekie.

Jak już wspomniałam, historia jednak często jest manipulowana.

Patrzmy i czytamy z ubolewaniem, jak w publicznych mediach następuje odchodzenie od faktów, a hipotezy pozbawione uzasadnienia stają się kategoriowymi twierdzeniami. Media nie tylko powtarzają utrwalone stereotypy, ale często tworzą – wręcz nowe, całkowicie fałszywe, niezające potwierdzenia w źródłach – mówi prof. Wrzesiński.

Stąd wniosek, że nauczyciele nie mogą bezkrytycznie przyjmować różnych relacji polityków i dziennikarzy. Muszą śledzić poważne artykuły historyczne i nowe publikacje, by nie wypaczyć naszych dziejów.

Prof. Henryk Samsonowicz razem z prof. Januszem Tazbirem piszą w serii „A to Polska właśnie” historię Polski od początków państwa do dziś. Myślę, że będzie to uczciwe „szukanie prawdy”. Natomiast w cyklu „Zrozumieć Europę” wyszła najnowsza historia prof. Samsonowicza „Północ-Południe”.

Jak więc we współczesnej szkole uczyć historii wolnej od tendencyjnej interpretacji? Przede wszystkim musimy pokazać nasze miejsce w historii powszechnej dawniej i dziś. Myślę, że pomocna będzie tu metoda blokowa – czyli korelacje z językiem polskim i lekcjami wychowawczymi. Trzeba nauczyć rozumienia procesów historycznych, przyczyn i skutków wydarzeń. Należy ukazać warunki życia codziennego, rozwój kultury i cywilizacji na przestrzeni wieków, nie tylko przebieg wojen i stosunków politycznych. Mówiła o tym już w 1997 r. na jednej z sesji nauczycielskiej Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych dr Eleonora Trzcińska z Łodzi, pytając już na wstępie wykładu „Czy historia ludzkości to tylko wojny?”

„Trzeba też ograniczać nauczanie wyłącznie polonocentryczne” – radzi prof. Wrzesiński. – Uważam, że trzeba wspólnie z młodzieżą zastanowić się, co buduje teraźniejszość i jakie są przyczyny błędów. Jeśli uczy my tolerancji dla innych poglądów – spełniamy swe zadania jako wychowawcy. Jeśli historii używa się od wywoływania agresji wobec „obcych”, do podburzania nacjonalistycznych nastrojów, to popełnia się ciężki grzech, szczególnie wobec młodych ludzi”.

Kończąc moje rozważania, chcę zwrócić uwagę na więzi emocjonalne naszych wychowanków z przeszłością, z ludźmi, którzy tworzyli postęp, walczyli o wolność i byt państwowy – oddając życie, często tak bardzo młode. Trzeba łączyć historię z literaturą! Sięgać do rodzinnych tradycji uczniów, namawiać do poznawania własnych korzeni, do losów ich małych ojczyzn – wtedy historia stanie się żywa, bliska i ciekawa.

## 2. „Lekcja patriotyzmu”

Przechadzając się swoją ulicą Kasztanową 11 listopada, stwierdziłam ze smutkiem, że na wielu balkonach nie powiewały biało-czerwone flagi. Inaczej kiedyś było 22 lipca... Mój zły nastrój pogłębił komunikat radiowy, że w Chicago polska dzielnica radośnie witała dzień od-

zyskania niepodległości umajonymi ulicami i licznymi imprezami. Dzwoniłam do znajomych nauczycieli – niestety – w wielu wrocławskich szkołach nic się z tej okazji nie działo.

Nie wszędzie, na szczęście, tak było.

Cieszy fakt, że nasi tulowscy działacze docenili wychowawcze znaczenie tego narodowego – polskiego święta.

Miłą niespodzianką było zaproszenie do Szkoły Podstawowej w Wiąchowiu Wielkim (20 km od Milicza) na 10 listopada. Było to bardzo wzruszające spotkanie. Dzieci z klasy V przygotowały montaż słowno-muzyczny „Polskie drogi do wolności”, który opracowała Basia Kwiecień – nauczycielka języka polskiego, nasza tulowska działaczka. Chłopcy przebrali się za żołnierzy różnych epok, kilka dziewczynek za sanitariuszki. Byli i ranni w bandażach. Harcerze mieli chorągiewki, „mapy sztabowe” własnego wykonania, daty ważnych wydarzeń na tablicach. Wiersze mówiły dzieci ze zrozumieniem i uczuciem. A gdy zaśpiewały „Pierwszą Brygadę”, którą podchwyciła cała sala, nie mogłam powstrzymać łez, bo to przecież pieśń mego Ojca-legionisty.

Gośćmi na tej uroczystości byli: starosta, radni, księża, rodzice i nauczyciele. Szczególnie serdecznie witano dwie panie emerytki, które organizowały przed laty tę szkołę. Dzieci wręczyły im kwiaty.

Prof. Czesław Opaliński – prezes Regionalnego Oddziału TUL-u podziękował Basi, dyrektorowi Mirosławowi Pakulskiej oraz dzieciom z V klasy za patriotyczne pieśni i wiersze oraz całą scenografię. „Wasz występ ukazał nam trudne drogi do wolności... Uczciliśmy dziś razem pamięć tych, którym zawdzięczamy niepodległość, a wy będziecie ją utwierdzać w nowym Tysiącleciu” – zakończył przy oklaskach sali wypełnionej młodzieżą.

W Zespole Szkół Rolniczych w Miliczu nauczycielka języka polskiego Bogusia Krawczyk i instruktor tamtejszego Zespołu Pieśni i Tańca Andrzej Kątnik zorganizowali 10 XI uroczysty Apel. Młodzież i Grono Pedagogiczne wysłuchali w sali sportowej wierszy i pieśni patriotycznych w montażu uwypuklającym znaczenie dążenia narodu do wolności. Oklaski otrzymali także tancerze, którzy w barwnych strojach zaprezentowali polskie narodowe tańce.

Chwile były naprawdę wzruszające, co często się zdarza w Miliczu, gdzie widać codzienną pracę wychowawczą dyrektora Kazimierza Kreski i większości Grona Pedagogicznego związanego z Towarzystwem Uniwersytetów Ludowych.

Ula Drożdżyńska – polonistka z Technikum Rolniczego w Sławie również przygotowała uroczystość z okazji 11 Listopada. Młodzież starsza przypominała dzieje Polski – od rozbiorów do Legionów Piłsudskiego, a w tym starania dyplomatyczne Ignacego Paderewskiego i Romana Dmowskiego. Tam też śpiewano „Białe róże” i „O mój rozmarynie”, no i naturalnie „Legiony”.

Natomiast Józek Gościej, działacz tulowski i nauczyciel języka polskiego w Technikum Rolniczym w Marcinkowicach k. Nowego Sącza, napisał mi, że powiatowe obchody święta narodowego rozpoczęto Mszą Świątą w Kaplicy Cmentarnej, a potem Apelem Poległych, bowiem Legiony Polskie Piłsudskiego stoczyły (6 XI 1914 r.) w Marcinkowicach krwawą bitwę z okupującymi Nowy Sącz oddziałami rosyjskimi. W bitwie tej poległo wielu legionistów, których wspólną mogiłą na wojennym cmentarzu 11 XI pokryły wiązanki kwiatów. Tym jedynym w Polsce cmentarzem legionistów opiekuje się Józek – kierownik Historycznego Szkolnego Muzeum, razem z młodzieżą.

W muzeum jest wiele pamiątek związanych z datą 11 listopada. W Marcinkowicach przed bitwą we dworze (dzisiejsza szkoła) gościł Józef Piłsudski, a kubek, z którego pił mleko, ma honorowe miejsce w muzeum szkolnym. W listopadzie przyjeżdżało tu wiele wycieczek

z całego kraju, a że Józek potrafi wzbudzić patriotyczne uczucia i zachęcić młodzież do poznawania losów i kultury własnego narodu – nie wątpię.

Z inicjatywy Komisji Humanistycznej odbyło się (17–19 listopada) ciekawe seminarium w Zespole Szkół Rolniczych w Radoryżu, poświęcone działaczom niepodległościowym, wybitnym pisarzom – Ignacemu Kraszewskiemu i Henrykowi Sienkiewiczowi. Głównym organizatorem był działacz TUL-u – Henryk Milanowicz, nauczyciel historii.

Radoryż leży w pow. łukowskim położonym na styku Mazowsza i Podlasia. W jego skład wchodzi dwa miasta Łuków i Stoczek Łukowski oraz 9 gmin. W powiecie znajduje się 36 szkół średnich i 91 obiektów zabytkowych – pałaców, dworców, kościołów, kaplic, zespołów poklasztornych, parków, wiatraków i młynów... Mówił o tym starosta Jan Szczygielski (nauczyciel historii), który z wielkim zaangażowaniem włączył się w organizację obchodów 11 Listopada. Również wicestarosta Władysław Mika i wójt gminy Krzywola Bolesław Ptasieński (obydwaj nauczyciele) aktywnie uczestniczyli w seminarium.

Pierwsza wzmianka o Radoryżu pochodzi z roku 1420. W wieku XVI Radoryżycy zbudowali pałac z pięknym parkiem, który zniszczył potop szwedzki.

Po wystąpieniu Jerzego Józwiaka dyrektora szkoły tulowscy goście zaśpiewali „Błogosławioną dobroć człowieka”, następnie poprosiliśmy księdza dziekana Jana Grochowskiego o modlitwę za tych, którzy polegli na tej ziemi w walce o wolność. Wszyscy w ciszy i skupieniu wysłuchali wzruszających słów kapłana.

Dyrektor Muzeum H. Sienkiewicza w Woli Okrzejskiej p. Antoni Cybulski przedstawił bardzo interesująco działalność autora „Trylogii”, podkreślając m.in. starania o pozyskanie środków i sojuszników dla sprawy niepodległości Polski.

Po przerwie wystąpiła dyrektor Muzeum Ignacego Kraszewskiego w Romanowie Anna Przybysławska, omawiając bogatą działalność pisarza.

Po obiedzie zwiedzaliśmy hutę szkła w Hucie Dąbrowej i zabytkowy kościół w Rodoryżu Kościelnym. O zmierzchu dotarliśmy do Muzeum Sienkiewicza w Woli Okrzejskiej, po którym oprowadzał nas znany nam już dyrektor Antoni Cybulski.

Wspaniały Człowiek! On żyje Sienkiewiczem i życiem jego bohaterów oraz losem muzeum. Po powrocie do Wrocławia zobaczyłam p. Antoniego w I programie TV, jak przekonywał władze lokalne o znaczeniu Muzeum Sienkiewicza w ich regionie, które wg nich jest nierentowne... (!)

W muzeum podziwialiśmy też patriotyczny występ dzieci ze szkoły podstawowej w Woli Okrzejskiej przygotowany przez żonę pana Cybulskiego z okazji 11 Listopada.

I znowu się wzruszyłam. Poruszyło mnie to, że dzieci z małej śląskiej wsi, z Wiąchowa, i te z pogranicza Mazowsza i Podlasia, z Woli Okrzejskiej, czują to samo, znają te same teksty patriotycznych pieśni i rozumieją, co mówią i śpiewają – z takim wielkim przejęciem. Nie trzeba wielu traktatów o wychowaniu patriotycznym – trzeba tylko takich nauczycieli, którzy Przyszłość budują na Przeszłości.

### 3. „Jacy jesteśmy, dokąd idziemy?” Nadzieje i zagrożenia XXI wieku

We wrześniu 1995 r. w San Francisco zebrał się tak zwany Szczyt Świata, czyli konferencja 500 czołowych polityków, bossów gospodarki i naukowców ze wszystkich stron globu. Uczestnicy konferencji nie mieli wątpliwości, że w XXI w. wystarczy 20% ludzi zdolnych do pracy, aby utrzymać rozmach globalnej gospodarki. A reszta? Co z blisko 80% ludzi bez pracy? Jeremy Rifkin, Amerykanin, w książce „Koniec pracy” pisze: „będą nie lada światowe problemy”. Zastanawiano się, czy radykalnie zmniejszonej liczby ludzi aktywnych zawodowo nie trzeba będzie chronić zbrojnie przed masami, które nie zechcą z pokorą uznać swego losu?

W efekcie komputeryzacji i automatyzacji nastąpią zmiany niewyobrażalnie głębokie i rozległe. Elity ogłaszają, że motorem ludzkiego działania jest ZYSK. Ale cała historia ludzkości nie wskazuje na możliwość utrzymania na dłuższą metę ładu społeczno-politycznego przeciw większości odrzuconych.

Można uznać, że zbliża się koniec naszej cywilizacji i musi powstać nowa wspólna całość gatunkowi ludzkiemu. Życie po ludzku to tworzyć świat w miłości. Jak ją tworzyć i jak tworzyć więc nową szkołę?

Świat końca XX w. odwoływał się też do głównych religii, aby wspólnie stworzyły wizję takiej cywilizacji, która pozwoliłaby przywrócić ład społeczny na ziemi, zapewnić pełną aktywność do samorealizacji i poczucie hierarchii wartości humanistycznych przy zaspokajaniu, w miarę sprawiedliwie, uzasadnionych potrzeb materialnych, odpowiedzialność za czystość powietrza wody i ziemi, zabezpieczenie pokojowego współistnienia.

W czerwcu 2004 r. odbyła się na Uniwersytecie Warszawskim międzynarodowa konferencja naukowa pt. „Młodzież pyta rządzących o losy świata i ludzi”. Instytut Nauk Politycznych przygotował wybór wypowiedzi studentów Wydziałów Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW pod redakcją prof. Bronisława Gołębiowskiego.

\*  
\* \*

Świat złożony z tak wielu społeczeństw, kultur, nacji, ludzi o różnych religiach i poglądach wymaga od każdego człowieka niezwyklej tolerancji, i to w każdym aspekcie życia. Warianty dyskryminacji, braku szacunku dla inności rodzą zawiść i agresję. Współczesna cywilizacja określiła już pewien idealny model człowieka, który jest w stanie twórczo funkcjonować w świecie XXI w.

Jaki jest ten nowy człowiek?

Ceni naukę, szanuje wszystkich ludzi, nie odcina się od środowiska ani niskich, ani wysokich lotów, otwarty na różnorodność świata, uprawia szeroko rozumiany ekumenizm, współdziała z ludźmi każdego szczebla, nie ceni zbytniego luksusu, ale ceni piękno i estetykę.

Gotów jest wspierać innych, gdy są tego warcii. Uważam, że idea wychowania takiego człowieka przyszłości może być zrealizowana bez udziału biogenetyki i klonowania.

Ludzie są stworzeni do przetrwania i stopniowego rozwoju.

Wiek XXI to czas, w którym człowiek musi wznieść się na wyższy poziom, nie tylko techniczny, ale moralny i dążyć do międzynarodowej integracji. Ludzkość potrzebuje zgodności rządzących i rządzonych, ochrony życia każdego i ludzkiej godności oraz kompromisowych rozwiązań międzynarodowych problemów.





Wypowiedzi te pokazują, jak różne są odczucia młodych, wykształconych Polaków. Co ich nurtuje? Nurtują i niepokoją ich przede wszystkim nasilające się podziały społeczne, bezrobocie, bieda i narastająca patologia, polityczne matactwa i prywata elit politycznych, afery gospodarcze i wadliwe prawo, brak wzorców osobowych i autorytetów, słaby wpływ wychowawczy szkoły, brak pozytywnych przykładów w mediach... Mają jednak młodzi optymistyczną wizję nowego człowieka XXI w.

## 4. Człowiek XXI wieku i wychowanie. Jesienne seminarium w Tarnowie Jeziernym

Świat nie jest pustynią tyle wokół  
kwiatów przyjaźni tak dużo owoców  
dobroci marzeń i nadziei Otwórz oczy!

Tym przesłaniem wrocławskiego pisarza Czesława Rodziewiczza (kuzyna autorki „Dewaj-tis”) otworzyliśmy już tradycyjnie w jesieni seminarium w Tarnowie Jeziernym koło Sławy na temat „Wartości człowieka w XXI wieku – a wychowanie”. Wieczorem 24 września przyjechali do zameczku myśliwskiego tulowcy z Wrocławia, Milicza, Środy, Koźuchowa, Sławy i Złocienica koło Szczecinka. Spotkanie przy kominku było radosne, a wymiana wakacyjnych wrażeń ciekawa.

Po śniadaniu 25 IX 2004 r. prezes Oddziału Regionalnego dr Andrzej Sienkiewicz oficjalnie przywitał przybyłych gości i omówił tematykę naszego seminarium. Następnie Jadwiga Harasimowicz przekazała poglądy studentów Wydziałów Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, którzy wypowiedzieli się w publikacji i dyskusji na Międzynarodowej Konferencji w Warszawie (15 VI 2004 r.), zorganizowanej przez prof. Bronisława Gołębiowskiego i prof. Mirosławę Jaworowską. Temat ich rozważań to „Młodzież pyta rządzących o losy świata i ludzi”.

Po kontrowersyjnej wymianie opinii i ocen współczesnej młodzieży odbyła się panelowa dyskusja, którą przeprowadzili naukowcy Oddziału Wrocławskiego TUL-u prof. Ewa Sienkiewicz i prof. Jan Kaczmarek z Akademii Rolniczej oraz dr Leokadia Kiełb z Uniwersytetu Wrocławskiego na temat: „Wartości człowieka XXI wieku w świecie nauki”. Przedstawiono znaczenie odkryć w warunkach przyrodniczych, jakie się dokonały w ostatnich latach, a szczególnie w biologii i medycynie. Omówiono znaczenie rozwoju biotechnologii i jej wpływ na przyszłość cywilizacji. Zwrócono uwagę na aspekty moralne klonowania i wykorzystywania do tego celu zarodków ludzkich.

Również ukazano możliwość terapii genowej przy użyciu komórek macierzystych do regeneracji różnych narządów, a szczególnie wykorzystanie komórek szpiku kostnego. Poruszano też zagadnienia związane z tworzeniem i uprawą roślin genetycznie modyfikowanych (GMO), które stają się surowcem do bezpośredniego spożycia.

W ogólnej dyskusji zwrócono uwagę, by uczelnie, przekazując młodzieży akademickiej najnowsze osiągnięcia wiedzy, uwzględniały aspekty moralne. Stwierdzono, że nie uciekniemy od postępu wiedzy, ale musimy zdawać sobie sprawę – przy badaniach naukowych i stosowaniu ich wyników w praktyce – z konieczności przestrzegania norm etycznych wynikających z szacunku dla istoty ludzkiej.

Po przerwie mgr Ula Drożdżyńska przedstawiła bardzo wnikliwie poglądy młodzieży szkolnej i rodziców na temat wartości, jakimi się w życiu kierują. Okazało się, że w wyborze tematyki seminarium trafiliśmy w dziesiątkę, bowiem temat wartości znajdował się w kuratorskich sprawozdaniach uczniów gimnazjalnych.

Po obiedzie w Sławie wróciliśmy do zameczku i przez dwie godziny omawialiśmy problemy wychowawcze w szkołach i na uczelniach.

Wieczorem, w blasku kominka rozśpiewana i roztańczona „Biesiada tulowska” ożywiła zmęczonych poważną debatą uczestników. Do późnej nocy zameczek rozbrzmiewał muzyką i śpiewem, a gospodarze seminarium Władysław Stępczak – dyrektor Zespołu Szkół Ponadpodstawowych w Sławie, Ula Drożdżyńska – polonistka i Witold Tacewicz – kasztelan zameczku okazali wszystkim swoją gościnność i serdeczność. Rano w niedzielę, (26 IX) Ula przekazała informację o obradach V Ogólnopolskiego Zjazdu Pedagogicznego, który odbywał się we Wrocławiu od 23 do 25 września 2004 r.

Po pożegnalnym śniadaniu część grupy jeszcze zwiedzała kościółek w pobliżu Sławy, gdzie nasze „Milickie słowiki” odśpiewały „Błogosławioną dobroć” oraz pracownię ludowego rzeźbiarza.

Merytorycznie oceniam seminarium bardzo wysoko, a radość budzi wspólnota ludzi z różnych pozycji społecznych, regionów. Myślę, że więź psychiczna, jaka istnieje między wrocławskimi tulowcami, wynika z tego, że dostrzegają „kwiaty przyjaźni i owoce dobroci”. Mają nadal marzenia i mimo różnych codziennych trosk potrafią się uśmiechać do innych ludzi.

## 5. Wychowanie przez sztukę

Gdy zwariowany uczeń wrocławskiego liceum zaatakował w szkole dwie nauczycielki, cała prasa i telewizja komentowały ten tragiczny i niespotykany wypadek. Środki masowego przekazu podają najczęściej przykłady zdziczenia i okrucieństwa młodych ludzi. Jakże rzadko ukazane są pozytywne i piękne postawy młodzieży.

Tak było i z festiwalem szkół rolniczych województwa dolnośląskiego, który odbył się w kwietniu 1999 r. w Leśnicy (dzielnicy Wrocławia) w Domu Kultury „Zamek”. Lokalizacja imprezy była celowo wybrana ze względów historycznych, ponieważ I zamek w Leśnicy powstał w 1132 r., a wzmianka w dokumentach wystawionych przez Henryka Brodatego dla wrocławskiego Klasztoru Augustianów na Piasku, potwierdza istnienie w Leśnicy Kurii Książęcej. W zamku często przebywała żona Henryka Jadwiga – patronka Śląska, kanonizowana w 1243 r.

Burzliwe dzieje zamku stanowią dowód, że koło historii obraca się i często wraca do punktu wyjścia.

O festiwalu powiadomiono prasę wrocławską, radio i telewizję. Niestety, nie ukazał się żaden artykuł ani reportaż telewizyjny. Jedynie lokalne radio Wrocław i program I Polskiego Radia z Warszawy zrelacjonowały koloryt tej pięknej imprezy. Przeglądy dorobku artystycznego szkół rolniczych zapoczątkowano w dawnym województwie wrocławskim przez Ognisko Humanistyczne i kierownika Oddziału Oświaty Rolniczej Tadeusza Malawskiego w latach 70. Później kontynuowała tę tradycję w całym województwie wizytator oświaty rolniczej Maria Malczewska.

W tym roku, widząc brak inicjatywy ze strony czynników oświatowych, Zarząd Oddziału Wojewódzkiego Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych i Stowarzyszenie Inżynierów

i Techników Rolnictwa we Wrocławiu podjęły się trudu organizacji festiwalu, poczynawszy od opracowania koncepcji, pozyskiwania środków finansowych i bazy lokalowej. Celem przeglądu było:

- 1) dowartościowanie pracy młodzieży i instruktorów,
- 2) ocalanie od zapomnienia różnych aspektów kultury narodowej i ludowej,
- 3) kształcenie i umacnianie nawyku twórczego uczestnictwa w kulturze,
- 4) ukazanie efektów zajęć pozalekcyjnych,
- 5) motywacja do dalszej działalności kulturalnej.

Dyrektorzy 18 szkół podjęli inicjatywę i ich młodzież wystąpiła podczas przeglądu z bogatym dorobkiem artystycznym. Poszczególne dyscypliny: prace plastyczne, rękodzieło, zespoły muzyczne, zespoły pieśni i tańca, recytacje, poezja śpiewana, formy teatralne – oceniało profesjonalne jury z Teatru Muzycznego i Muzeum Etnograficznego oraz pracownik Radia „Wrocław”.

Organizatorom było bardzo miło, gdy na ich zaproszenie do pracy w jury przyjechał Janek Pieńkowski – polonista z okolic Bydgoszczy, Roman Szydłowski i Jerzy Szworgat – muzycy z Grzybna k. Poznania, no i Janusz Zwoliński, redaktor Polskiego Radia z Warszawy. Wszyscy pracowali przez dwa dni bezinteresownie. Takie przykłady współpracy i zaangażowania budują!

Praca dolnośląskich szkół rolniczych w dziedzinie kultury jest godna uwagi i uznania, zwłaszcza wobec stopniowego zaniku takiej działalności, przy dotkliwym braku środków finansowych. Dzięki zaangażowaniu oraz aktywności dyrektorów i nauczycieli realizuje się autentyczne wychowanie młodzieży twórczej i myślącej, zachowującej wartości kultury narodowej. Zajęcia artystyczne budzą szerokie zainteresowania oraz kształcą umiejętności organizacyjne i formy społecznego współżycia i działania, co tak wysoko cenił i o czym pisał często Ignacy Solarz.

Jakże pięknie prezentowała się młodzież w tańcach ludowych – ileż było w jej ruchach gracji, wdzięku i temperamentu. Poziom prezentacji zadziwił jury, w szczególności profesjonalnego aktora.

Na uwagę zasługuje Technikum Rolnicze z Kamieńca Żąbkowickiego ze spektaklem „Eko ekspres”. Młodzież jechała na przegląd za własne pieniądze i trzeba było widzieć jej radość, gdy zdobyła I miejsce. Spontanicznie i żywiłowo wyrażone emocje młodej publiczności były uzasadnione. Zgadzały się z werdyktem jury, co nie zawsze się zdarza nawet na prestiżowych festiwalach.

Własne, współcześnie brzmiące kompozycje muzyczne do słów znanych poetów Wojtka Szpila z Prac czy utwory Chopina grane przez uczennicę ze Sławy, lub pieśni Moniuszki wykonane przez trio dziewczęce z Wołowa, były przyjmowane ze zrozumieniem i aprobatą. Zbyt krzykliwe zespoły muzyczne z kiepską angielszczyzną i złą dykcją nie zyskały aplauzu. Natomiast próby tańca nowoczesnego podobały się i trzeba tę formę rozwijać. Rękodzieła wykonane przez młodzież oceniano anonimowo. Każda szkoła została wyróżniona za specjalne osiągnięcia. Jury I miejsce przyznało Centrum Szkolenia Ustawicznego w Pracach.

Patronat nad festiwalem przyjął Wojewoda Dolnośląski i ufundował nagrodę dla szkoły najbardziej zaangażowanej w kontynuowanie i krzewienie kultury narodowej we własnym środowisku. Otrzymał Zespół Szkół Rolniczych z Milicza. Młodzież tej szkoły należy do Środowiskowego Uniwersytetu, wyróżniając się aktywnością!, umiejętnościami organizacyjnymi. Urząd Marszałka Sejmiku Dolnośląskiego przyznał nagrody rzeczowe najlepszym Zespołom Pieśni i Tańca. Otrzymały je Zespoły Szkół Rolniczych z Chojnowa i Milicza.

Izba Rolnicza ufundowała komputer, który drogą losowania przez 6 szkół, które zdobyły I miejsce w różnych dyscyplinach, przypadł ZSR w Praczach. Prezes Fundacji Polskich Uniwersytetów Ludowych również przyznała nagrody w postaci książek oraz nagrody pieniężne, które otrzymały: Teresa Warych z Zasadniczej Szkoły Rolniczej w Rudnej i Teresa Jarmołowicz z ZSR w Rakowicach za spektakl teatralny na temat narkomanii.

W przerwach uczniowie z Zespołu Szkół Rolniczych z Jakubowie częstowali zebranych smaczną, estetycznie i elegancko podaną zdrową żywnością, napojami własnej produkcji.

Uważam imprezę w „Zamku” za bardzo udaną, ciekawą i o ogromnych walorach wychowawczych.

## 6. Polskie wigilie

W kulturze polskiej 24 grudnia ma szczególne znaczenie, nie tylko religijne, ale i emocjonalne, magiczne, społeczne i historyczne. Z dniem Wigilii pisarze i artyści łączą uczucia radości i nadziei, ale także bólu i troski w zależności od epoki, w której żyją i własnej wrażliwości.

Cyprian Kamil Norwid pisał:

...„Jest w moim kraju zwyczaj, że w dzień wigilijny,  
przy wejściu pierwszej gwiazdy wieczornej na niebie,  
ludzie gniazda wspólnego łamią chleb biblijny,  
najtkliwsze przekazując uczucia w tym chlebie”...

Adam Mickiewicz – urodzony w dzień Wigilii 24 XII 1798 r. – sceny więzienne w III części „Dziadów” oznacza datą 24 grudnia i opisuje prawdziwe wydarzenia, w których brał udział. Prześladowanie Polaków za rządów cara Aleksandra I stawało się coraz powszechniejsze i krwawsze. Do syberyjskich kopalń, taczek, azjatyckich garnizonów zsyłano nauczycieli, studentów i nieletnich uczniów w 1823 r.

Braterska zgoda i przyjaźń młodych więźniów, poświęcenie Tomasza Zana, kara Boża sięgająca szybko prześladowców, mają w sobie coś mistycznego.

Nastrój tajemniczości towarzyszy scenom wizyjnym III części „Dziadów”, które wprowadzają czytelnika w świat zjawisk nadprzyrodzonych, w świat dobrych i złych duchów. W celi więziennej Filomatów w Wigilię słychać słowa goryczy, smutku, zemsty, ale i otuchy.

W tę Świętą Noc chcą być razem w celi Konrada, co ułatwia im kapral-Polak. Konrad, zostawszy sam, w poczuciu siły i wielkości poetyckiej porównuje się w Wielkiej Improwizacji z Bogiem i podejmuje z Nim walkę, w której główną bronią jest uczucie – wielka miłość do swego narodu i ojczyzny.

W Klasztorze Bazylianów takie padają słowa Mickiewicza (wybrane przeze mnie), włożone w usta Konrada:

...”Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę.  
Cóż Ty większego mogłeś zrobić – Boże?  
...O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie!  
Jam tu, jam przybył, widzisz jaka ma potęga! Aż tu moje  
skrzydło sięga... Lecz jestem Człowiek...  
...Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona ciało... wszystkie przeszłe i

przyszłe jego pokolenia przycisnąłem tu do łona. ...Jam się twórcą urodził:  
stamtąd przyszły siły moje skąd do Ciebie przyszły Twoje Boś i Ty po nie chodził”...  
Konrad chce wydrzeć Bogu tajemnicę rządu nad duszami i jak Prometeusz walczyć  
o dobro i wolność swego narodu.

...”Jeśli mi nad duszami równą władzę nadasz  
Ja bym mój naród, jak pieśń żywią stworzył  
I większe niżli Ty zrobiłbym dziwo  
Zanuciłbym pieśń Szczęśliwą.  
...Daj mi rząd dusz!  
Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz  
Ja chcę duszami władać, jak Ty nimi władasz  
...Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością  
Ty jesteś tylko mądrością  
...Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niżli Szatan.  
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca!”

Ostre to słowa człowieka wobec Boga w Dzień Urodzin Jego Syna, ale czy my (choć  
pozbawieni pychy Konrada) w obliczu osobistego nieszczęścia czy nieludzkich wojennych  
cierpień nie mamy chwili zwątpienia w Boską Opatrzność?

Myszę, że bez intelektualnego niepokoju wiara byłaby tylko imaginacją, przyzwyczajaniem,  
nawet rutyną. Wiara musi opierać się na uczuciu, ale i na rozumie, na zgłębianiu  
tajemnicy bytu.

Nauka i kultura są progiem do spotkania z Bogiem, ale dalej są milczenie, tajemnica,  
której i w minionym tysiącleciu nikt nie odkrył do końca.

Poeci tworzą jakieś duchowe spotkania mistyczne. Często wiersz, zainspirowany rozumem,  
treści ma szersze, o których nie wie sam autor, ale człowiek wrażliwy i myślący znajdzie  
podteksty, które wynikają z głębi przeżyć poety i wnikliwszej percepcji świata oraz poszukiwania  
Prawdy. Wiersze Anny Kamińskiej nasuwają wiele intelektualnych refleksji. Bardzo  
zachęcam do jej poezji.

Po Powstaniu Listopadowym polscy emigranci w Paryżu pozbawieni gniazda rodzinnego  
starali się w dniu Wigilii spotkać i wspólnie śpiewać piękną, mądrą kolędę Franciszka  
Karpińskiego „Bóg się rodzi”.

Słynne były polskie wigilie w paryskim skromnym domu Adama Mickiewicza z siankiem  
pod obrusem i wrózeniem z jego traw, z kutią, śpiewem kolęd i niekończącymi się  
wspomnieniami z kraju lat dziecinnych i młodzieńczych.

A w kraju w 1883 r. Maria Konopnicka napisała wiersz „Z Szopką”:

„Przed dworskim gankiem stanęło ich czworo  
główki na mrozie odkrywszy z pokorą (...)  
Najmłodszy, dziecko drobne, co z drugimi  
stał wśród jasnej okien dworskiej łuny  
odziany w łachman, z stopami bosymi (...)  
I ponad gwiazdą klejoną z tektury  
wielkie i smutne oczy wzniosł do góry  
I myślał sobie „czemu to, mój Boże  
choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie?”

i czarnej mąki garść tylko w komorze?  
i nie ma ciepłej sukmanki na grzbiecie?  
i tatuś taki pijany z wieczora  
Matulę bije, choć płacze i chora? (...)  
A dzieci na wsi z maleńka już kradną  
A jego dotąd na książce nie uczą? (...)  
Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?  
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta  
żeby kto z dworu do chaty przychodził  
i mówił Bracia, Chrystus się narodził”.

Czemu? To pytanie brzmi i w okresie XX-lecia. Józef Czechowicz pisze w utworze „Wigilia”:

„Kolędo czarujesz, a łowisz jak niewód  
tak radziśmy cackom i świeczkom i drzewu  
Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj  
A Ty Go Matuniu w płaczu utulaj  
Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj  
Ty nigdy nie będziesz chodził o kulach  
Ach ślepi ach głodni nakryci gazetą  
po bramach śpią ludzie  
im sianem stajenki jest asfalt i beton  
z ciał można ułożyć piękny wzór  
Lulajże człowieku, lulajże lulaj  
ulubione pieścidełko samotności...”

Teofil Ruczyński skończył seminarium nauczycielskie w Lubawie. W 1939 r. osadzony na Pawiaku przeżył i w 1945 r. otworzył Szkołę w Dąbku k. Mławy w opuszczonym dworze. Organizował kursy nauczycielskie i sam pracował później w Olsztynie, wierny Warmii i Mazurom. Należał do Związku Literatów Polskich. Boleśnie przeżywał problem nierówności społecznej.

Oto wiersz – jeden z wielu:

„Gdy Szły Gody”  
„Na Mazurach, gdy szły Gody gdy już w śnie spoczęła  
gleba Oj, niejeden człowiek młody Szedł spod strzechy  
szukać chleba Rzucił błogi spokój chaty co, jak ta wigilia  
stara A nie miała dla swej dziatwy ani jadła, ni ubrania  
A u gbura, gdy szły Gody  
było gwarno i wesoło  
bo mięsiwo, ciasto, miody  
Rosły w krąg na wszystkich stołach Szła biedaczka, szła do  
gbura gdy zbliżały się już Gody gnana nędzą, ziąbem,  
głodem...”  
O szkolnictwie, o dzieciach, o starości i świętach pisze K. Gałczyński z ironią.  
„A któż na szybie maluje kwiaty, Czy mróz, czy mróz

dziecino? nie, to rączuchną dla Ciebie żabuchno Starosta  
ze starościną srebrzyste prążki, listki, gałązki dla ciebie,  
moje dziecino  
Hej tam w Warszawie jest pan minister  
siwy i taki miły,  
przez okno rzuca spojrzenia bystre,  
bo chce, by dla ciebie były  
zimną sopolki, śnieg i lody  
wszystkie świąteczne wygody...”

Smutne refleksje wigilijne wywołuje czas wojenny. W 1941 r. pisze Krzysztof Kamil Baczyński. Tytuł jak u Konopnickiej – „Z Szopką”:

„Górami białe konie przeszły  
trop dymiący w kłębach stanął.  
W gwiazdach płonąć, cicho trzeszczy  
Wigilijne siano (...)  
W naprężone kusze burz  
anioł biały – szopkę niósł (...)  
ujrzał w grudę wbite (...) ciało (...)  
poskręcane rydło rąk (...)  
i zawrócił  
W nieba plusk  
poczerniałą szopkę niósł...”

W 1942 r. Tadeusz Gajcy w „Nocy wigilijnej” skarży się:

„Więc choinka... A na sznurku pajacyk  
Kolędować Małemu... Niech krzepnie... (...)  
Lulajże w powrozie Lulajże na haku  
Niech się wyśni obrus biały i błyszcząca jodła...”

W 1943 r. Tadeusz Borowski nie ma nadziei i tak pisze:

„Nad nami noc goreją wigilijne gwiazdy dławiący trupi  
nieba fiolet zostanie po nas złom żelazny i głuchy,  
drwiący śmiech pokoleń”.

Po przeżyciu Oświęcimia rzucił się w wir pracy politycznej, uwierzył, że świat będzie lepszy po wojnie. Rozczarował się – popełnił samobójstwo...

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska też przeżywa wojenną Wigilię w wierszu „W święto rodziny”...

„O Refugies niebiescy, godni dziś zazdrości Nierozłączeni w swej  
gwieździe wyłącanej Szopce! Posłuchajcie kantyczki, którą wojna  
niesie: Maria martwo zrodzone oplakuje dziecię Józef odchodzi, w  
mroźne pognany zaświecić. Betlejem płonie... I reflektory w chmurnym  
wędrują bezkresie”...

Naturalnie, reflektory penetrują niebo, czy nie lecą bombowce, a poetka opiekowała się wojennymi sierotami.

Weselszą nutę do wojennej poezji wprowadza Michał Basa z Tarczku k. Iłży, syn biednego chłopca. Było ich w domu 14 dzieci. Szkołę podstawową skończył w Bodzentynie, działał w „Wiciach” i w ZSL. Dwa lata walczył w Batalionach Chłopskich i tam, w lesie, pisał wiersze. Zmarł w 1974 r. jako poeta ludowy.

Oto jego „Kolęda” napisana w Wigilię 1945 r. i jego radość wyrażona w prostych słowach, że „nasi biją”.

„Ido Niemce na pasterkę w tem roku. Wtem coś w górze zawarcało wysoko  
Hejże – ino bomby lecą  
Niechże im wprost w ślepią świecą  
To nasi lotnicy przecie  
to nasi, to nasi.  
Aż sam Hitler zmykoł co żywo  
Himmler w schronie go zatykoł, o dziwo!  
Hejże ino nasi biją  
Aze Niemce w bólu wyją  
W tym roku, w tym roku  
...składomy wom na ostatku zycenia  
niech Was Kraj się cołkiem w gruzy zamienia  
Dowiedzcie się, jak to dobrze  
cego Wom zycymy scodrze”.

A w 1948 r. K.I. Gałczyński po powrocie z Zachodu, po obozie, pisze „Wesołą Gwiazdkę” dla żony Nataliki:

„Zakochani idziemy pod rękę  
pod światłem Wielkiego Wozu.  
A pamiętasz czarną udrękę,  
gdy listy pisałem z obozu? (...)  
rzekę bólu do dna wtędym pojał  
i płynęły noce i dni  
z widłami w niemieckim gnoju  
lub na pryczach w Strafkompynie, (...)  
I znów ta uliczka pochyła,  
i tych klonów pod śniegiem rząd,  
Wesołych Świąt, moja miła,  
Miła moja! „Wesołych Świąt”!

Profesor Jan Szczepański w książeczce pt. „Korzeniami wrosłem w ziemię” z sentymentem wspomina swoje wigilie w jego chłopskiej rodzinie. „Boże Narodzenie to była zima, śnieg i mróz, bo w czasach mego dzieciństwa świat był dobrze uporządkowany... W Wigilię jodełkę ubierały siostry. Pamiętam – dopuszczenie mnie do udziału w tym misterium było jakąś pierwszą oznaką społecznej użyteczności.

Radość siedzenia w ciepłej kuchni, gdy za oknami, z lodem na szybach, zimna noc pełna dziwów i czarów trwa we mnie”...



Trwał też w pamięci W.S. Reymonta czas, gdy pracował na kolei w pobliżu Lipiec i mieszkał na wsi. Ten czas zaowocował chłopską epopeją. Wigilia w „Chłopach” jest charakterystyczna tym, że w ten święty wieczór zanikły w chacie bogatego Boryny różnice społeczne. Parobcy Kuba i Witek zasiedli przy jednym stole z całą rodziną...

„Gdyby nie było Reymontowskich „Chłopów” – nie byłoby fantastycznego zrywu chłopskiego w II wojnie. Chłop zrozumiał swoje znaczenie i rolę w życiu narodu” – pisał Kardynał Tysiąclecia – Wyszyński. A sam Reymont twierdzi w listach do przyjaciół „Spełniłem swój obowiązek wobec Ojczyzny – zapomniałem o zachodnich krajach – żyłem cudem tej naszej ziemi”.

Autor „Chłopów” znał dobrze problemy polskiej wsi. Już jako człowiek znany i zamożny był związany z ruchem ludowym.

Z rąk W. Witosa otrzymał legitymację PSL-Piast. Ostatnie lata życia spędził na wsi. On zapoczątkował Aleję Zasłużonych na cmentarzu warszawskim.

Ostatnio ukazał się wybór wierszy i piosenek Mariana Hemara pt. „Dom jest daleko Polska więź jest blisko” – poety, o którym nie mówiło się w szkole, bo był na Zachodzie, więc na indeksie. Jest w tej książce wiersz pt. „Wigilia”.

„Świat między nami  
Noc między nami  
śnieg.  
W śniegu zbłąkany  
w mroku ścigany  
zbieg.  
Na wysokości  
w czarnej ciemności  
Błysło  
Gwiazdą, I słyszę  
Noc szumi – w ciszy –  
Wisła.  
Sponad lichej stajenki  
zorce, świetlane pęki  
w ciemne niebo wytrysły  
A oto Trzej królowie...  
Ach, mąci się w sercu i w głowie  
Od szumu –  
Od szumu Wisły...  
A ta daleka rzeka  
Tak blisko, tak blisko szumi  
I już serce człowieka  
prostać nie umie”...

Pracował w redakcji Wolnej Europy. Bardzo tęsknił za krajem, do którego drogę miał zamkniętą. Ktoś powiedział o M. Hemarze, że to „nie jest osoba – to jest instytucja, która ma rozmaite departamenty”: liryka, satyra, fraszki, teatr, kabaret, piosenki, proza, krytyka literacka. Niedawno była we Wrocławiu Włada Majewska – piosenkarka, która opowiadała o nim i o jego fenomenalnych zdolnościach. Dla niej napisał wiele tekstów.

Pisząc o tematyce wigilijnej, chcę zwrócić uwagę na cykl obrazów Jacka Malczewskiego z końca XIX w. Studiując we Francji, zagłębił się w poezję Juliusza Słowackiego; obudziło to gwałtowną nostalgię i chęć powrotu.

„Nie mogę malować, jak mi się zdawało scen greckich, kiedy ja wszędzie widzę naszą ziemię, nasze twarze, nasze serca”.

„Co mnie bulwary Paryża, co mnie świata wielkiego zepsute obrazy, gdy ja mam w sercu kopalnie uczuć drogich i pamiątek”... – pisał do rodziców.

W 1877 r. maluje obrazy z Syberii. Inspiracje cyklu syberyjskiego szły od romantyków, twórców mesjanizmu. Cierpienia narodu polskiego miały być przejściowe i gwarantowały przyszły triumf wolności i pewność zmartwychwstania. Malczewski tak też mówił do swoich uczniów w Akademii, już jako profesor: „Malujcie tak, aby Polska zmartwychwstała”.

W 1882 r. powstaje obraz „Niedziela w kopalni”. Oparci o skały odpoczywają kobiety i mężczyźni, śmiertelnie znużeni. Są razem, a wszyscy osobno... Każdy zatopiony w swoich myślach. Smutny, tragiczny obraz. Maluje w 1883 r. „Śmierć Ellenai” i straszną samotność siedzącego obok mężczyzny. Jest tylko w głębi obraz Matki Boskiej, a na pierwszym planie martwa piękna dziewczyna. I wreszcie obraz „Wigilia na Syberii” z 1892 r. Stół nakryty białym płótnem, spod którego widać siano. W głębi dymiący samowar. Nalewa do szklanek złoty płyn mężczyzna – jeden z ośmiu. Na rogu stołu czarny chleb i nóż, a w rękę drugiego młodego mężczyzny biały opłatek. Chyba coś mówi... Ludzie są zatopieni w myślach, a może w modlitwie. Są jednak razem, patrzą na siebie. Na talerzach też są opłatki i wspólna lampka, i ta herbata nalewana dla wszystkich. Ta wspólnota samotności wigilijnej budzi nadzieję przetrwania.

Nadzieja też nie opuszczała więźniarek Oświęcimia, gdy zbierały się ukradkiem w noc wigilijną i dzieliły czarnym obozowym zaoszczędzonym chlebem. Ta wspólnota przeżyć dawała siłę.

Nie ma wojny. Wyrosło wolne drugie pokolenie, ale uczucie samotności nie znika. Jest i wśród nas. Pisze o tym ks. Wacław Buryła z Krośnie koło Milicza – znany już poeta.

„Wigilijna samotność”

„Mówią nasz proboszcz

nasz ksiądz

nasz przyjaciel (może być nauczyciel) uśmiechają się czasem

na drodze i wracają do swoich spraw potem siedzą połączeni stołem,

wigilijną bielą opłatek, świerkowymi słowami życzeń. A on krąży

między domami (ksiądz, nauczyciel, Ty) zapatrzony w znajome

okna... Sam wśród bliskich, którzy wciąż odchodzą... Sam wśród

obcych, zbyt zajętych sobą”.

A z lektury wspomnień obozowych-nauczycieli utkwił mi w pamięci jeden przerażający obraz. Syn komendanta (10-letni) obozu zaprzyjaźnił się z jednym z więźniów – Polakiem, germanistą. W Wigilię przybiegł do niego bardzo ucieszony ze słowami „Ojciec dziś podarował mi pistolet i mogę na apelu zastrzelić jakiego chcę więźnia.” Niesamowite.

Na zakończenie moich rozważań zacytuję życzenia świąteczne górala z Białego Dunajca, którego znałam osobiście. Andrzej Skupień-Florek skończył tylko 3 klasy szkoły podstawowej. Był to wspaniały społecznik i organizator. Opiekun zabytków i propagator kultury Podhala. Występował w telewizji i radiu. W 1960 r. otrzymał nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki za całokształt pracy literackiej. A oto „Zycenią Podłaźnika”:

„Niek będzie Pokwalony!  
Na szczęście, na zdrowie  
na to Boże Narodzenie  
coby się wam darzyło, mnożyło  
siećko stworzenie.  
Dej wam, Boże, co się tycy  
nolepse na świecie dzieci:  
śwarnyk chłopców, dziywczęta  
i ostomiłe wnucęta.  
W każdym kątku po dziesiątku  
a w kiesonce sto tysięcyków.  
Niek nie hybnie w studni wody,  
a w małżeński stadle zgody  
Syćcie zdrowi, weseli  
i byście wse mieli  
jako w niebie janieli Amen.”  
I ja też tego życzę. Dej nam Boże, dej.

## 7. Wspaniałe spotkania

„Moim wielkim pragnieniem jest, aby I Biesiada Krajeńska na stałe weszła do kalendarza imprez kulturalnych tej ziemi, podczas której będzie można na nowo „odkrywać urodę mojej małej Ojczyzny” – powiedziała w 1955 r. Danka Bąk, prezes Oddziału Regionalnego TUL-u w Pile z/s w Brzostowie.

I tak się stało.

W dniach 15–17 czerwca 1958 r. gościliśmy w Brzostowie już na VI Biesiadzie Krajeńskiej. Krajna leży między Notecią, Gwdą, Dobrzycką i Brdą. Po I wojnie została podzielona na dwie części – Krajne po stronie polskiej i Krajne Złotowską w granicach Niemiec. Obecnie Krajna jest jedna, o czym marzył ksiądz Bolesław Domański, który w okresie międzywojennym prowadził działalność spod znaku Rodła w „Domu Polskim” w Zakrzewiu – ośrodku polskości. Jego to słowa, często cytowane, że „lud polski się nie da”. No i nie dał się! Zaśpiewaliśmy przy Jego grobie „Ziemio nasza ziemio, kogoś nam zabrała”. Zadziwia, w obecnych trudnych czasach, solidarność ludzi tej ziemi i ich społeczna aktywność. Gospodarze spotkania to – Wójt Miasteczka Krajeńskiego mgr inż. Tadeusz Dąbrowski rodem z Grabowna, gdzie mieszkał słynny Drzymała, mgr Małgosia Włodarczyk – pracownik gminy, mgr Ewa Stachowska – dyrektor Domu Kultury, a w Zakrzewiu dyrektor „Domu Polskiego” mgr Barbara Szopińska, wójt gminy i ksiądz proboszcz, no i znana w okolicy autorka pięknych pieśni oraz obrzędów doktor etnografii, nauczycielka z Wielkiego Buczka dr Jowita Kęcińska, która chce się habilitować w Słupsku. Tulowców z całej Polski i gości z Niemiec kwaterował Zespół Szkół Gospodarki Żywnościowej im. Michała Drzymały w Brzostowie. Szczególnie serdecznie gościli nas: dyrektor szkoły mgr inż. Ruth-Kopczyńska i nasza mgr Danka Bąk, prezes tamtejszego TUL-u.

Sesja popularnonaukowa, którą prowadziły, była poświęcona działalności tulowskiej w Polsce i Europie oraz patronowi szkoły i środowiskowego uniwersytetu w Brzostowie – Wacławowi Popiołowi – dawnemu właścicielowi majątku i pałacu, w którym obecnie jest

szkola rolnicza. Referaty przygotowali – prezes ZK TUL mgr Zofia Kaczor-Jędrzycka, dr Tomasz Maliszewski z Uniwersytetu Gdańskiego i prof. Hans Howenberg ze Szwecji. Po obiedzie wróciliśmy do Domu Kultury na koncert Kapeli Ryp-cium-Pypcium z Zakrzewa. No i rozpoczęła się wspólna zabawa. Zespół zgrany i bardzo dobry muzycznie był niestrudzony. Stare i nowe rytmy poderwały gospodarzy i gości. Mieszkańcy Miasteczka, Zakrzewa i Buczka bawili się razem z nami. Zastawiane stoły nęciły regionalnymi potrawami i choć na sali było na pewno około 200 osób, ciągle były pełne, jak u Rzepichy – żony Piasta. Tylko tam cud sprawili aniołowie, a w Miasteczku sponsorzy, których naliczyłam przeszło dwudziestu. Wieczorem na dziedzińcu Szkoły w Brzostowie pod lipami odbyła się wzruszająca uroczystość odsłonięcia tablicy poświęconej Waławowi Popielowi, wspaniałemu Polakowi, mężowi i ojcu. Uczyniła to córka pani Anna Poraj-Wybranowska (tym herbem pieczętował się sam Zawisza Czarny), która przyjechała z Kanady. Elegancka 84-letnia pani, władająca kilkoma językami, działaczka kręgów polonijnych, interesowała się wszystkim, co działo się na biesiadzie. Żywy sposób relacji i poczucie humoru budziły duże zainteresowanie opowieścią o ojcu i losach rodziny wywodzącej się z Kresów. O działalności patriotycznej i społecznej Waławu Popiel mówił dr Stanisław Jagiełło i dyrektor szkoły w Brzostowie p. Ruth-Kopczyńska oraz wnuk dr Paweł Górski – organizator uniwersytetu ludowego w Żabnie k. Poznania. Do tego wieczoru, który spletał przeszłość z przyszłością, bardzo pasowały mi słowa pieśni Jowity Kęcińskiej „Tu nasz dom, tu żył nasz dziad i ojciec i my z tobą jesteśmy rodzinna wsi – gdzie buków szum pięknie brzmi”.

W sobotę 16 czerwca wyjechaliśmy autokarem do Zakrzewa, gdzie w Domu Polskim podsumowano i rozdano nagrody za udział w konkursie plastycznym „Moja Matka Boska Radosna”. Nie widziałam nigdy tego obrazu. Matka Boska jest tu bardzo dziewczęca, z jasnym warkoczem, w błękitnej sukni, z dzieciątkiem, które przytula do piersi. Już teraz wiem, dlaczego błękit tak utrwalił się na Krajnie w strojach i plastyce oraz malarstwie. Jest to kraina jezior, a ludzie tu jeszcze wierzą od lat, że gdy Maria szła miedzą wśród pól, strzęp Jej błękitnej szaty spadł na ziemię i rozsiał wokół modraki, czyli bławatki. Chór Tęcza z Zakrzewa tak śpiewa: „...Maki polne rumieńcem pałyły. Modraki kwitły, by dotknąć Jej stóp. A poziomki, borówki pachniały, by je podnieść do świętych ust”.

Słowa wszystkich pieśni układa p. Jowita. Cytuję je z pamięci, więc niech autorka wybaczy mi niedokładność. Oto jeszcze jeden fragment: „...Swym błękitem przybywamy/ Smukła Panno do Twych stóp/ kaszebsko nasza Matynko./ Tęsknimy do Ciebie/ Weź – prowadź kaszebski lud/ gdzie nieba wieczny byt....”.

Ksiądz proboszcz z Zakrzewa przypominał zebranych, że Matka Boska jest jedna w Kościele, a tylko artyści różnych epok ukazują Marię o odmiennych obliczach i czasem dochodzi do kłótni, która jest lepsza – czy ta z twarzą Częstochowy, czy z Ostrej Bramy? I miał rację. Mnie ta Radosna Maria bardzo przypadła do serca.

W sali Gminnego Domu Kultury profesor Uniwersytetu Gdańskiego, bardzo lubiany w tym środowisku Józef Borzyszkowski rozpoczął gawędę o „ścinaniu kani”. Jest to stary obrzęd kaszubski. W ludowym przekazie ptak kania jest przyczyną wszelkiego zła i należy go ściąć z całym ceremoniałem. Profesor znany z inteligentnego, celnego dowcipu, przedstawił główne nasze społeczne przywary, pomyłki i przekręty w codziennym życiu, winą obarczając za wszystko kanię. Była to bardzo ciekawa gawęda, która w pozornie lekkim tonie poruszyła główne nasze problemy – to wszystko, co nas boli.

Jeszcze śpiewały zjednoczone chóry w języku kaszubskim, a biesiadę zakończyło ciekawe widowisko autorstwa dr Jowity Kęcińskiej „Kiedy biją pioruny”, w którym brały udział

trzy pokolenia. W bardzo naturalny sposób przekazano różne zwyczaje i wiejskie zajęcia, pogaduszki, przysłowia i ciągoty chłopów do butelki. A potem była wielka uczta, do której zasiadło około 300 osób z trzech gmin i nasza tulowska grupa. Wieczór umiłał śpiewem kobiecy zespół z Dolnego Śląska, zaproszony przez Ewę Stachowską, która bardzo energicznie i z sercem kieruje Domem Kultury. Panie repertuar miały bogaty, rodzice ich przyjechali po II wojnie z Jugosławii, więc pieśni były różne i pięknie wykonane. Pani Anna z Kanady nie mogła się z tymi śpiewaczkami rozstać. Podziwiam jej radość życia i ciekawość wszystkiego, co dzieje się w małej ojczyźnie jej dzieciństwa i młodości. Orkiestra grała do późnej nocy i mieszkańcy bawili się w plenerze na stadionie – razem z naszymi tulowcami. W niedzielny pogodny ranek z zalem opuszczaliśmy gościnny Brzostów.

W ostatnich latach liczne gremia zgodnie stwierdzają postępujący spadek polskiej kultury – zanik czytelnictwa, załamanie się kulturotwórczej roli mediów, zwłaszcza publicznej telewizji, splotenie i obniżenie poziomu instytucji artystycznych. Można by dyskutować, czy tak jest, i czy wszędzie tak samo. Jedno jest pewne, że polska kultura narodowa znajduje się w trudnym okresie przejściowym, bombardowana różnymi naleciałościami zachodnimi gorszego kalibru, wewnętrznymi sprzecznościami i nieprzemyślanymi decyzjami i myślę, że za brak odpowiedniej polityki kulturalnej odpowiadają nieodpowiedzialni, nieprofesjonalni decydenci. Jako tulowscy działacze powinniśmy mieć znaczący wpływ na jej przyszłość. W Krajinie mieliśmy przykład i piękny efekt społecznego wspólnego działania. Mieszkańcy Krakowa, Gdańska, Żywca czy Lubartowa mają swój model kultury, wynikający z tradycji regionu i naturalnego środowiska, jak też charakteru mieszkańców, ich inteligencji, pasji twórczych i zdolności.

Na Śląsku nie radzę „ścinać kani”, czyli powielać zwyczaje kaszubskie. Musimy w każdym regionie doszukać się czegoś swoistego, własnego, co jest w domowych, rodzinnych przekazach, w starych kronikach, parafialnych zapisach, naukowych opracowaniach. Tyle jest pięknych legend i ludowych porzekadeł. Szukajmy. Każdy region Polski ma przebogate tradycje i zdolnych, twórczych ludzi. Muszą się tylko znaleźć animatorzy, którzy ożywią, obudzą, ukążą, mimo przeciwności, nowe perspektywy i nauczą znowu bycia razem, z czego płynie mądrość – satysfakcja i radość, jaką widzieliśmy w Krajinie.

Dziękujemy organizatorom za praktyczną lekcję społecznego działania.

## 8. Budowa mostów przyjaźni.

### Z doświadczeń dolnośląskiego TUL-u

Na pergaminowym dokumencie przechowywanym w Archiwum Państwowym we Wrocławiu czytamy: „Władysław z Bożej łaski król Węgier, Czech, Dalmacji (...) Książę Śląska etc”. To Władysław II, najstarszy syn Kazimierza Jagiellończyka, a wnuk Władysława Jagiełły w tym piśmie 20 lipca 1505 r. powołał we Wrocławiu wyższą uczelnię, tzw. Studium Generalne. Dopiero w 1702 r. utworzono Akademię Leopoldyńską (stąd nazwa barokowej auli), a w 1810 r., po połączeniu jej z Viadriną z Frankfurtu, powstał Uniwersytet Wrocławski.

Kopię dokumentu króla Władysława wręczono 13 stycznia 2000 r. czeskiemu ministrowi edukacji E. Zemanowi z okazji zawarcia umowy między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej a Rządem Republiki Czeskiej o współpracy w dziedzinie nauki, techniki i kultury.

Oprócz resortowych ministrów dokument podpisali – wojewoda wrocławski Witold Krochmal, marszałek wojewódzki prof. Jan Waszkiewicz, prezydent Wrocławia Bogdan Zdrojewski oraz rektorzy wyższych uczelni. Kontakty naukowe i kulturalne ożywiono.

\*  
\* \*

Regionalny Oddział TUL-u we Wrocławiu nie czekał na oficjalną zachętę do działalności integracyjnej, bowiem od trzech lat współpracuje z Międzynarodowym Ośrodkiem Spotkań w Marienthalu, który mieści się przy średniowiecznym klasztorze Cysterek u zbiegu granic polskiej, czeskiej i niemieckiej na drugim brzegu Odry. Instytucja ta, finansowana z budżetu państwowego Saksonii i przez sponsorów, prowadzi ożywioną misję „budowania mostów” między narodami i pokoleniami. Rada Społeczna i bardzo energiczna kierowniczką tej placówki, Polka mgr Beata Bykowska organizuje sympozja i seminaria, mając na celu wzajemne poznanie historii, kultury oraz współczesności trzech narodów, żyjących obok siebie od wieków.

Nawiązywanie kontaktów międzyludzkich to główny cel Marienthalu.

Wrocławscy tulowcy biorą czynny udział w wielu spotkaniach razem z pracownikami Uniwersytetu i Akademii Rolniczej. Tematyka zajęć jest bardzo zróżnicowana. Od historycznych dziejów Polaków, Czechów i Niemców przez wieki, do spraw socjalnych, opieki społecznej, kultury i problemów młodzieży w obecnej rzeczywistości.

Na jesieni 1999 r. grupa naszych architektów wzięła udział w seminarium, poświęconym budownictwu szpitali i „domów pogodnej starości”. Wrócili sfrustrowani, ponieważ nie mamy czym się pochwalić w tej dziedzinie. Natomiast na temat „Rola polskiej kultury w Europie” mogłam wiele powiedzieć grupie niemieckich nauczycieli, przy pomocy dobrej tłumaczki z Warszawy.

W grudniu 1999 r. kol. Czesław Opaliński referował tradycje i obyczaje ludowe w Polsce w okresie Bożego Narodzenia, a kol. Cyprian Antosik – Adwentu. O swoich zwyczajach mówili Niemcy i Czesi. Zadziwiająca okazała się zbieżność ludowej tradycji czeskiej i polskiej – obecni stwierdzili z satysfakcją, że wspólnota słowiańska trwa przez stulecia.

Dużym wydarzeniem we wzajemnych kontaktach z Marientalem była „Polska Wigilia” w tym ośrodku, obchodzona razem z grupą czeską i niemiecką w połowie grudnia. Obok choinki, przy pięknie nakrytych stołach, z siankiem pod obrusami i świątecznymi stroikami, zasiedli ludzie mówiący trzema językami, których połączył biały polski Oplatek, ciepłe słowa Opatki Klasztoru i prezesa wrocławskiego TUL-u C. Opalińskiego oraz piękny śpiew solistów czeskich.

Tradycyjne polskie potrawy wigilijne przygotowały nasze koleżanki: Krysia Paplińska, Halina Czarniecka, Wanda Mijalska, Marysia Galas. Goście zajadali ze smakiem pierogi z kapustą i grzybami oraz kutię – pierwszy raz w życiu. Autorki menu wychwalano i proszono o przepisy kulinarne na barszcz, uszka, ryby, kompot z suszu, kapustę z grochem, faszerowane grzyby itd.

Wrocławscy tulowcy przygotowali też prezenty dla gości, które rozdawali dwaj Aniołowie – czyli Cyprian Antosik i Witek Nowakowski, wygłaszając do każdego małe kazanie, mądre i dowcipne. Rozbawieni goście, na czele z Opatką, nie szczędzili podziękowań. Ula Drożdżyńska i Janek Lachowski przyjechali ze Sławy z grupą młodzieży, która odegrała sceny wędrówki Św. Rodziny do Stajenki. Potem śpiewano polskie kołędy, „Cichą noc” śpiewano po polsku, niemiecku i czesku. Wiele osób miało łzy w oczach. Wieczór ten wzbudził różne wspomnienia ludzi starych, a refleksje u młodzieży, która zaczęła planować następne spotkania.

\*  
\* \* \*

Wiosną 2000 r. grupa tułowców i sitrowców ze Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Rolnictwa, którzy ostatnio działają w TUL-u, uczestniczyła w seminarium na temat „Losy wysiedlonych Polaków i Niemców po II wojnie”.

Zaprosiłam na wykład do Marienthalu doktora Grzegorza Straucholda z Uniwersytetu Wrocławskiego, który ciekawie i uczciwie przedstawił ten problem ze strony polskiej. Ze strony niemieckiej to zagadnienie rozwijali tamtejsi pracownicy naukowci. Dyskusja była ciekawa i ożywiona, choć są to sprawy trudne i bolesne dla zwykłych, szarych ludzi z obu stron, o losach których zdecydowała Wielka Polityka.

\*  
\* \* \*

W czerwcu 2000 r. dyrektor Beata Bykowska przysłała nam nowy plan najbliższych spotkań na temat: „Czechy, Niemcy i Polska w środkowej Europie – ich rola w zjednoczeniu” i „Kultura ludowa trzech narodów żyjących obok siebie”.

Z Wrocławia pojedzie grupa naszych tułowców, może nawet z wystawą polskiego ludowego rękodzieła.

Inicjatywy Międzynarodowego Ośrodka Spotkań w Marienthalu i współpracę z nim Dolnośląskiego Oddziału TUL-u uważam za bardzo cenne, bo tylko kontakty międzyludzkie mogą zacieśniać szczerą więź przyjaźni, a nie oficjalna polityka kolejnych rządów.

Na wirażach historycznych XX wieku ucierpiało starsze pokolenie, ponieważ wielu zbłądziło, jak pisze Miłosz w „Zniewolonym umyśle”, wierząc w słuszność totalitarnych ideologii lub przyjmując je, pchane strachem, niepewnością albo oportunistycznym. Musimy teraz budować mosty dla młodego pokolenia trzech narodów.

Każdy człowiek swoją formację zawdzięcza przede wszystkim rodzinie, ale i kulturze, muzyce, teatrowi, poezji, plastyce, o czym mówił Papież w Rzymie w czasie polskiej pielgrzymki. Kto ma wprowadzać młodzież w ten świat Dobra i Pięknego? Szkoła, Kościół, organizacje? O tym się też dyskutuje w Marienthalu.

Rok Jubileuszowy powinien przynieść więcej zrozumienia dla inności, miłości i tolerancji, ale przede wszystkim większe zainteresowanie młodzieżą. Jej duże grupy są zagubione, zdezorientowane, zniechęcone do autorytetów i działań społecznych, co wywala egoizm, nihilizm i obsesję w trzech sąsiadujących krajach.

W filozofii i pedagogice spór o człowieka i sens jego życia ciągle trwa, ale „Każdy intelektualista, niezależnie od przekonań, ma zadanie pielęgnować Dobro” – powiedział Papież w lipcu. Myślę, że tego czynu jest w Polsce za mało.

## 9. Wpisani w wielką i małą historię

„Szczęśliwe kraje, gdzie pokoleń praca nie idzie w niwecz,  
wśród gromów i burz Lecz gdzie czyn wszelki Ojczyznę  
wzbogaca i gdzie myśl każda jej triumfom służy...”

A. Asnyk

Planowe działanie wychowawcze to wytwarzanie odpowiednich bodźców rozwojowych, uwzględniające środowisko wychowawcze, a więc położenie geograficzne, przyrodę, kontekst kulturowy, historię i tradycję regionalną, a wreszcie ten oczywisty fakt, że złożoność ludzkich losów jest powiązana z przeobrażającą świat funkcją czasu, który nieubłagalnie płynie. Wspólną cechą polskiej socjologii i pedagogiki społecznej jest częste stosowanie w badaniach środowisk wychowawczych metod monografii terenowej. Również często badacz posługuje się metodą biograficzną, czyli analizą osobistych dokumentów, pamiętników, parafialnych kronik, listów, gazet itp. Początek tego rodzaju badań pochodzi od Floriana Znanińskiego, rozwijali je Józef Chałasiński, Jan Szczepański, a także działacz TUL-u – Bronisław Gołębowski. Współpraca interdyscyplinarna pedagoga i socjologa daje ciekawe rezultaty. Splot ludzkich działań i reakcji, doświadczenia rodzinne sprawiają, że historia staje się konkretna, nie abstrakcyjna, która wchodzi w zwykłe życie zwykłych ludzi, bez marszów wielkich armii, nazwisk wodzów i zmieniających się ideologii. A życie każdego człowieka to: „księga pełna treści

z różnobarwnych zszyta kart  
z łez, uśmiechów i boleści  
życie – życie to nie żart...”

(Marianna Król)

Przyjęłam z radością inicjatywę Środowiskowego Uniwersytetu Ludowego w Zespole Szkół Rolniczych w Jabłoni, wspartą decyzją Regionalnego Oddziału TUL w Łomży o zorganizowaniu konkursu pod tytułem „Kronika wydarzeń rodzinnych” dla młodzieży Gimnazjum i Zespołu Szkół Rolniczych w Jabłoni w woj. lubelskim. Celem konkursu jest:

1. Rozbudzenie wśród młodzieży zainteresowania własnym regionem.
2. Zwrócenie uwagi na wielorakie wartości tkwiące w tradycjach religijnych i patriotycznych pielęgnowanych i przekazywanych z pokolenia na pokolenie.
3. Kształtowanie postaw obywatelskich.

Biorących udział w konkursie merytoryczną opieką otoczyła polonistka mgr Ada Ukalska w gimnazjum, a w ZSR – polonistka mgr Marianna Bloch. Warunki konkursu opracowała mgr Barbara Wikło i przejęła opiekę nad przebiegiem pracy w obu szkołach.

Myślę, że w jednoczącej się Europie nastąpi wzrost zainteresowania własnymi rodowodami i niepowtarzalną rodzimą kulturą. Już to widać np. w muzyce folkowej, która zdobywa sympatię widzów na festiwalach. Małe, wiejskie wspólnoty z hasłem „Ziemia, rodzina, praca” będą łączyły starą tradycję z nowoczesną modernizacją życia. Wierzę, że kultura ludowa nadal będzie stanowić żywą inspirację współczesnej literatury, muzyki i plastyki polskiej w XXI w. Wydatki na potrzeby kulturalne powinny stopniowo się wyrównywać – w miastach wynoszą, bowiem 19 zł miesięcznie na osobę, a u rolników tylko 8 zł, i to u bogatszych. Stąd też m.in. wynikają różnice poziomów w szkołach polskich.



Prace nadesłane na konkurs zawierają bogate treści udokumentowane świadectwami, rachunkami, opiniami instytucji, zdjęciami, wywiadami itp. Opisując swoje rodowody, młodociani autorzy sięgają nawet do XVII w. W pracach widać wiele emocji i dumy z dokonań poprzednich pokoleń oraz rzetelność w przygotowywaniu materiałów. Wybrałam z tych obszernych relacji najważniejsze, według mnie, fragmenty.

Darek Frończuk ze wsi Horodyszcz, uczeń Technikum Rolniczego w Jabłoniu swojej pracy nadał tytuł „Historia jednego rodzinnego zdjęcia”. Na fotografii stoi sześciu żołnierzy w rosyjskich, carskich mundurach, a między nimi siedzi starszy rangą. Autor przeprowadził wywiady rodzinne i pisze: Mój pradziadek Aleksander Welik urodził się w 1894 r. Mając 20 lat, został powołany do rosyjskiego wojska i wysłany do Czarnogorii. W 1914 r. dostał się do niewoli austriackiej. W obozie jedli surowe kartofle i pili brudną wodę. Wielu jeńców zmarło, ale pradziadek przeżył. Zabrał go jakiś pan i u niego pracował w kuchni, a potem jako kelner. Po czterech latach wrócił do Horodyszcz, ożenił się z Teodozją Tarasiuk i mieli jednego syna – Franciszka, czyli mego dziadka. Dowiedziałem się, że w 1941 r. brata mego pradziadka, stryjka i dziesięciu mieszkańców Horodyszcz Niemcy wyprowadzili za wioskę i rozstrzelali, mszcząc się za partyzantkę. Aleksander Welik skończył swój ciężki żywot na ziemi w 1984 r., przeżywszy 90 lat. Moja mama to Anna z domu Welik, a ojciec – Kazimierz Frończuk. W rodzinie mamy najstarsi przodkowie to Ustyn i Prakseda Denisiuk. Mieli niespotykane dziś imiona. Ja urodziłem się w 1985 r., a mój brat – Krzysztof w 1981 r. Chętnie słuchamy rodzinnych opowieści i szanujemy pamięć pradziadka, którego zdjęcie przechowujemy z pietyzmem.

Trzynastoletnia dziewczynka – Diana Król z Jabłonia przeprowadziła wywiad ze swoją babcią Marianną Król i zaczyna kronikę rodzinną od opisu ślubu grecko-katolickiego w okresie zaborów, który musiał się odbyć po kryjomu. Zborny punkt weselników był wyznaczony w lesie. Tam grupy męska i żeńska, które szły osobno, spotkały się z księdzem, by dokonać aktu zaślubin. Diana pisze: Seniorka rodu Katarzyna Korpysz w 1855 r., mając 20 lat, wyszła za mąż za Stefana Matczuka z Jabłonia. Był to człowiek odważny i energiczny. Sprzeciwił się pracy pańszczyźnianej na pańskiej roli, a w 1863 r. pomagał powstańcom, donosząc im do lasu żywność. Ktoś doniósł o tym do władz carskich, ale jakoś się wykręcił od Syberii. Katarzyna i Stefan mieli pięciu synów i dwie córki. Prapradziadek postarał się, aby jego synowie umieli czytać i pisać, co w tamtych czasach było rzadkością na wsi. Syn Paweł, służąc w rosyjskim wojsku, pisał listy kolegom do rodzin – to, co mu dyktowali, ale do ich dziewczyn pisał, co sam chciał, a oni nie umieli przeczytać. Po powrocie z wojska ożenił się z Teklą z Potapczuków z Jabłonia. Ślub naturalnie musiał się odbyć po kryjomu w zaborze austriackim. Żandarmeria rosyjska chciała aresztować weselników, ale ludzie zapewniali, że idą na pielgrzymkę do cerkwi, więc puścili ich wolno, a oni poszli na umówione miejsce z księdzem. Tekla była wzorową matką, żoną i gospodynią. Umiała tkąć na krosnach, szyć, bielić płótno i wyszywać. Mieli troje dzieci. Paweł, tak jak ojciec, wysłał synów do szkoły rosyjskiej, co się nie podobało sąsiadom. Wykluczono go z tajnej, kościelnej organizacji «Światło». Zmarł w 1920 r., a Tekla dopiero w 1944 r. Wszystkie dzieci Pawła zostały w Jabłoni na ziemi rodziców. Syn Pawła, nazwany na cześć dziadka – Stefan, zajmował się gospodarstwem, ale brał też czynny udział i w życiu politycznym. Należał do organizacji wojskowej POW, założonej przez Józefa Piłsudskiego. W 1919 r. został powołany do wojska, a potem służył w straży granicznej na Wileńszczyźnie. W 1921 r. ożenił się z Ludmiłą Wójciuk, której ojciec Porfiry był kilka lat wójtem Jabłonia. Stefan i Ludmiła, czyli moi pradziadkowie, mieli czworo dzieci, ale przeżyła tylko Marianna urodzona w 1923 r. Stefan był sołtysem, pomagał partyzantom w okresie II wojny, a po wy-

zwoleniu, przez rok, piastował urząd wójta. Marianna, czyli moja babcia, ukończyła liceum w Białej Podlaskiej, a podczas okupacji brała udział w tajnym nauczaniu. W 1949 r. wyszła za mąż za Kazimierza Króla i pracowała jako nauczycielka w Milanowie, w Paszenkach, z których przeprowadzili się do rodzinnego domu w Jabłoniu. Mieli czworo dzieci. Kazimierz zajmował się gospodarstwem, a Marianna uczyła i przygotowywała z dziećmi i młodzieżą różne imprezy kulturalne. Działała też w Kole Gospodyń Wiejskich i LOK, za co otrzymała złotą odznakę społecznika. W 1973 r. zmarł dziadek i babcia musiała zająć się gospodarką, no i szkołą. Mimo wielu kłopotów nadal organizowała przedstawienia i konkursy, uczestnicząc w życiu społecznym wsi. Otrzymała Złoty Krzyż Zasługi i odznakę Przyjaciół Dziecka, Medal Komisji Edukacji Narodowej i Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski. Wykształciła trzech synów (jeden zmarł jako dziecko). Ma cztery wnuczki i jednego wnuka – Przemka, który studiuje w Lublinie. Mój ojciec – Jerzy Król, razem z babcią, zajmował się gospodarstwem. W 1983 r. ożenił się z Marzeną Fiutką i mieli dwie córki. Moją siostrę – Ewelinę, która uczy się w liceum zawodowym w Jabłoniu, i mnie – Dianę. Babcia podyktowała mi opis uroczystości „Korowaja”, charakterystycznej dla Podlasia. Jest wiele przyspiewek tradycyjnych w języku polskim i chyba białoruskim (tu mówią „chachłackim”), które i dziś są śpiewane. Mój tatuś – Jerzy Król zmarł w 1999 r. w wieku 42 lat i... zostałyśmy same kobiety z trzech pokoleń: babcia, mama i my.

Ciekawa jest relacja Kasi Ulaniuk z Horodyszcz, uczennicy ZSR w Jabłoniu. Załączyła ona wiele dokumentów, zdjęć, rachunków, a nawet podała źródła, z jakich korzystała, opracowując „Historię z życia Heleny Ulaniuk na tle rodziny i społeczeństwa”, jak nazwała swoją pracę. Przejrzała kroniki szkolne i harcerskie, przeprowadziła wywiady z dawnymi kolegami babci i byłymi uczniami, co na pewno zajęło jej wiele czasu. A oto jej relacja w skrócie: Pradziadkowie i dziadkowie ze strony mojej mamy poświęcili całe swoje życie pracy na roli. Natomiast pradziadkowie i dziadkowie ze strony mojego taty po linii Ulaniuków byli pracownikami państwowymi. Pradziadek Adam Ulaniuk pracował w Warszawie jako inspektor w Ministerstwie Handlu, a dziadkowie Helena i Władysław byli nauczycielami. On miał wielki talent – malował obrazy i portrety. Najbardziej jednak godną mojej uwagi jest babcia Helena z domu Korniecka. Urodziła się w 1931 r. w Dubicy koło Wisznic. Nie знаła swojej mamy, która zmarła przy jej porodzie. Helena skończyła liceum i 1 września 1950 r. rozpoczęła pracę w szkole podstawowej w Dębowie. Tam też poznała swego przyszłego męża Władysława Ulaniuka, który uczył w Grabówce. Po ślubie pracowali koło Parczewa, a potem od 1953 r. w Horodyszczach. Szkoła mieściła się w starym, drewnianym budynku 150-letnim i krytym słomą. Zimą było zimno, latem duszno, a dzieci sto siedemnaście z okolic. Warunki pracy były bardzo ciężkie, a pensje głodowe. Pomimo tego nauczyciele podejmowali działania społeczne, żeby kwitło życie kulturalne na wsi po mrokach wojny. Jedną ze społecznic była moja babcia Helena. Prowadziła kółko teatralne, które skupiało duże grupy młodzieży. Organizowała przedstawienia i wyjazdy z występami do pobliskich miejscowości. Zarobione pieniądze były przeznaczone na budowę nowej szkoły. Posiadała też talent plastyczny. Sama robiła dekoracje, a nawet naszkicowała pieczęć miasta Horodyszcz z XVI w. Prowadziła drużynę harcerską i z harcerzami pracowała na rzecz środowiska – sadzili las, pomagali budować drogę, uczestniczyli w zajęciach strażackich. Drużyna pomagała też chorym dzieciom i starszym ludziom. Organizowała zbiórki złomu i ziół, a dochody odsyłała do Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Dziadkowie mieli czworo dzieci, które wymagały opieki, a babcia pracując, ukończyła Studium Nauczycielskie w Łodzi, a potem geografię na Uniwersytecie w Białymstoku. Gdy dziadek zmarł w 1988 r., babcia musiała utrzymywać rodzinę. Była to kobieta

twarda, stąpająca po ziemi i za to ją podziwiam. Za swą działalność otrzymała w 1977 r. medal za zasługi dla pożarnictwa, w 1985 r. Krzyż za zasługi dla ZHP, a w 1986 r. Krzyż – zasłużona dla województwa białkopodlaskiego. Była harcmistrzem Polski Ludowej, zapraszano ją na różne wojewódzkie imprezy i uroczystości. Pracowała w szkole do 1986 r., a na emeryturze nadal udzielała się społecznie, ale najwięcej czasu poświęcała mnie i memu rodzeństwu. Była wspaniałym pedagogiem, człowiekiem, który poświęcił się pracy z młodzieżą i dla młodzieży. Pogrzeb Heleny Ulaniuk w 1992 r. stał się wielką manifestacją. Zmarła 1 września. Myslę, że to nie przypadek, bowiem ten dzień był bardzo ważny w każdym roku jej życia.

Ciekawie zaczyna swoją pracę Tomek Litwin z Horodyszczy, uczeń ZSR w Jabłoni: Przekazę ten dokument potomnym, by wiadomości rodowe nie uszły w zapomnienie, że byli tacy ludzie... Korzenie horodyskiego rodu Litwinów wywodzą się z Jabłonia, miejscowości w rejonie kanału Wieprz-Krzna na Lubelszczyźnie. Ród ten rozrósł się, lecz najbardziej zasiedziały w Horodyszczy, Białej Podlaskiej, w Lublinie i Warszawie. Od Jana Litwina i Heleny Cybulskiej żyje już szóste pokolenie. Jan urodzony w 1826 r. i Helena, córka Cyryla i Eudoksjii pobrali się w 1845 r. (odnalazłem akt ślubu) i mieli 18 dzieci, lecz wychowało się tylko troje. Syn Konrad urodzony w 1860 r. był niezamożnym wiejskim pastuchem. Z żoną Salomeą wychował dwóch synów – Karola i Tadeusza. Syn Karola – Jan w 1939 r. bronił lotniska w Białej Podlaskiej, a po powrocie z frontu zajmował się budową turbiny wiatraka i pracował jako operator kina w Horodyszczy. Córka Marianna miała syna Tadeusza. Jego córka Monika pracuje w służbie zdrowia, a druga – Maria uczy w Liceum Ekonomicznym. Jej mąż jest dyrektorem banku. Mieszkają w Wisznicach. Ich najstarszy syn – Arek pracuje w policji w Lublinie, a Grzesiek i Marian studiują prawo. Halina, także córka Tadeusza, jest lekarzem w Białej Podlaskiej. Drzwi jej gabinetu są oblegane, bo jest bardzo dobrym diagnostykiem, przy tym pogodna, miła i wyrozumiała. Tak to ród Litwinów od pastucha wspinał się po drabinie społecznej... Córka pradziadka Karola – Anna Klimkowicz ma trzy córki. Prowadzi gospodarstwo rolne, a mąż Józef kółko rolnicze i gospodarstwo szkolne. Anna udziela się w Kole Gospodyń Wiejskich i śpiewa w chórze. Jej córka Jadwiga przypomina temperamentem matkę. Należy do Zespołu Pieśni i Tańca – razem z mężem. W Jabłoniu pracuje w Urzędzie Gminy. Drugi syn pradziadka Konrada – Tadeusz Litwin (to imię powtarza się w rodzinie) miał czworo dzieci. W czasach II wojny światowej był w niewoli niemieckiej. Po wyzwoleniu pracował w melioracji i na swojej ziemi. Jego syn, a mój dziadek Bronisław zostawił trójkę dzieci i żonę w ciąży w 1960 r. Pobity przez UB zmarł, mając 36 lat. Jego syn, a mój ojciec prowadzi gospodarstwo rolne w Horodyszczy. Jest nas rodzeństwa sześcioro. Rodzice wyjeżdżają, by zarabiać w sezonie – do Niemiec. Mama Krystyna Ponikowska uczyła się w Zespole Szkół Rolniczych w Jabłoni – a teraz my – Przemek i Tomek – szóste pokolenie Litwinów, też jesteśmy uczniami tej szkoły.

Jeszcze jeden uczeń Zespołu Szkół Rolniczych w Jabłoni Adam Różnowicz z Polubicz pisze: Moją rodzinną miejscowością są Polubice, skąd pochodzą rodzice mego dziadka – Agata i Maksym, oraz rodzice babci - Karolina i Franciszek. W 1939 r., 1 września, rozpoczęła się II wojna światowa. Mój dziadek Józef, syn Maksyma, brał udział w bitwie pod Mławą. Po wycofaniu się frontu z pierwszej linii bronił Warszawy. Po kapitulacji dostał się do przejściowego obozu niemieckiego w Piasecznie, gdzie były ciężkie warunki. Głodowe porcje żywności osłabiały jeńców. Udało mu się uciec i dostać pracę w Czerwonym Krzyżu w Warszawie. Po wybuchu Powstania Warszawskiego włączył się do akcji na odcinku Czerniakowa. Rannego przewieźli Niemcy do Oświęcimia. Przeżył cudem i wrócił do rodzinnego domu. Rozpoczął gospodarkę z Marianną – żoną, córką Haliną i... siedmioma synami. Dumny jestem z jego

życia. Dziadek za zasługi dla kraju otrzymał w 1976 r. „odznakę zasłużonego działacza społecznego”. W 1975 r. 7 Pułk Ułanów Lubelskich, w którym służył dziadek, otrzymał srebrny Krzyż *Virtuti Militari* z Londynu w uznaniu czynów niezwykłego męstwa. Wcześniej, 15 sierpnia 1948 r., dziadek dostał „medal wojska – Oddział AK „Jeleń” dla zasłużonego ułana – też z Londynu. W 1981 r. został odznaczony „Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski”, a w 1982 r. „Warszawskim Krzyżem Powstańczym”. Jeszcze w 1992 r. otrzymał odznakę „weterana walk o niepodległość”. Te wszystkie fakty zebrałem, przeglądając dokumenty przechowywane w domu rodzinnym w Polubicach, których ksero załączam razem ze zdjęciami. Jaki Ojciec, taki syn! Czyli mój tato Marian też wpisany w wielką i małą historię Podlasia. Skończył szkołę górniczą w Chorzowie i uzyskał tytuł wykwalifikowany górnik węgla. Pracował ciężko w kopalni, a po wojsku powrócił do Polubicz i jeszcze uczył się w Technikum Rolniczym w Jabłoni. W roku 1980 został przewodniczącym budowy telefonizacji wsi Polubić, Dubicy i Wygody. Trwało to 4 lata. Są telefony! W 1990 r. ojciec zapisał się do Związku Samoobrony i brał czynny udział w strajkach. W tym głodowym, w Ministerstwie Rolnictwa w Warszawie też, przez 10 dni z mandatem nr 1 w 1992 r. Mój ojciec Marian Różnowicz do tej pory bierze udział w różnych pracach społecznych dla dobra naszej wsi.

Nina Kozłowska z Parczewa również uczy się w Zespole Szkół Rolniczych w Jabłoni. Jej prababcia cieszy się dobrym zdrowiem, a ma już 93 lata i pamięta wiele szczegółów ze swego długiego życia. Nina tak pisze: Moja praprababcia, Marianna Kwaśna mając 16 lat wyszła za mąż w 1887 r. za Jana Skowrona. Urodziła ośmioro dzieci. Mając 45 lat zachorowała. Leczyła ją znachorka swoją metodą, a mianowicie wzięła Mariannę za nogi, głową w dół i stuknęła pięścią w pięty, by wypędzić chorobę... Chora zmarła na jej rękach. Jan opiekował się dziećmi, ciężko pracował na roli, a pomagała mu najstarsza córka Weronika. Dożył jednak 102 lat. Moja prababcia zajęła się całym gospodarstwem, gdyż jej mąż, Leon Komar poszedł do Legionów Józefa Piłsudskiego jako ochotnik, jak wielu mężczyzn z okolic. W 1939 r. też brał udział w wojnie. Wrócił szczęśliwie do domu. Niestety – nie na długo. W 1943 r. Niemcy zebrali 24 gospodarzy w lesie i tam ich rozstrzelali, zakopując w rowie, który Polacy musieli wykopać. Był z nimi i Leon Komar. W 1948 r. w Ostrówku zebrano szczątki rozstrzelanych do zbiorowej mogiły i postawiono pomnik ku ich pamięci. Prababcia przeprowadziła się do Parczewa i żyje do dziś w wieku 93 lat. Doczekała się siedmiu wnuków i 15 prawnucząt. Babcia Genia ze strony mamy urodziła się w 1937 r. w Wisznicach. Jako dziecku wbił się jej w pamięć jeden fakt. W 1939 r. rodzina chowała się w piwnicy przed bombami. Nagle wszedł Niemiec w mundurze. Na pewno wszyscy struchleli, ale on, co babcia dobrze pamięta, wziął ją na ręce, przytulił i śpiewał, co potem opowiadano „Meine lieber, meine Schwester”. Nie zrobił nikomu krzywdy. W roku 1956 babcia wyszła za mąż za Jana Kamińskiego i przeniosiła się do Parczewa. Tam urodziła się Ewa, czyli moja mama. Jej mężem został Włodzimierz Kozłowski. Z tego małżeństwa jest Daniel i ja – Nina, prawnuczka legionisty Leona Komara. Ze wsi Dawidy pochodzi też 15-letnia Ania Kuniszyk, uczennica gimnazjum w Jabłoni, która zaczyna swoją rodzinną kronikę wierszem: „Jak dobrze było mieszkać w tej chatce, krytej słomą z piecem chlebowym wewnątrz małą lampą naftową. Tak samo dobrze żelaznym jechać wozem między łąkami zboża po wyboistej drodze. Jak dobrze czasem wspomnieć w marzeniach swoją wieś i swe dziecięce lata, co przeminęły gdzieś...”

Ania pisze, że: o rodzinie Kuniszyków wspomina się już w początkach XVIII w. Znalazłam w Kronice parafii gęsieńskiej wypowiedź z (1739 r.) pierwszego, znanego nam Kuniszyka, 40-letniego Ihuata. Wiadomo, że prapradziad Jan, urodzony w 1836 r. miał 33 morgi. Schludność i porządek było widać wszędzie na jego podwórku. Te cechy – dyscyplina

i ład stały się tradycją rodziny Kuniszyków. Jan miał czterech synów, którzy według zwyczaju, wszyscy z żonami, na początku małżeństwa mieszkali w jednym domu. W rodzinie panowały jedność i zrozumienie. Pradziadek Stanisław, syn Jana brał udział w wojnie z bolszewikami i uczestniczył w bitwie pod Warszawą, zwanej Cudem nad Wisłą. Miał tylko trzy klasy szkoły rosyjskiej, ale świadomość narodową dużą. Doczekał się „Krzyża Obrońców Ojczyzny” w 1991 r. i nominacji na stopień podporucznika polskiego wojska. Zmarł w 1993 r. w wieku 93 lat. Był to najstarszy członek rodziny Kuniszyków, którego pamiętam.

Jego młodszy syn Jan mieszka w Warszawie. Jego córka, a wnuczka Stanisława została profesorem uczelni warszawskiej. Drugi syn Franciszek Józef Kuniszyk urodził się w 1932 r. Szkołę podstawową skończył w Dawidach, a do VII klasy chodził pieszo do Jabłonia. Potem sąsiedzi wozili kolejno dzieci. Ksiądz i nauczyciele byli wtedy w ogromnym poważaniu, a młodzież chętnie nadrabiała zaległości po wojnie. Szkołę średnią Franciszek skończył w Białej Podlaskiej. W 1950 r. był junakiem w Nowym Bytomiu (Służba Polsce). W wojsku, w I pułku piechoty w Warszawie dosłużył się stopnia kaprała. W 1956 r. ożenił się z Marianną z rodu Pasiczów, i to jest moja babcia, która mi opowiada dawne dzieje i opowieści swojej mamy Julianny. Prapradziad Pasicz przyjechał do Polski z Czech jako nauczyciel i osiedlił się w Radczu. Miał syna Ostapa, którego syn Grzegorz ożenił się z Julianną. Podczas I wojny światowej wojska rosyjskie i austriackie rabowały dobytek i paliły wsie. Spaliły i Radcze. Juliannie udało się ocalić krowy i codziennie wlewała mleko do cebrzyków i wносиła na drogę dla wojska, rozlewając do manierek za darmo. Na złośliwe uwagi sąsiadów odpowiadała: „Ja mam trzech synów, którzy mogą pójść do wojska, a tam może i im ktoś usłuży – przecież żołnierz nic nie winien – to władze rządzą...” Pradziadek Grzegorz Pasicz w I wojnie bronił granicy wschodniej jako ochotnik. Jego córka, a moja babcia Marianna, miała 4 lata, gdy wybuchła II wojna w 1939 r. W Rodczu trzy miesiące kwaterowali Niemcy, a kwatera pułkownika była w domu pradiadków. W sadzie, do którego zabroniono zachodzić, pod jabłonią odbywały się luterańskie nabożeństwa. Pewnego dnia w Milanowie zginął Niemiec. Z zemsty – 150 robotników i księdza żandarmi czy gestapo wywiozło do lasu, kazano wykopać rów, do którego tych ludzi zrzucano po rozstrzelaniu. Ksiądz zdążył im udzielić rozgrzeszenia i ze znakiem krzyża zginął. Niemcy ludziom mówili, że gdy zniszczą wiarę w Boga, kulturę i historię narodu, to ze zwykłymi ludźmi sobie poradzą, a Polska pójdzie do niewoli. „Dzięki Bogu stało się inaczej” – mówi zawsze babcia Marianna. Opowiada, że po II wojnie wieś tętniła życiem. Powstał zespół muzyczny, który przygrywał po pracy. Młodzież była biedna, ale wesoła, bo wszyscy cieszyli się wolnością Kraju. Babcia wspomina jeszcze zespół podwórkowy i kulig malowanymi saneczkami. W dzieciństwie niewiele czasu spędzała na zabawie. Od 6 lat pasła krowy od 4 rano, a na 8 szła do szkoły. Po obiedzie znowu pasła. Kiedy się uczyć? Od marca do 1 listopada trzeba było chodzić boso – buty były w cenie. Pamięta też, że do domu przychodzili partyzanci z dwóch organizacji. Strzelali do siebie. Prababcia karmiła ich i pytała: „Po co ta wojna, skoro z tego nic nie będzie”? Oni szybko zaprzeczali: „Polska musi być wolna i będzie!”. I jest wolna, lecz oni tego nie doczekali. Trzech z nich pochowano na cmentarzu w Gęsi – mówiła ze smutkiem babcia. Obaj bracia babci służyli w polskim wojsku. Dziadek Franciszek Kuniszyk i babcia Marianna gospodarzyli wzorowo. Mieli duży inwentarz. Dostali nagrodę za hodowlę jałówek. Dziadkowie mieli troje dzieci: Tadeusza, Kazimierę i Adama. Za czasów Gierka poprawiły się na wsi warunki socjalne. Pojawiły się maszyny rolnicze, samochody i nowoczesne budynki. Zginęły słomiane strzechy. Dwudziestoletnia najnowsza historia naszej rodziny różni się od tej dawnej realiami. W 1981 r. mój tato Tadeusz ożenił się ze Stanisławą Kurzyńską – studentką z zamojskiego

i mieszkają w Lublinie. Mama obroniła pracę magisterską, a ojciec też kończył studia. W 1982 r. wrócili do Dawidów i przejęli gospodarstwo po dziadkach. Wszystkie pieniądze, zdobyte ciężką pracą na roli, inwestują w edukację naszej czwórki, abyśmy tak jak nasi przodkowie wiernie służyli Bogu i Ojczyźnie.

Uczeń gimnazjum w Jabłoni, 15-letni Karol Kropiwiec tak pisze: Ojczyzną moja jest polska ziemia, ziemia podlaska, konkretnie wieś Dawidy w gminie Jabłoń, parafii Gęś.

„Ojczyzna moja – to ta ziemia droga  
Gdziem ujrzał słońce, gdzie poznałem Boga,  
Gdzie tatuś, rodzina i mamusia miła  
w polskiej mnie mowie pacierza uczyła...”

Wieś Dawidy od czasów jej powstania w XVII w. zamieszkiwała ludność trudniąca się rolnictwem, wyznania unickiego, która pod carskim zaborem znosiła krwawe prześladowania. W latach 1874–1905 dzielnie opierała się rusyfikacji. Po edykcji tolerancyjnym wielu ludzi przyjęło obrządek rzymsko-katolicki. W tej, z wieloma tradycjami, miejscowości mieszkam z rodzicami i rodzeństwem. W 1864 r. mój protoplasta rodu, Maciej Kropiwiec, ukazem carskim dostał na własność ziemię. Nazwisko mego rodu pochodzi, jak mówi legenda rodzinna, od pasterza, który broniąc w Dawidach stada bydła, kropił wroga błotem z kałuży po oczach i nie oddał zwierząt. Po tym fakcie został nazwany „Kropiwcem” i tak już zostało wpisane do dokumentów. Pień mego drzewa genealogicznego stanowią Madej i jego żona Katarzyna z Werteków, ur. w 1828 r. Mieli troje dzieci. Najstarszy syn Józef to mój prapradziadek, który żył w latach 1850–1920. Ożenił się z Oksenią Furman, córką Józefa i Paraski. Najstarszy ich syn Stefan był moim pradziadkiem, który zmarł w 1918 r. na gripę zwaną „hiszpanką” – zabrała ona wielu ludzi z wioski. Prababcia Pelagia została na gospodarstwie z trzema synami. Józef urodzony w 1907 r. – był moim dziadkiem. Mając 11 lat, po śmierci ojca, musiał ciężko pracować w polu i jeszcze uczyć się ciesielstwa, jak bracia. Potem razem budowali domy w okolicy. Józef wyrósł na przystojnego kawalera. Miał powodzenie u panien i podobno kilkakrotnie dawał na zapowiedzi, ale do wesela nie dochodziło... Ożenił się wreszcie w 1933 r. z Walerią Mackiewicz. Poszedł do jej rodziców „w przyjaki”, czyli za zięcia, i wspólnie gospodarzyli. Dziadkowie w latach młodości należeli do Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, w którym aktywnie działali. Organizowali zabawy, wystawiali sztuki teatralne, chodzili z kolędnikami, a za zebrane ofiary pieniężne kupowali książki do szkolnej biblioteki i chorągwie do kościoła, które są do dziś. Dziadek był często proszony na starostę weselnego, co było bardzo zaszczytną rolą.

Tu Karol opisuje zwyczaj weselny na Podlasiu i cytuje słowa przyspiewek do weselników, np.

„Staroscina za mąż chciała  
chleba upiec nie umiała,  
Taki jej się chlebek zdarzył,  
że pod skórą kotek łąził”.  
albo: „Szła teściowa przez las,  
pogryzły ją źmije,  
źmije pozdychały,  
a teściowa żyje”.

Jest dużo tych charakterystycznych dla lokalnej społeczności tekstów i opisów. Dalej Karol pisze, że: Dziadkowie mieli siedmioro dzieci, które wszystkie wykształcili. Córka Janina jest lekarzem pediatrią, druga – Regina to lekarz stomatolog, syn Zdzisław jest organistą. Inni też zdobyli zawody. A syn Krzysztof – absolwent Technikum Rolniczego w Jabłoniu to mój tato. Józef i Waleria pracowali w swoim gospodarstwie bardzo ciężko. Zimową porą babcia szyła dla ludzi, a dziadek stolarzował, bo wydatki na dzieci w szkołach średnich i na studiach były duże. Wychowywali je w duchu religijnym, wymagali od nich posłuszeństwa, szacunku dla osoby starszej, codziennej wspólnej modlitwy i uszanowania chleba (jak upadł – trzeba było podnieść i ucałować). Na święta dziadkowie z radością oczekiwali całej swej gromadki. Potem, mimo założenia własnej rodziny, wszyscy się zjeżdżali, utrzymując stały kontakt z dziadkami. My – najmłodszy Kropiwec wszystkie wakacje spędzaliśmy z kuzynami w Dawidach. Mimo wydatków na kształcenie dzieci – dziadkowie rozbudowywali gospodarstwo, a w 1974 r. ukończyli nowy dom z łazienką i ubikacją, co było wtedy na wsi luksusem. W 1983 r. obchodzili Złote Gody, na które przyjechała cała duża rodzina. Niestety, śmierć każe ustępować miejsca nowym pokoleniom... Spoczywają we wspólnej mogile od 1985 r. na cmentarzu w Gęsi. W rodzinnym domu zostali moi rodzice Małgorzata z Protasiuków i Krzysztof Kropiwec, no i nas troje: Kasia, Kinga i ja – Karol. Ojciec po technikum pracował w okręgowej Stacji Hodowli Zwierząt w Lublinie i udzielał się społecznie w Dawidach. W latach 1968–1972 był przewodniczącym ZMW i Rady Klubu Rolnika, prowadził zajęcia w zespołach przysposobienia rolniczego, organizował dożynki. Nawet układał wiersze na „Dni Dawidów” i prowadził konkursy. Oto taki wiersz dla przykładu:

„Gdy odchodzisz do żniwa dzieci bierzesz na pola,  
bo nie masz w domu babci, a we wsi przedszkola.  
W końcu sadzasz swe dzieci gdzieś pod gruszą lub sosną –  
Jeśli słońce je zmoczy to ci prędzej urosną.”

Obecnie rodzice prowadzą gospodarstwo rolne o powierzchni 14 ha. Specjalizują się w produkcji trzody chlewnej rasy PBZ. Po remontach estetyka gospodarstwa zachwyca wszystkich. Przyjeżdża wiele wycieczek z kraju i zagranicy (piękne zdjęcie delegacji z Francji). W 1997 r. rodzice otrzymali III miejsce w konkursie „Najładniejsza zagroda Podlasia”. Również na I Regionalnej Wystawie Zwierząt Hodowlanych w Sitnie, też w 1997 r., nasz knur Figiel zdobył dyplom championa. W roku 2000 gospodarstwo rodziców zajęło I lokatę w konkursie wojewódzkim „Bezpieczne gospodarstwo rolne”. Pisano o tym w prasie, fotografowano. Nagrodą był kolorowy telewizor. Rodzice, tak jak kiedyś dziadkowie, nadal zachowują tutejsze tradycje, np. żniwa zaczynają tylko w dni parzyste tygodnia. Rodzeństwo rodziców utrzymuje ze sobą stały kontakt. Często przyjeżdżają do rodzinnego domu, aby spotkać się z rodziną i znajomymi, zapalić znicze na grobach zmarłych przodków. Koniec XX w. upamiętniono zjazdem rodzinnym w domu rodziców. Rozpoczęto Mszą Świętą i odwiedzeniem grobów. Były chwile wspomnień, radości, wzruszeń i łez. Z uroczystości tej nakręcono film. Było nas przeszło 30 osób. „Łączy nas rodzinna więź!” – to było hasło tego historycznego spotkania. Mam nadzieję, że rodzinna więź Kropiwców będzie nadal nierozzerwalna. Spotykać się będziemy również w XXI w., bo tu są wszystkie korzenie.

Wszystkie prace czytałam z wielkim zainteresowaniem, zdobywając dla siebie nowe wiadomości o zwykłych, a jednocześnie niezwykłych ludziach z Podlasia. Uderza w tych opowieściach przywiązanie do swej rodzinnej ziemi, religii i tradycji, patriotyzm, szacunek dla przodków i lokalnej społeczności. Widać chęć zdobywania wiedzy i poważny stosunek do życia,

a jednocześnie radość i poczucie humoru oraz silną więź rodzinną. Młodzież w swych pracach wykazała zdolności badawcze w większym lub mniejszym stopniu, ale wszyscy autorzy starali się poznać korzenie swoich rodów, a fakty znane z historii stały się im bliższe i zrozumiałe. Myślę, że konkurs zainteresował społeczność uczniowską w Jabłoniu dlatego, że nie był obojętny nauczycielom. Matematyczka – mgr Iza Dragan i bibliotekarka – mgr Bożena Kusiuk zachęcały w bibliotece do udziału w konkursie. Historyczka – mgr Aneta Krupska uczyła młodzież, jak rysować drzewa genealogiczne. Nauczycielka zajęć technicznych – instruktor Leokadia Kamola służyła radą i wiedzą o lokalnych zwyczajach. Kierownik internatu – mgr Jerzy Sikorski zabiegał o sponsorów nagród konkursowych oraz wystawy prac uczniów. Wychowawczynie internatu – mgr Barbara Wikło wspierała działania uczniów, towarzysząc im na etapie zbierania materiałów, porządkowania ich oraz opracowywania. Szczególne słowa uznania i podziękowań należą się Dziadkom i Rodzicom uczniów, którzy włączyli się w prace badawcze swych dzieci, udostępniając pamiętki rodzinne i dzieląc się swymi przeżyciami.

Prace konkursowe oddają koloryt tamtej ziemi, na której od wieków mieszkali: Polacy, Rusini, Litwini, Żydzi i Tatarzy. Nazwy miejscowości: Geś, Jabłoń, Dawidy, Horodyszczce, Wisznice i Polubice oraz piękne, stare imiona i różnobarwne nazwiska mieszkańców tej ziemi świadczą do dziś o jej różnorodności. Podlasie łączyło też ludzi różnych wyznań: wiary greko-katolickiej, katolickiej, prawosławia, Mahometan i Żydów. Konkurs był właściwym bodźcem rozwojowym, oddziałującym na wychowanków w ich otoczeniu społecznym. Zarówno organizatorzy konkursu „Kronika wydarzeń rodzinnych”, nauczyciele i wychowawcy internatu, jak i uczniowie mogą się cieszyć swoim dorobkiem.



## VII. BIBLIOGRAFIA

- Absolwenci Zespołu Szkół Rolniczych Wrocław Pracze, 1996. Nasza Jadzia. W kręgu serdecznej przyjaźni. Polski Uniwersytet Ludowy, Kwartalnik TUL, 4/31: 83–87.
- Gościej J., 2006. Jadwiga Harasimowicz – wspomnienia pośmiertne. Marcinkowice k/Nowego Sącza, 1–19.
- Gościej J., 2007. W pierwszą rocznicę śmierci Jadwigi Harasimowicz. Kwartalnik TUL, 1/72: 82–87.
- Harasimowicz J., 2000. Budowa mostów przyjaźni. Kwartalnik TUL, 3/46: 72–75.
- Harasimowicz J., 2000. „Proszę o pokój z widokiem na morze...”. Pamięci Kazimierza Cetnarowicza. Kwartalnik TUL, 3/46: 120–121.
- Harasimowicz J., 2003. W rocznicę śmierci profesora Akademii Rolniczej dr. hab. inż. Czesława Opalińskiego. Gazeta Wyborcza. Wrocław, Wspomnienia. 03-04-2003.
- Harasimowicz J., 2003. Zyskuję radość serca. Kwartalnik TUL, 4/59: 101–110.
- Harasimowicz J., 2005. Jacy jesteśmy, dokąd idziemy? Kwartalnik TUL, 2/65: 15–22.
- Harasimowicz J., 2005. Dziękuję wszystkim za przyjaźń i współpracę. Kwartalnik TUL, 4/67: 24–31.

Do opracowania wspomnień o Jadwidze Harasimowicz przyczyniły się w szczególności osoby: Zuzanna Borcz, Urszula Drożdżyńska, Ewa Gałązka, Józef Gościej, Halina Gumienna, Zofia Karczmarska, Andrzej Kotecki, Jadwiga Mostowik, Ewa Sawicka-Sienkiewicz, Andrzej Sienkiewicz, Barbara Wikło i Dariusz Zalewski.